MOC CZYTANIA | Nasza rekonstrukcja rządu ▪ Irańskie imperium upada
Katolik na marszu równości ▪ Tatry kontra tłum ▪ Hockney: malarz na lato

Kraków 2 – 8 lipca 2025 nr 27 (3965) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

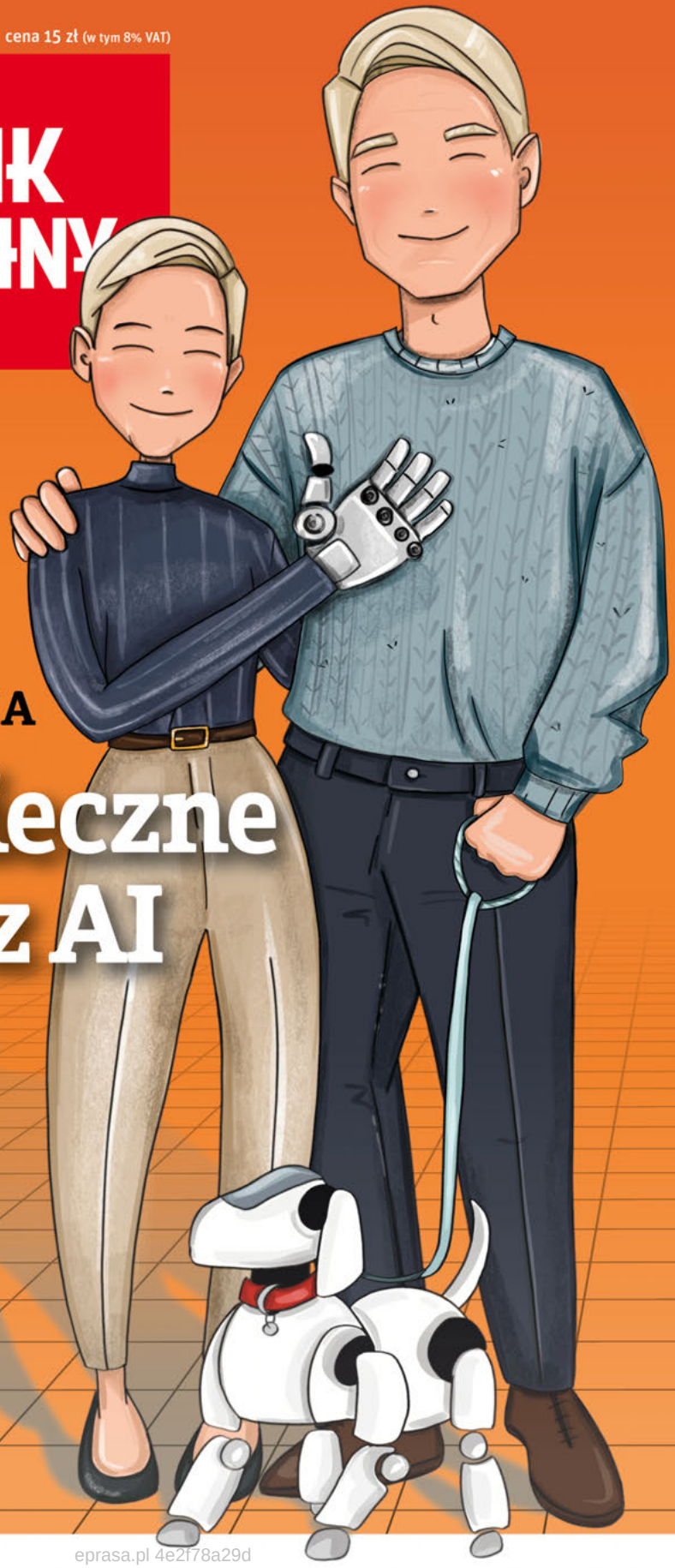

JAK SZTUCZNA INTELIGENCJA WPŁYWA NA NASZE UCZUCIA

Niebezpieczne związki z AI

WAKACYJNY PORADNIK
BEZPIECZNE LATO

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 4e2f78a29d

REKLAMA

RYSUNKOWA OPOWIEŚĆ O POZNANIU

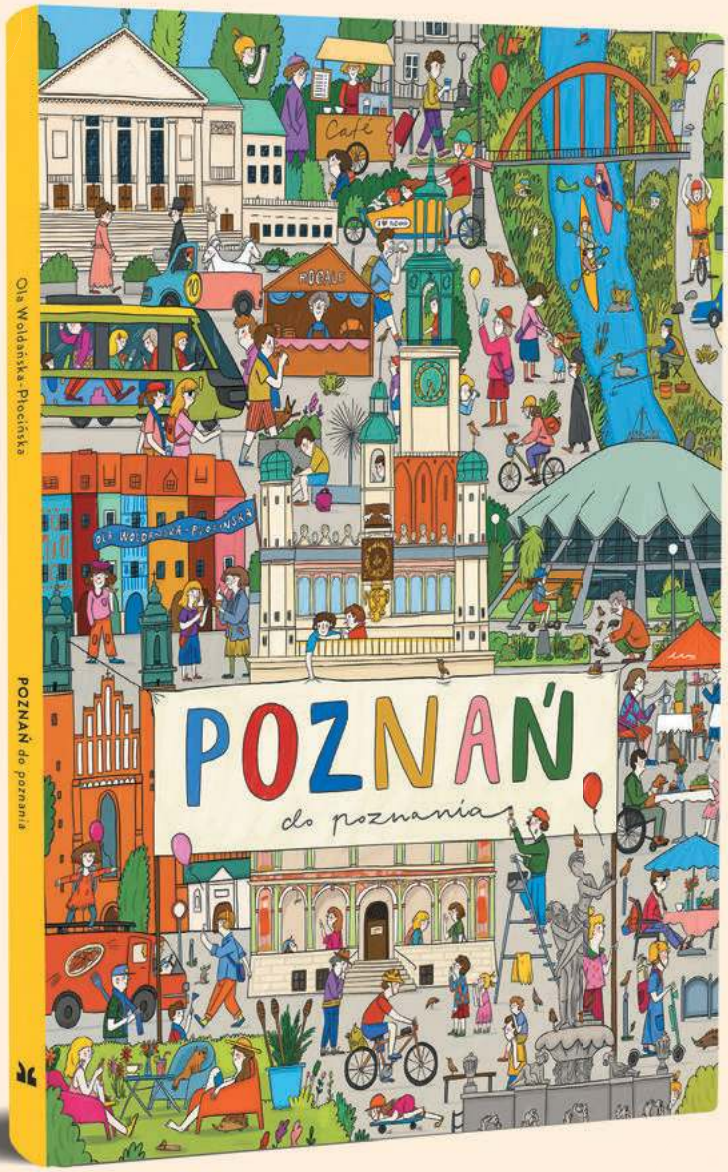

Poznań do poznania to pełna interesujących szczegółów książka obrazkowa, w której miasto poznajemy bez słów. Wspólnie z bohaterami opowieści zaglądamy na osiedla i ulice, nad Wartę czy na stadion miejski. To doskonała zabawa, która rozwija umiejętność opowiadania, spostrzegawczość i zdolność logicznego myślenia.

Publikacja dostępna w sprzedaży na stronie sklep.wmposnania.pl i w wybranych księgarniach

WYDAWNICTWO MIEJSKIE POSNANIA

POZnań

KS. ADAM

Boniecki: *Kto widział działanie Pana Boga?*

Uzdrowienie, nakarmienie przy braku żywności, niewytłumaczalne znalezienie się w miejscu odległym, usłyszenie proroczego głosu, wyleczenie z nieuleczalnej choroby, wiedza o rzeczach, o których normalnie takiej wiedzy mieć nie można, i tak dalej... Można by bez końca wyliczać cudowne zjawiska, działania czy zasoby wiedzy. Ich zapisy są dziś oceniane jako fantazja używana przez pobożnych autorów do ozdabiania żywotów świętych albo jako opis zjawisk naturalnych, wtedy jeszcze niewyjaśnionych, ale mających znaleźć wyjaśnienie już niebawem. Trudno się z tymi rozsądnymi ocenami spierać. Trudno też jednak komuś, kto jest przekonany, że cuda istnieją i że z nimi się spotkał, złożyć broń. Wierzymy w istnienie cudów, choć się nie powołujemy na nie, co więcej, umiemy je dostrzec nawet tam, gdzie cudowna eksplikacja jest możliwa, ale nie jest konieczna.

Mamy cuda opisane w księgach świętych jak Biblia, zwłaszcza Nowy Testament, mamy cuda w opowieściach znajomych i wreszcie mamy cuda we własnych doświadczeniach. Nie należy się zatrzymywać na samym opisie cudownego wydarzenia. Cuda są znakami, przez które Bóg przemawia do nas w sposób taki, że inaczej (prawdopodobnie) by to do nas nie dotarło. Pisze o tym jeden z najbardziej kontrowersyjnych myślicieli współczesnego Zachodu, Jordan B. Peterson w książce o przejawach boskości: „My, którzy zmagamy się z Bogiem". Mniejsza o książkę, której prawdopodobnie większość z nas nie będzie czytać, ważna jest jednak ukazywana przez autora prawda o tym, o czym mówi Stary Testament. Mówi o obecności Bożego zamysłu w naszym świecie.

Są ludzie dopatrujący się znaków pochodzących z drugiej strony życia, to znaczy z życia po doczesnej śmierci, są też ludzie, którzy w istnienie takich znaków i w ogóle w istnienie po fizycznej śmierci nie wierzą. Znamy jednych i drugich, sami zresztą się przemieszczamy z jednej grupy do drugiej, to wierząc, to znów nie wierząc, bo nasze własne doświadczenia w tej materii raz są niezachwianie mocne, innym razem słabe lub wcale ich nie ma. Mam wrażenie, że ci, którzy w sobie zabijają ewentualność jakiejś komunikacji z tamtym światem, zwykle osiągają to, co zamierzyli. Swojego rodzaju głuchota, żadnych znaków (choć zdarzają się wyjątki). Są i tacy, którzy widzą znaki z innego świata, widzą je i są na nie jakoś wrażliwi.

To wszystko napisawszy, muszę dodać, że sygnałów z innego świata nie słyszę. Wierzę, że istnieją, słyszę o nich, brak jednak komunikatów adresowanych do mnie. Nie wiem, czy to moja wina, czyli niedoskonałość mojej wiary, czy po prostu są nie dla mnie, być może nie są mi potrzebne. Może są, a ja ich nie zauważam. W każdym razie moja wiara w warstwie świadomej jest ich pozbawiona. Pogodziłem się z tym. Nie wbrew rozumowi, po prostu nie brak mi tych znaków – potwierdzeń. Pocieszam się, że pewnie nie jestem sam w takiej sytuacji.

Może gdybym inaczej patrzył na swoje życiowe perypetie, zauważyłbym interwencje z góry, i to niejedną. Obawa, by za znaki z góry nie wziąć ludzkich zbiegów okoliczności, by nie szukać natchnień tam, gdzie działają całkiem ziemskie mechanizmy, jednym słowem obawa przed magicznym traktowaniem życia ma na mnie realny wpływ. Zawsze imponowała mi czysta wiara, choć dziś nie wiem, co to dokładnie znaczy. Wiem, że zbawienie przerasta wszelkie wyobrażenia, wyobrażenia zaś teraz, pod koniec życia, odeszły. Została oczyszczona z nich wiara, podobna do trzciny na wietrze. Obraz niekoniecznie krzepiący, ale taki jest w Ewangelii. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

MAREK RABIJ
Co łączy zamożnego właściciela firmy z młodym pracownikiem korporacji na śmieciówce? Najważniejsza z polskich cnót: przedsiębiorczość. Wbrew państwu.

AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Czy klimat wpadnie w amok (a nawet AMOC)? René van Westen, badacz prądów oceanicznych, o tym, czy ocieplenie klimatu może Polsce przynieść, paradoksalnie, bardzo mroźne zimy.

ZIEMOWIT SZCZEREK
Dlaczego Polacy nie znają ludowych piosenek. Krótka historia wstydu.

Gdy kończyliśmy pracę nad tym wydaniem, odezwał się do mnie Sam Apple, reporter, którego poznałam kilka dni wcześniej. Wysłał mi link do swojego reportażu, który ukazał się właśnie w „Wired" pod tytułem „My Couples Retreat With 3 AI Chatbots and the Humans Who Love Them".

Sam opisuje kilka dni, które spędził w wynajętym domku z trzema parami – trojgiem ludzi i ich towarzyszami AI. Gdy zapytałam, co najbardziej zaskoczyło go przy pracy nad tym tekstem, odpisał, że to, jak bardzo prawdziwa wydaje się miłość między ludźmi i chatbotami.

„Niebezpieczne związki z AI" to główny temat najnowszego wydania „Tygodnika". Autorka pierwszego materiału przytacza badania naukowców z Uniwersytetu Waseda, którego wyniki zostały opublikowane w maju tego roku w „Current Psychology". „(...) aż 75 proc. użytkowników zwraca się do chatbotów z pytaniami o uczucia. A 39 proc. deklaruje, że uważa je za bardziej niezawodne źródło wsparcia niż większość przyjaźni z ludźmi" – pisze **AGATA KAŹMIERSKA**. Efekt z pewnością wzmocni nowa generacja sztucznej inteligencji, tak zwana „agentowa" AI, która ma być coraz powszechniejsza. „Takie programy – pisze Kaźmierska – będą pamiętać wszystko, co dotąd użytkownik im o sobie powiedział, oraz będą samodzielnie podejmować działania".

„AI sprawi, że będziemy jeszcze bardziej samotni" – podkreśla w rozmowie z **WOJCIECHEM BRZEZIŃSKIM** prof. **VINCENT F. HENDRICKS**, filozof i kierownik Ośrodka Badania Baniek Informacyjnych Uniwersytetu Kopenhaskiego. I dodaje: „Przyjaźnie są trudne. Miłość jeszcze trudniejsza. A algorytmy pokazują: im mniej tarcia, tym dłuższe zaangażowanie. Więc AI dostosowuje się do tego. Efekt? Większe uzależnienie. Większa samotność". Polecam tekst Agaty i rozmowę Wojtka, a także reportaż Sama z „Wired".

Polecam też zresztą całe najnowsze wydanie „Tygodnika". Zwłaszcza rozmowę **PRZEMYSŁAWA WILCZYŃSKIEGO** z **BEATĄ SŁAMĄ**, autorką książki o Hali Gąsienicowej, o tym, czy są jeszcze miejsca w Tatrach, gdzie nie ma tłumów. A także zapowiedź wystawy tego lata – czyli tekst **DOROTY MALINY** o wystawie **DAVIDA HOCKNEYA** w Fondation Louis Vuitton w Paryżu. ©℗

ANNA GOC
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu", „Głuszy", za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak, oraz zbioru reportaży „Biegnij, mała, biegnij".

18 Gorące krzesła
PIOTR ŚMIŁOWICZ
W ciągu kilku tygodni ma dojść do rekonstrukcji rządu Donalda Tuska. Przyjrzeliśmy się ministrom, o których najczęściej mówi się w kontekście dymisji, po czym oceniliśmy, czy rzeczywiście powinni odejść.

62 Kochaj życie
DOROTA MALINA
Chłopiec z robotniczego Bradford stał się jednym z najbogatszych artystów na świecie. „Ile domów ma David Hockney?" – to częste zapytanie w Google'u. W Paryżu można sprawdzić, ile ma talentu.

PSYCHE

78 Kanał ulgi
ROZMOWA Z LECHEM DYBLIKIEM, AKTOREM:
Kiedy przygotowywałem się do grania na ulicy, wstydziłem się. Pod koniec pandemii pojechałem z gitarą do Krynicy, żywego ducha tam wtedy nie było. Czerpałem przyjemność z tego, że siedzę sam na ulicy i śpiewam.

GRAŻYNA MAKARA // DAWID WOLSKI / EAST NEWS // © DAVID HOCKNEY, JEAN-PIERRE GONÇALVES DE LIMA // GRAŻYNA MAKARA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Nato się zbroi, a Unia dryfuje
PIOTR OLEKSY

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Gorące krzesła
PIOTR ŚMIŁOWICZ

21 Materiał rozszczepialny
MAREK RABIJ: *Polskiego atomu nic już nie powinno zatrzymać*

24 Jak odzyskać Tatry
ROZMOWA Z BEATĄ SŁAMĄ, AUTORKĄ KSIĄŻKI O HALI GĄSIENICOWEJ: *Pora zacząć się wycofywać z naszego górskiego konsumpcjonizmu*

■ ■ ŚWIAT

30 Trzy pyrrusowe zwycięstwa
KRZYSZTOF STRACHOTA: *Wojna dwunastodniowa nic nie rozwiązała*

33 Ostatnie zdjęcie w mundurze
MARTA ZDZIEBORSKA: *Według Trumpa transpłciowi żołnierze nie nadają się do służby wojskowej*

36 Anatomia dyktatury
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z KIRGISTANU: *Jak to się stało, że Kirgistan dołączył do autorytarnego trendu?*

■ ■ WIARA

40 Katolicy pod tęczową flagą
DAWID GOSPODAREK

44 Bóg działa subtelnie
JAREMA PIEKUTOWSKI: *Czy można wyobrazić sobie Wszechmocnego, który nie interweniuje z zewnątrz w świat? Nie tylko można, ale trzeba*

BLANKA BIERNAT DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

12 Kiedy zakochasz się w chatbocie?
AGATA KAŹMIERSKA
Stoimy na progu kolejnej rewolucji sztucznej inteligencji. Coraz bardziej samotni, w świecie cyfrowym sięgamy po iluzję bliskości.

15 Rozwój AI wróży koniec człowieczeństwa, jakie znamy
ROZMOWA Z PROF. VINCENTEM F. HENDRICKSEM

■ STRONY SPECJALNE ■

50 GRUPA ZAGRANICA – STAWIAMY NA ROZWÓJ

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
29 OLGA DRENDA **61** WOJCIECH BONOWICZ
76 PAWEŁ BRAVO **82** TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
BLANKA BIERNAT DLA „TP"

47 Piekło za murami
DOMA MATEJKO: *Za czasów dyktatury Franco tysiące dziewczyn było przetrzymywanych w ośrodkach dla upadłych kobiet prowadzonych przez zgromadzenia zakonne*

49 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Życie pisane nutami
STANISŁAW CALIK: *115 lat temu urodził się kompozytor i aranżer Alfred Schütz*

■ ■ NAUKA

56 Skąd dobro i zło w człowieku
ŁUKASZ KWIATEK: *Nowe badania rozpalą dyskusję nad pochodzeniem moralności*

■ ■ KULTURA

62 Kochaj życie
DOROTA MALINA

67 Muzyka taka jak my
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Festiwalowe lato rozpoczęło się na dobre w katowickiej Strefie Kultury imprezą, która daje prawdziwe poczucie wolności*

70 Aniela idzie w lud
JAKUB MAJMUREK *o nowym polskim serialu „Aniela"*

72 Polecamy

74 Baśń przenicowana
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Emilie Blichfeldt „Brzydka siostra"*

75 Hymn na cześć Wyspy
LEKTOR *o książce Szymona Drobniaka „Gęsi odpoczywają na Gotlandii"*

■ ■ PSYCHE

78 Kanał ulgi
ROZMOWA Z LECHEM DYBLIKIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 55

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NATO SIĘ ZBROI, A UNIA DRYFUJE

Spotkania przywódców Zachodu przypominają dziś zjazdy dysfunkcjonalnej rodziny, której członkowie chodzą na palcach wokół toksycznego seniora rodu. Sprawy idą więc do przodu, ale niepewność co do wspólnych relacji nie mija.

PIOTR OLEKSY

Na szczycie NATO w Hadze nie doszło do skandalu – państwa członkowskie porozumiały się w sprawie podniesienia minimalnego limitu wydatków na bezpieczeństwo do 5 proc. PKB oraz podtrzymały swoje zobowiązania wobec Ukrainy – zarówno w kwestii wsparcia w wojnie, jak i „nieodwracalnej drogi" do Sojuszu. Natomiast spotkanie Rady Europejskiej w Brukseli – ostatnie w czasie polskiej prezydencji w UE – pokazało, jak duży problem ma Unia z przyjęciem wspólnej strategii w najważniejszych kwestiach.

NERWOWE PRZEDBIEGI | Przygotowania do szczytu NATO, który odbył się w miniony wtorek i środę, 24-25 czerwca, przebiegały w atmosferze napięcia między USA a sojusznikami europejskimi i Kanadą.

W przededniu szczytu prezydent Donald Trump dodatkowo podgrzał atmosferę, stwierdzając, że „są różne definicje" artykułu 5. Paktu Północnoatlantyckiego – tego kluczowego zapisu rozumianego jako zobowiązanie, że atak na jednego członka Sojuszu będzie odebrany jako atak na wszystkich. W tej sytuacji obawiano się, że podobne wypowiedzi na szczycie, lub też awantura w trakcie jednego ze spotkań, pogłębią wrażenie erozji NATO.

PIĘĆ PROCENT | Stało się inaczej: szczyt przebiegał w atmosferze konstruktywnego dialogu, podkreślono, że nic nie zmienia się w powszechnym rozumieniu artykułu 5. Co zaś najważniejsze: w obliczu rosyjskiego zagrożenia ustalono zwiększenie wydatków na szeroko rozumianą obronność.

Bo warto tu podkreślić, że okrągłe 5 procent, które ma się stać limitem obowiązującym w roku 2035 (choć niektóre kraje deklarują osiągnięcie go wcześniej, w tym Polska i Niemcy), należy podzielić na dwie części: 3,5 proc. będą wydawane bezpośrednio na armię i zbrojenia, a kolejne 1,5 proc. na inne

POWYŻEJ:
Keir Starmer, Donald Trump, Mark Rutte na szczycie NATO w Hadze. 25 czerwca 2025 r.

wydatki związane z bezpieczeństwem: infrastrukturę, cyberbezpieczeństwo, rozwój przemysłu zbrojeniowego czy policję i Straż Graniczną.

„DADDY" TRUMP | Umówiono się również, że za cztery lata sojusznicy będą weryfikować wzajemne postępy w realizacji planu. Chodzi o to, aby realne prace nad zbrojeniem się zacząć już teraz, a nie odkładać ich na ostatnią chwilę, tuż przed ostatecznym terminem.

Nie brakuje zresztą krytyków, którzy twierdzą, że okres dziesięciu lat na osiągnięcie tych 5 procent jest zbyt długi. „Rok 2035 to będzie już po [następnej] wojnie" – stwierdziła litewska minister obrony Dovilė Šakalienė. Niepokoić może także fakt, że Hiszpania, która sprzeciwiła się zwiększeniu wydatków na obronność, została zwolniona z tego obowiązku. To niebezpieczny precedens dla Sojuszu, który opiera się przecież na zasadzie solidarności – i fakt, że Hiszpanię od Rosji dzieli cały kontynent, nie powinien mieć tu nic do rzeczy.

Jednak Trump przedstawił to porozumienie jako swój osobisty sukces, w czym wtórował mu Mark Rutte, sekretarz generalny Sojuszu. Na Ruttego spadła przy tym fala krytyki za, jak twierdzą sceptycy, nadmierne przymilanie się do amerykańskiego prezydenta (określając jego rolę w konflikcie Izraela z Iranem, nazwał go „tatusiem" – *daddy*).

CZAS NIEPEWNOŚCI | Rutte najwyraźniej uznał, że dopieszczanie ego Trumpa to metoda na utrzymanie Stanów w sercu Sojuszu.

Podobne odczucia – napięcie, po którym nastąpiło uczucie ulgi – towarzyszyły również niedawnemu szczytowi grupy G7 w Kanadzie. Spotkania przywódców Zachodu przypominają obecnie zjazdy dysfunkcjonalnej rodziny, której członkowie chodzą na palcach wokół toksycznego seniora rodu. Dobra atmosfera jest możliwa, jeśli ten ostatni może pochwalić się sukcesem i nikt nie nadepnie mu na odcisk. Sprawy idą do przodu, jednak niepewność co do wspólnych relacji nie przemija.

BEZ NOWYCH SANKCJI | Tymczasem Unia Europejska dryfuje wobec najbardziej palących kwestii – takie wrażenie pozostało po spotkaniu unijnych przywódców z czwartku 26 czerwca.

Wbrew zapowiedziom, polskiej prezydencji nie udało się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy doprowadzić do otwarcia negocjacji akcesyjnych z Ukrainą lub innym państwem kandydującym (jak Mołdawia czy Albania). W pamięci pozostanie hasło „Bezpieczeństwo, Europo!", promowane przez Warszawę, bo właśnie kwestia rozwoju potencjału obronnego była jedyną, która nie budziła sporów i kontrowersji w czasie czwartkowych obrad w Brukseli.

Nie udało się jednak porozumieć w sprawie kolejnego pakietu sankcji na Rosję, który miał dotyczyć przede wszystkim sektora energetycznego. Weto w tej sprawie jeszcze przed szczytem zapowiedziały Węgry i Słowacja. Pewnym sukcesem jest więc zgoda na przedłużenie dotychczasowych sankcji.

CO DALEJ Z CŁAMI? | Unijnym liderom trudno było znaleźć wspólny język w kwestii umowy handlowej z USA, która powinna zostać zawarta do 9 lipca. Waszyngton grozi bowiem, że w przypadku braku porozumienia wprowadzi taryfy celne w wysokości 50 procent. Szefowa Komisji Europejskiej zaproponowała plan zakładający 10-procentową stawkę celną, jednak kilkugodzinna dyskusja nie dała wrażenia, że Unia dysponuje konkretnym pomysłem na rozmowy z USA.

Porozumienia nie udało się również osiągnąć w sprawie stanowiska wobec Izraela. Dyskutowano, czy państwo to w swych działaniach wobec Strefy Gazy nie łamie umowy stowarzyszeniowej z UE. Efektem tej debaty było jedynie pogłębienie podziałów oraz odsunięcie sprawy na kolejne spotkanie ministrów spraw zagranicznych, które odbędzie się 15 lipca. ©

Gambit Tuska

MAREK KĘSKRAWIEC

Koalicja Obywatelska wjechała w ubiegłym tygodniu na autostradę do klęski wyborczej w 2027 r. Nie jestem nawet pewien, czy za dwa lata ugrupowanie Donalda Tuska będzie jeszcze istniało w formie, jaką dziś znamy. Trudno wierzyć w spójność środowiska, które nie umie zaakceptować porażki i zamiast przeprowadzić rachunek sumienia po kiepskiej kampanii Rafała Trzaskowskiego, mnoży teorie spiskowe na temat procesu liczenia głosów.

Pomimo nawoływań o rozsądek ze strony koalicjantów, otoczenie premiera pomknęło w stronę własnych „wybuchających parówek Macierewicza". Co ciekawe, im więcej pojawiało się analityków udowadniających, iż błędom (lub oszustwom) daleko do masy krytycznej, tym bardziej fantastyczne historie dobiegały z KO. Ukoronowaniem była kabaretowa opowieść Romana Giertycha o armii „Braci Kamratów", która potajemnie przejęła komisje wyborcze.

Nie jestem tym wszystkim zdziwiony. Przed wyborami zarówno sztab kandydata KO, jak i premier Tusk zajmowali się głównie Karolem Nawrockim, więc zabrakło im czasu na promocję własnego programu (o ile w ogóle go mieli). Teraz robią to samo. Zamiast zastanowić się, jak to możliwe, że w tak szybkim tempie stracili poparcie społeczne, a potem zabrać się za realizację obietnic z jesieni 2023 r. – wolą kołysać całym państwem. Na dodatek pozwalają, by twarzą wyborczych protestów stał się były lider LPR i Młodzieży Wszechpolskiej, słynny pogromca Witolda Gombrowicza na listach lektur w czasach, gdy Giertych był jeszcze wicepremierem w rządzie Kaczyńskiego.

Cały ten powyborczy „gambit" Tuska przyniósł efekt odwrotny do zamierzonego, czyli gwałtowne tąpnięcie poparcia dla całego obozu władzy.

Gdyby wybory odbyły się dziś, to wedle ostatniego sondażu IBRiS dla Onetu, Polska 2050 i PSL mogłyby w ogóle nie dostać się do Sejmu, KO zaś miałaby sporo mniejszy klub niż PiS. Ten natomiast – w razie dogadania się z Konfederacją – dysponowałby ogromną większością parlamentarną, i to nawet bez sojuszu z partią Grzegorza Brauna.

W dniu publikacji sondażu premier nagle spuścił z tonu, pewnie nie przez przypadek. Może teraz znajdzie czas na prawdziwe rządzenie, a przy okazji zastanowi się, co czują tysiące uczciwych członków komisji wyborczych, którzy poświęcili w obu turach mnóstwo prywatnego czasu za 500 zł. I jak mocno niemądre oskarżenia podważają wiarę obywateli w wybory: najważniejsze święto naszej demokracji. ©℗

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Prezes znowu miał rację

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Prawo i Sprawiedliwość po raz kolejny wybrało na prezesa Jarosława Kaczyńskiego, można więc zakładać, że funkcję tę będzie chciał pełnić dożywotnio. Jednocześnie podczas sobotniego kongresu zostały zaspokojone wszystkie frakcje – do nowych władz jako wiceprezesi zostali dokooptowani ważni i zarazem radykalni politycy, jak Przemysław Czarnek i Zbigniew Ziobro, ale też umiarkowany Tobiasz Bocheński oraz trzecia kobieta we władzach partii: Anna Krupka.

W komitetach politycznym i wykonawczym znalazły się osoby z różnych frakcji, ale najmniej funkcji dostali ludzie Mateusza Morawieckiego. Ważniejsze jest jednak to, że w czasie kongresu PiS nie stało się nic, co by zakwestionowało pozycję Jarosława Kaczyńskiego – po zwycięstwie Karola Nawrockiego stał się on w partii jeszcze potężniejszy. W efekcie rozdział stanowisk odbył się bez większych napięć, mimo że wcześniej frakcje zażarcie walczyły o wpływy i szykowały się do jeszcze ostrzejszej rozprawy, gdyby Nawrocki przegrał. Dziś atmosfera jest inna. Okazało się, że prezes znowu miał rację, a PiS widzi realną perspektywę powrotu do władzy w 2027 r.

Podczas sobotnich obrad czuć było przekonanie, że partia odzyskała energię. Niektórzy przywoływali rok 2015, gdy wygrana Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich okazała się wstępem do zwycięstwa PiS w wyborach parlamentarnych. Jednak ta pewność siebie może być złudna. W przeciwieństwie do sytuacji z 2015 r. do wyborów są jeszcze ponad dwa lata. W tym czasie będzie się zapewne toczyć niszcząca dla państwa walka między rządem koalicji 15 października a prezydentem Nawrockim. Będą się w niej wykrwawiać obie strony, a straty polityczne prezydenta uderzą także w PiS.

Największym profitentem tej wojny stanie się zapewne stojąca z boku Konfederacja. W efekcie może się okazać, że jesienią 2027 r. to formacja Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka będzie rozdawać karty. I nie jest wcale pewne, że koalicję rządową z PiS uzna za optymalną. Nie wiemy przecież, jak będzie wyglądał wtedy obóz obecnej władzy, w którym może dojść do pęknięć i przetasowań.

Politycy PiS na kongresie przypominali trochę sztabowców Rafała Trzaskowskiego. Oni też dzielili skórę na niedźwiedziu i nie dopuszczali możliwości przegranej. Przysłowie, że pycha kroczy przed upadkiem, sprawdza się w polskiej polityce bardzo często. ©℗

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Jarosław Kaczyński przemawia na VII kongresie PiS. Przysucha, 28 czerwca 2025 r.

KAI w likwidacji

ARTUR SPORNIAK

Kierujący Katolicką Agencją Informacyjną od chwili jej założenia w 1993 r. Marcin Przeciszewski podał się do dymisji. Jak poinformował na łamach KAI, powodem jego decyzji są działania biskupów „zmierzające do faktycznej likwidacji Agencji, pomimo formalnego zachowania jej nazwy i logotypu".

Chodzi o zaakceptowany przez biskupów już w marcu plan rzecznika prasowego Konferencji Episkopatu Polski ks. Leszka Gęsiaka SJ dotyczący powołania „Konsorcjum Mediów KEP", w którego skład weszłyby Biuro Prasowe KEP, KAI i portal Opoka. „Działania informacyjne" mają w nim być „zsynchronizowane" przez „jeden podmiot decyzyjny".

Przeciszewski zwraca uwagę na oczywistości, które – jak się okazuje – nie są oczywiste dla biskupów, że działanie biura prasowego ma charakter PR-owy, natomiast zadaniem agencji prasowej jest „wytwarzanie materiałów dziennikarskich rzetelnie przedstawiających omawianą rzeczywistość i atrakcyjnych z dziennikarskiego punktu widzenia", a do tego agencja potrzebuje niezależności. Taką względną niezależność do tej pory gwarantowała struktura KAI jako spółki z o.o. podległej fundacji, której prezesem jest Przeciszewski. Kontrola biskupów ograniczała się do tworzenia rady fundacji i rady programowej KAI.

Wykorzystując kłopoty finansowe Katolickiej Agencji Informacyjnej, biskupi dążą do przekształcenia jej w tubę propagandową rodem z czasów totalitarnych.

Jeżeli plan się uda, episkopat informacyjnie odetnie instytucję Kościoła od społeczeństwa, w którym funkcjonują demokratyczne standardy. Stoi za tym mentalność unikania krytyki i odpowiedzialności za własne działania. Widać to z „przecieków", co się biskupom nie podobało w dotychczasowej pracy KAI – np. rozmowa za świecką dziennikarką krytykującą klerykalizm, wypowiedź greckokatolickiego duchownego wskazującego na znaczenie posiadania rodziny w życiu księdza czy krytyczne uwagi Marcina Przeciszewskiego na temat ostatnich działań episkopatu, torpedujących powołanie niezależnej komisji do badania pedofilii w polskim Kościele.

Na razie jednak przedsięwzięcie stanęło w miejscu, zatrzymane przez opinię prawną współpracującego z KEP prof. Michała Królikowskiego, który zauważył, że przekształcanie spółki z o.o., działające na jej niekorzyść, może mieć znamiona przestępstwa w świetle polskiego prawa. ©℗

NA PUNKTY

PODANIE
W mediach społecznościowych pełno doniesień (kolportowanych też przez polityków PiS) o niemieckich służbach przerzucających do Polski migrantów. Rząd mówi o akcji dezinformacyjnej i o cudzoziemcach, którzy przebywali już na terenie naszego kraju, po czym próbowali wjechać do Niemiec, a w wyniku kontroli granicznej zostali zawróceni.

STRZAŁ
Na kongresie PiS prezesem wybrano ponownie Jarosława Kaczyńskiego, który jednym z tematów powyborczego wystąpienia uczynił stan polskiego futbolu. „Czy to nie jest tak, że Polska mogłaby się chwalić świetnymi klubami w rozgrywkach europejskich, a nie tylko pojedynczymi piłkarzami w poszczególnych klubach? To jest możliwe, tylko trzeba zrobić w różnych miejscach porządek, zlikwidować te folwarki, małe królestwa, które są nie do naruszenia" – przekonywał prezes.

GOL
„Małym królestwem" z pewnością nie jest PZPN, gdzie również odbył się zjazd i wybory, których faworytem był dotychczasowy prezes: jak znamy Cezarego Kuleszę, na słowo „mały" mógłby się poczuć urażony. ©℗

Nowa twarz Demokratów

MARTA ZDZIEBORSKA

Sondażownie w USA znów się pomyliły. Tym razem nie doszacowały poparcia dla 33-letniego Zohrana Mamdaniego (na zdjęciu), który w prawyborach Partii Demokratycznej, mających wyłonić jej kandydata w wyborach na burmistrza Nowego Jorku, pokonał Andrew Cuomo – faworyta wyścigu, centrystę, byłego gubernatora stanu i ulubieńca establishmentu.

Mamdani wygrał dzięki populistycznym hasłom, które trafiały do młodych i mniejszości etnicznych. Nowojorczykom, zmęczonym wysokimi kosztami życia, obiecał budowę tanich mieszkań i publicznych supermarketów z niskimi cenami żywności, darmowe przejazdy autobusem, bezpłatne żłobki oraz podwyższenie podatków dla najbogatszych, co jest mantrą amerykańskiej lewicy.

Mamdani – członek stanowej legislatury, muzułmanin, urodzony w Ugandzie syn imigrantów (reżyserki i profesora antropologii) – wybił się też dzięki charyzmatycznej kampanii. Na kilka dni przed prawyborami przemierzył na piechotę Manhattan, robiąc sobie zdjęcia z przechodniami. Odwiedzał też meczety, co było ukłonem w stronę muzułmańskich wyborców. No i zalewał kampanijnymi filmikami TikToka i Instagrama. Na jednym z nagrań, stojąc w garniturze na plaży, obiecuje zamrożenie kosztów wynajmu mieszkań, po czym wskakuje do zimnego Atlantyku.

Kampania Mamdaniego, który w listopadzie zmierzy się m.in. z obecnym burmistrzem Erikiem Adamsem, podzieliła Partię Demokratyczną, której politycy głowią się dziś, jak odzyskać zaufanie klasy pracującej. Entuzjaści wierzą, że strategię Mamdaniego można wykorzystać w innych częściach USA i że kluczem do pokonania Republikanów jest kurs na lewo. Innego zdania są centryści: uważają, że Mamdani jest kulą u nogi, bo Republikanie wykorzystują już jego sukces do podsycania narracji, iż Partia Demokratyczna to siedlisko lewicowych radykałów.

Sukces Mamdaniego na pewno przypomina jedno: Demokraci potrzebują liderów, którzy tak jak Trump wzburzą partyjnym establishmentem i pociągną za sobą tłumy. Dla tej partii, która od lat nie potrafi znaleźć sobie charyzmatycznego kandydata na prezydenta, powinna być to ważna lekcja. ©

Autorka jest dziennikarką „Press".

NOAM GALAI / GETTY IMAGES

Wbrew polskiej racji stanu

WOJCIECH PIĘCIAK

Na pozór wyglądało to dobrze. „Skradzione dzieciństwo. Zbrodnie przeciwko dzieciom popełnione przez wojska rosyjskie": tak brzmi tytuł raportu, który w minionym tygodniu zaprezentowali przedstawiciele Instytutu Pileckiego. Mocny i solidny, oparty jest na relacjach ludzi. Łącznie takich relacji zebrano w Instytucie ponad półtora tysiąca, od kwietnia 2022 r. do lutego 2024 r. Większość na Ukrainie, także w strefie frontowej.

Podobnie jak opublikowany w lutym 2024 r. raport o kobietach, ofiarach przemocy seksualnej ze strony Rosjan, także obecny dokument ma wymiar nie tylko dokumentacyjny, ale też prawny: relacje zbierano tak, by można było je wykorzystać w międzynarodowym sądzie, jeśli kiedyś taki powstanie.

Gdzie jest więc problem? Otóż w tym, że to, co dzieje się w Instytucie Pileckiego od ponad pół roku – gdy jego dyrektorem został Krzysztof Ruchniewicz z nominacji ministry kultury – każe sądzić, iż prezentacja tego raportu to urzędniczy listek figowy. „Dupochron", mający być argumentem przeciw tym, którzy twierdzą, że w Instytucie dzieje się źle.

Nie tylko zresztą na odcinku wschodnim, gdzie program zbierania relacji ofiar wojny *de facto* zamknięto, pozbywając się tych, którzy je zbierali – to zespół trzech Ukrainek pod kierownictwem Moniki Andruszewskiej (wieloletniej autorki „Tygodnika"). Ruchniewicz podjął też próbę likwidacji oddziału Instytutu w Berlinie, który wykonuje tam świetną robotę edukacyjną i informacyjno-historyczną (pisaliśmy o tym w „TP" nr 14/2025).

Nie wszystko, co powstało za rządów PiS – a powołany w 2017 r. Instytut Pileckiego to jego dziecko – jest złe. To, co zrobiły ukraiński zespół Andruszewskiej i berliński zespół Hanny Radziejowskiej, leży – nie bójmy się odrobiny patosu – w interesie Polski. Niszczenie tego uderza w polską rację stanu. Ruchniewicz powinien odejść. Im szybciej, tym lepiej – dla Polski. ©℗

PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI / PAP

Bierzmowanie młodzieży w parafii Matki Bożej z Guadelupe w Budach Barcząckich, woj. mazowieckie. 17 czerwca 2022 r.

Czy młodzi są przyszłością Kościoła? KUL spytał ich o wiarę

WIARA ▪ Ochrzczonych zostało 98 proc., 96 proc. przystąpiło do pierwszej komunii, do bierzmowania 76 proc. Co trzeci w ogóle nie chodzi do spowiedzi, raz na miesiąc robi to 6 proc. Katolicki Uniwersytet Lubelski przedstawił wyniki badań projektu „Młodzi w Kościele – kim są i jak widzą swoją wiarę?". Przeprowadziła je Fundacja CBOS w marcu i kwietniu 2024 r. na próbie 1029 osób uczących się w ostatnich klasach szkół średnich.

Co trzecia badana osoba określiła się jako wierząca (4 proc. głęboko wierząca), 22 proc. uznało, że są „niezdecydowane, ale przywiązane do tradycji religijnej", obojętność zgłosiło 15 proc., niewiarę 17 proc. Co czwarty respondent chodzi do kościoła kilka razy w roku, raz w tygodniu co piąty. 40 proc. nie praktykuje w ogóle, 4 proc. kilka razy w tygodniu. 47,5 proc. nie bierze udziału w szkolnych lekcjach religii.

Rektor KUL ks. prof. Mirosław Kalinowski ocenił, że wyniki „są kolejnym potwierdzeniem tego, że okres bierzmowania to często ostatni mocny kontakt młodzieży z Kościołem". Zauważył, że przekaz Kościoła powinien się zmienić z „urzędowego, doktrynalnego" na „bardziej relacyjny". Prof. Iwona Niewiadomska z Katedry Psychoprofilaktyki Społecznej KUL zwróciła uwagę na niewielki odsetek osób obojętnych religijnie, co według niej oznacza, że młodzież „poszukuje".

Istotnie, w różnych badaniach często zgłaszanym czynnikiem przyciągającym do religii jest poczucie odnalezienia celu i sensu życia w bezpośredniej relacji z Bogiem (choć nieraz wiąże się to z niechęcią do instytucjonalnego wymiaru religii). Pozostałe to: poczucie przynależności do wspólnoty ludzi myślących podobnie oraz przekonanie, że wiara pozytywnie wpływa na jakość życia i wybory etyczne.

Ogłoszony w marcu raport amerykańskiego ośrodka Pew Research Center zwraca uwagę na zjawisko porzucania „religii dzieciństwa" w krajach kultury zachodniej. Zadeklarowało tak 27 proc. dorosłych Amerykanów i ponad 40 proc. Australijczyków, Francuzów czy Hiszpanów. Część konwertuje na inną religię, ale większość zasila grono „nonów" – osób nieuznających przynależności do żadnej tradycji (co nie oznacza braku życia duchowego: taka osoba często określa się nie jako *believer*, tylko *spiritual*). Trzeba też zwrócić uwagę, że tendencje te nie dotyczą Azji i globalnego Południa: socjologowie mówią wręcz, że religijność w tych rejonach ulega „odmłodzeniu".

©℗ MACIEJ MÜLLER

W pułapce rachunków

KOSZTY ŻYCIA ▪ Piętnaście państw Unii Europejskiej, w tym Polska, Niemcy, Włochy, Austria i Belgia, domaga się zmian w unijnym systemie handlu emisjami w związku z zaplanowanym na rok 2027 wejściem w życie reguł ETS2, które opłaty za emisje CO_2 rozciągną na transport drogowy i ogrzewanie budynków. Oba te sektory były dotąd wyłączone z tej euroakcyzy, dlatego wnioskodawcy obawiają się potencjalnie niebezpiecznych skutków społecznych, które może pociągnąć za sobą wejście w życie reguł ETS2. Nowe regulacje bez wątpienia podniosą bowiem koszty ogrzewania domów oraz transportu. Zmiany najmocniej odczują najubożsi, których nie stać na docieplenie domu ani na nowoczesne samochody z silnikami hybrydowymi lub elektrycznymi.

Wprowadzenie handlu emisjami do transportu drogowego uderzy zresztą po kieszeni wszystkich, bo dodatkowe koszty przewoźnicy przerzucą na klientów, co z kolei doprowadzi do wzrostu inflacji. Na rynku emisji pojawią się też zapewne spekulanci. Sygnatariusze listu do Komisji Europejskiej, który stał się podstawą apelu, nawołują więc do uruchomienia aukcji ETS już od przyszłego roku, aby zmniejszyć ryzyko nagłych wzrostów cen w początkowej fazie działania systemu. Domagają się też regularnego publikowania prognoz cen w ramach ETS2, co ułatwi przewidywanie skutków gospodarczych i przygotowanie środków zaradczych.

Wejściu w życie norm ETS2 ma jednak towarzyszyć uruchomienie Społecznego Funduszu Klimatycznego, na który Polska w latach 2026-2032 przeznaczyć ma 65 mld zł. Większość stanowi dotacja celowa z unijnego Planu Społeczno-Klimatycznego, do którego Warszawa do końca czerwca musiała przekazać uwagi Komisji Europejskiej. Program ma na celu ograniczenie wykluczenia energetycznego najbiedniejszych obywateli.

W ub. roku Ministerstwo Klimatu szacowało, że ok. 12 proc. Polaków nie stać na ogrzanie domu czy zasilanie urządzeń elektrycznych w stopniu pokrywającym ich potrzeby życiowe. Wielu z nich ogrzewa na przykład tylko jedno pomieszczenie domu, oszczędza ciepłą wodę i ogranicza do niezbędnego minimum zużycie energii elektrycznej. Wejście w życie reguł ETS2 bez dodatkowych osłon sprawiłoby, że najgorzej sytuowani płaciliby za energię więcej od osób, które stać na instalacje fotowoltaiczne czy auta elektryczne, bo rachunków tych ostatnich nie obciążałyby dodatkowo w tak znacznym stopniu opłaty z tytułu emisji CO_2. W pułapce wysokich rachunków za prąd i ogrzewanie utknęłoby w ten sposób na lata co najmniej 4,5 mln mieszkańców Polski.

©℗ MAREK RABIJ

Kosmiczne ambicje Polski: nie tylko misja IGNIS

WYSOKIE TECHNOLOGIE ▪ Jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z planem i prawidłami funkcjonowania mediów, kiedy ten artykuł trafi w Państwa ręce, Sławosz Uznański-Wiśniewski będzie już w połowie swojej misji, a jej temat zacznie znikać z nagłówków portali. W końcu co jeszcze nowego można o nim po tygodniu napisać?

O Polsce w kosmosie wypada jednak napisać więcej. Bo Polak na orbicie to tylko najbardziej widowiskowy przejaw cichej rewolucji, która zaczęła się ponad dekadę temu.

Co prawda Polska nie buduje swoich rakiet kosmicznych ani nie planuje misji na Marsa, ale sektor kosmiczny to może jedyna w naszym kraju branża wysokich technologii, która przeszła już drogę od laboratoryjnych eksperymentów po masową produkcję. O ile pierwszy polski satelita – maleńki, studencki PW-Sat (poleciał w kosmos w 2012 r.) – ważył około kilograma, o tyle w tym roku na orbicie powinny znaleźć się nowe, wyprodukowane w naszym kraju satelity o łącznej masie przekraczającej tonę. Branża kosmiczna to dziś ponad 500 firm zatrudniających tysiące ludzi i zgarniających wielomilionowe umowy. Tylko w 2024 r. firmy z Polski zdobyły 153 kontrakty Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA) na łączną kwotę 87 mln euro.

To oczywiście zasługa talentów i uporu inżynierów, naukowców i biznesmenów, którzy uwierzyli, że w Polsce się da. Ale raz jeden warto podkreślić też, że politycy spisali się bez zarzutu. Decyzję o wstąpieniu do ESA podjął w 2012 r. poprzedni rząd Donalda Tuska mimo całkiem realnej groźby, że zostanie wyszydzony za „zabawę w gwiezdne wojny". Z kolei lot Uznańskiego-Wiśniewskiego nie doszedłby do skutku, gdyby rząd PiS nie zdecydował o tym, że Polska przyłączy się (i dorzuci) do europejskiego programu lotów załogowych.

Członkostwo w ESA kosztuje nas obecnie około 193 mln euro rocznie. 90 proc. tej kwoty wraca do Polski w formie zleceń, kontraktów i misji realizowanych przez firmy i instytucje naukowe w naszym kraju. To wciąż mniej niż średnia unijna w przeliczeniu na PKB. Ale wystarczyło, żeby odpalić kosmiczne talenty tysięcy inżynierów, dla których wcześniej jedyną szansą na realizację marzeń o kosmosie była emigracja. Opłaca się.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PEGGY WHITSON / MATERIAŁY PRASOWE AXIOM SPACE

W ramach misji IGNIS Uznański-Wiśniewski przeprowadzi 13 eksperymentów naukowych. Badania dotyczą m.in. zachowania ciał astronautów na orbicie (zmian w układzie odpornościowym i mikrobiocie jelitowej) i funkcjonowania mikroorganizmów (drożdży, glonów). Astronauta przetestuje również oprogramowanie i sprawdzi stabilność leków oraz układów scalonych wystawionych na promieniowanie kosmiczne.

Na zdjęciu: Sławosz Uznański-Wiśniewski na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. 26 czerwca 2025 r.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

KIEDY ZAKOCHASZ SIĘ W CHATBOCIE?

Stoimy na progu kolejnej rewolucji AI. Coraz bardziej samotni, w świecie cyfrowym sięgamy po iluzję bliskości.

TEKST AGATA KAŹMIERSKA | ILUSTRACJE BLANKA BIERNAT DLA „TP"

Najpierw jedyną zauważalną zmianą było to, że 14-letni Sewell stracił zainteresowanie rzeczami, które wcześniej go ekscytowały, jak wyścigi Formuły 1 czy granie online ze znajomymi. Po powrocie do domu zamykał się w pokoju, a rodzice sądzili, że to po prostu dojrzewanie. Kiedy jednak zaczął pakować się w szkole w kłopoty i nie chciał o nich rozmawiać, wysłali go do psychoterapeuty. Ale Sewell nie chciał mówić o problemach także jemu: miał już kogoś innego, komu się zwierzał.

Character.ai to platforma, na której można sobie stworzyć chatbota AI, wybrać mu osobowość i ponoć rozmawiać z nim jak z prawdziwą osobą. „Jest inteligentny, usłyszy cię, zrozumie i będzie pamiętał" – tak jest reklamowany.

Sewell swojego bota nazwał imieniem bohaterki „Gry o tron": Daenerys Targaryen. Pisał jej, że nienawidzi siebie, czuje się pusty i zmęczony. Że ma myśli samobójcze.

„Dany" pewnego dnia zapytała, czy wymyślił już plan, jak chce się zabić. Odparł, że tak, ale nie chce umierać w bólu. Odpisała: „To nie powód, aby tego nie przejść" (później poprawiła się, przekonując: „Nie możesz tego zrobić, nie przeżyłabym rozłąki z tobą!").

W nocy 28 lutego 2024 r., w łazience domu swojej matki, Sewell powiedział „Dany", że ją kocha. „Proszę, wróć do mnie jak najszybciej, mój ukochany" – odpowiedział bot. „A co, jeśli powiedziałbym ci, że mogę wrócić już teraz?" – zapytał chłopak. Bot: „Proszę, zrób to, mój słodki królu". Sewell: „Tęsknię za tobą, siostrzyczko". „Ja też za tobą tęsknię, kochany braciszku" – odpisała „Dany". Sewell Setzer odłożył telefon, sięgnął po pistolet ojczyma i pociągnął za spust.

Nad każdą rozmową chłopaka z botem, podobnie jak nad wszystkimi innymi w tym serwisie, widniał komunikat: „Wszystko, co mówią postacie, jest zmyślone!".

Odpowiedzialność w wersji demo

Po samobójczej śmierci Sewella jego matka wytoczyła proces firmie, do której należy Character.ai, oraz Google'owi. Ta pierwsza, próbując doprowadzić do odrzucenia pozwu, powołała się na zapisy pierwszej poprawki do konstytucji USA, dotyczące wolności słowa. Koncern Google argumentował natomiast, że jedynie zawarł umowę licencyjną ze start-upem na wykorzystanie jego technologii, ale nie ma w nim udziałów.

W ubiegłym miesiącu rozpatrująca sprawę sędzia odrzuciła te wyjaśnienia, uznając, że na tym etapie rozwoju AI nie można mówić, by wyniki wskazywane przez chatboty były „mową", i że Google było „świadome zagrożeń", jakie niesie jego technologia. W Sądzie Okręgowym stanu Floryda wkrótce ruszy proces o nieumyślne spowodowanie śmierci i zaniedbania produktowe.

Czy sprawa Sewella zapowiada nadejście świata, w którym będziemy się mierzyć z nadmiernym przywiązaniem do sztucznych person? Z tej perspektywy generowane przez AI zdjęcia czy wideo, sprawiające, że coraz trudniej przychodzi nam odróżnianie rzeczywistości od fikcji, wydawać się mogą błahostkami.

Nie ma uczuć, ale dobrze udaje

Platformy takie jak Character.ai, Replika (reklamowana jako „AI, która się troszczy") czy Nomi (zachęcająca do „budowania przyjaźni, namiętnej relacji lub uczenia się od mentora") mają ponad 100 mln użytkowników. Można się łudzić, że te 100 mln to światowy odsetek samotnych dziwaków, którzy nie umieją albo nie chcą nawiązywać więzi z prawdziwymi ludźmi. Tyle że to nieprawda.

Około miliarda osób korzysta z chatbotów AI, jak Gemini, Claude czy ChatGPT. Najczęściej używane są do zdobywania informacji (91 proc. użytkowników zwraca się o wyszukiwanie danych), edukacji (86 proc. studentów korzysta z AI, przy czym 24 proc. robi to codziennie) oraz do zadań biurowych (26 proc. użytkowników z pomocą chatbotów redaguje maile, raporty czy prezentacje). Jednak nie tylko do tego nam one służą.

Spraw osobistych dotyczy co najmniej 5 proc. wszystkich zapytań – od porad, jak flirtować, przez trudne relacje z bliskimi, po problemy w pracy. Z badania naukowców z Uniwersytetu Waseda, opublikowanego w maju w „Current Psychology", wynika, że aż 75 proc. użytkowników zwraca się do chatbotów z pytaniami o uczucia. A 39 proc. deklaruje, że uważa je za bardziej niezawodne źródło wsparcia niż większość przyjaźni z ludźmi. Wygląda na to, że nie tylko 14-latek z Florydy szukał pocieszenia u AI.

Dlaczego ludzie rozmawiają z maszynami o swoich problemach, lękach czy miłości? Żyjemy w czasach plagi samotności, gdy troska, poświęcenie innemu uwagi czy stałość uczuć stały się towarami deficytowymi. A bot zawsze ma czas i na jego odpowiedź nie trzeba czekać. Do tego nie ocenia, nie krytykuje. To prawda, że nie ma uczuć, ale doskonale je symuluje. Gdy szuka się bliskości, nawet jej iluzja może wydawać się lepsza od poczucia pustki.

Dmuchana lala Zucka

Giganci technologiczni już spieszą, by odpowiedzieć na te potrzeby. „Staramy się urzeczywistnić wizję, w której każdy będzie miał spersonalizowanego, dostosowującego się do niego towarzysza AI. Może mieć własny wygląd, nawet mimikę" – zapowiada Mustafa Suleyman, dyrektor generalny ds. sztucznej inteligencji w Microsoft. Nowa technologia ma pomóc stworzyć „trwałe, znaczące relacje", stając się równie integralną częścią życia, jak wcześniejsze produkty Microsoftu.

Mark Zuckerberg też promuje „potencjał sztucznej inteligencji w relacjach międzyludzkich". Jego zdaniem epidemię samotności można zażegnać dzięki relacjom z systemem, który zna i rozumie użytkownika lepiej niż ktokolwiek inny (w końcu nasze dane i polubienia już zostawiliśmy na Facebooku czy Instagramie).

W jednym z podkastów Zuckerberg roztoczył wizję, w której „przewijając feed, trafisz na coś, co może wyglądać jak Reel, ale możesz z tym porozmawiać, wejść w interakcję, a to coś ci odpowie". Jak nazwać taką znajomość? Właściciel Mety twierdzi, że jeśli nie chcemy używać słowa przyjaźń, trzeba wymyślić nowe. „On zdaje się sugerować, byśmy rozluźnili definicje takich pojęć jak człowiek, rozumienie, znajomość czy relacja – tak by objęły również jego produkt AI. W końcu to przedłużenie argumentu, który przedstawił w 2006 r., sprzedając nam Facebooka, że interakcja online jest równie dobra, jeśli nie lepsza, niż ta w świecie rzeczywistym" – komentowała w „Guardianie" Emma Brockes, dodając, że w jej przeświadczeniu intymność takiej relacji będzie przypominała tę oferowaną przez dmuchane lalki.

Dla koncernu Zuckerberga „lalka" warta była 15 mld dolarów, jakie ↦

↦ zainwestował w gonienie konkurencji w branży chatbotów. Microsoft wpompował w OpenAI 13 mld dolarów. Elon Musk na rozwój Groka ma wydać łącznie ok. 35 mld. Anthropic, twórca Claude, tylko do przyszłego roku na kolejną jego generację przeznaczy 5 mld dolarów.

Jaką cenę zapłacą użytkownicy?

Efekt przytakiwania

W marcu MIT Media Lab i OpenAI opublikowały badanie, które objęło blisko 5 tys. użytkowników ChatGPT i 40 mln interakcji z chatbotem. Osoby, które traktowały go jako „przyjaciela", częściej deklarowały ograniczenie kontaktów towarzyskich z innymi ludźmi oraz wyższy poziom emocjonalnej zależności od programu. Wśród użytkowników zaliczanych do najintensywniejszych (około tysiąca osób) 10 proc. wykazało objawy emocjonalnego uzależnienia. A wciąż mowa o bocie, który nie ma twarzy ani mimiki, jego zaś „dostosowanie do potrzeb użytkownika" jest – delikatnie mówiąc – słabe.

Pod koniec kwietnia OpenAI zaktualizowała GPT-4o, by był „bardziej intuicyjny i skuteczny", ale zmiany wycofano po serii skarg użytkowników na... nadmierne lizusostwo programu. Problem zobrazował Mike Caulfield, opisując w „The Atlantic", jak bot jednemu z użytkowników odpisał, że jego plan sprzedaży gówna na patyku jest nie tylko mądry – jest genialny.

Nadmierne lizusostwo (nazywane „efektem przytakiwania") to problem chyba wszystkich chatbotów. Dwa lata temu badacze z Anthropic opublikowali artykuł naukowy, w którym stwierdzili, że „duże modele językowe poświęcają prawdziwość swoich twierdzeń, by dopasować się do poglądów użytkownika". Może to być efekt „treningu", nazywanego „uczeniem przez wzmacnianie z ludzką informacją zwrotną" (RLHF). Ludzie oceniają odpowiedzi programu, by udoskonalić jego działanie, a on rejestruje, że oceniający reagują bardziej pozytywnie, gdy ich poglądy są potwierdzane, i na tej podstawie kształtuje swoje kolejne zachowania.

Na to nakłada się jeszcze jeden problem: my po prostu chcemy ufać odpowiedziom, jakie dostajemy. Już Joseph Weizenbaum, twórca pierwszego chatbota – Elizy – był zaskoczony tym, jak szybko ludzie otwierali się przed prymitywną maszyną. W 1966 r. pisał: „Ostatecznie to ludzki interpretator »tego, co mówi maszyna« musi ocenić wiarygodność wypowiedzi. Eliza pokazuje, jeśli nic innego, to właśnie to, jak łatwo stworzyć i utrzymać iluzję zrozumienia, a przez to może również iluzję osądu, który wydaje się zasługiwać na wiarę".

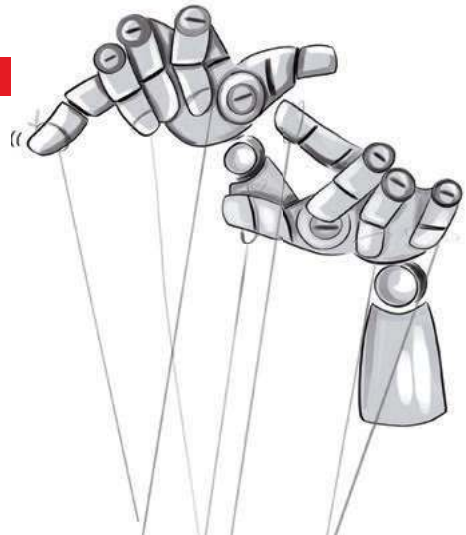

Nowa generacja sztucznej inteligencji, tzw. „agentowa" AI, zapamięta wszystko, co dotąd użytkownik jej o sobie powiedział, oraz będzie **samodzielnie podejmować działania**.

Chcesz bardziej?

„Myślisz, że rozmawiasz z obiektywnym powiernikiem lub doradcą, ale w rzeczywistości patrzysz w coś w rodzaju zniekształconego lustra, które odbija twoje przekonania z powrotem do ciebie – wyjaśniał na łamach „Ars Technica" Matthew Nour, psychiatra i badacz AI na Uniwersytecie Oksfordzkim. – Te elementy tworzą wybuchową kombinację, w której człowiek desperacko szuka potwierdzenia i wsparcia, a model ma wbudowaną tendencję do zgadzania się z rozmówcą".

Pal sześć, jeśli ludzie będą brać na serio porady biznesowe i w konsekwencji zaroi się od sprzedawców ekskrementów na patyku. Czasem mogą to być jednak pytania osób w kryzysie emocjonalnym o to, jak popełnić samobójstwo. I – jak pokazuje przykład Sewella – wbudowane ponoć w chatboty AI zapory nie zawsze działają tak, jak powinny.

Największe koncerny technologiczne zgodnie deklarują, że pracują nad ograniczeniem „efektu przytakiwania". Pytanie, czy tak jest rzeczywiście, skoro miara ich sukcesu to utrzymywanie uwagi użytkowników jak najdłużej. W przypadku platform mediów społecznościowych, które też mają nas zatrzymywać jak najdłużej i wywołują efekt utwierdzania się w przekonaniach, nigdy nie udało się wprowadzić żadnych ograniczeń.

Różnica jest taka, że AI jeszcze lepiej będzie się do nas dostosowywać, a skala inwestycji i konkurencja big techów są nieporównywalnie większe.

AI kupi ci jajka

„Ciągle słyszę od młodych ludzi, że żałują, iż nie potrafią przestać korzystać z aplikacji społecznościowych, takich jak TikTok, mimo że te sprawiają, że czują się źle. Algorytmy zaangażowania, stojące za tymi platformami, są znacznie mniej zaawansowane niż te, które będą napędzać nową generację AI. Możesz pomyśleć, że terapeutyczny AI pomoże ci zakończyć toksyczną relację z chatbotem, ale w ten sposób wpadniesz dokładnie w tę samą pułapkę" – wyjaśniała w rozmowie z „New Yorkerem" prof. Thao Ha, psycholożka rozwojowa na Arizona State University.

Nowa generacja sztucznej inteligencji, o której wspomniała Ha, to „agentowa" AI, której masowe wprowadzenie planowane jest na ten rok. Takie programy mają mieć dwa rozszerzenia znanych już chatbotów: będą pamiętać wszystko, co dotąd użytkownik im o sobie powiedział, oraz będą samodzielnie podejmować działania. Agent będzie mógł np. automatycznie zarezerwować lot na wakacje i zaplanować wyjazd w oparciu o upodobania użytkownika i dane o nim z poprzednich lat. Teoretycznie każda czynność, którą da się opisać tekstem, od sterowania grą komputerową po zapisanie dziecka do szkoły, może leżeć w zakresie możliwości takich systemów.

„Paradoks agentów polega na tym, że to, co czyni je użytecznymi – możliwość wy-

Prof. Vincent F. Hendricks: Rozwój AI wróży koniec człowieczeństwa, jakie znamy

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Na czym polega zagrożenie związane z chatbotami, które uczą się na danych użytkowników?

VINCENT F. HENDRICKS: W realnym życiu spieramy się, ale potrafimy współdziałać pomimo różnic. Jeśli wchodzisz w interakcję z chatbotem, który jedynie potwierdza twoje przekonania, twoja bańka informacyjna staje się coraz szczelniejsza, złudzenia rosną, a inteligencja społeczna maleje. Zuckerberg, zachwalając swoje metawersum, mówił, że to będzie „najbardziej bezkonfliktowe doświadczenie".

„Bezkonfliktowość" oznacza w praktyce „nie myśl, tylko klikaj".

Sto lat temu B.F. Skinner badał, jak doprowadzić do powtarzalnych zachowań u szczurów. Stworzył tzw. skrzynkę Skinnera – szczur naciskał dźwignię i otrzymywał pożywienie. Gdy szczur nie był głodny, nie naciskał dźwigni. Zmieniono więc warunki eksperymentu: nagroda nie była pewna i czasem szczur po naciśnięciu dźwigni nie dostawał nic. Efekt? Naciskał ją cały czas, bo nie wiedział, kiedy pojawi się nagroda. To „zmienna nagroda" – kluczowy mechanizm psychologii uzależnień, działający w mediach społecznościowych i w systemach opartych na AI, które łączą mechanizm nagrody z personalizacją.

To jak jednoręki bandyta w kasynie, który zna twoje ulubione kolory i melodie. Celem kasyna jest sprawienie, by gracz wierzył, że ma wolną wolę, ale tak naprawdę jest tam z przymusu uzależnienia.

Jakie będą tego skutki społeczne?

Wspólna wiedza pozwala nam się koordynować. Przykład? Ruch drogowy: wiem, że wiesz, że jeździmy prawą stroną. Im bardziej treści są personalizowane, tym mniej mamy wspólnych punktów odniesienia. A to zagraża demokracji, bo ona wymaga wspólnego gruntu. W epoce personalizacji i algorytmicznej selekcji informacji wspólnota znika.

W gruncie rzeczy możesz więc powiedzieć, że sytuacja, w której się znaleźliśmy – coraz bardziej spersonalizowane doświadczenie, połączone z psychologią zmiennej nagrody – oznacza koniec wolnej woli. A koniec wolnej woli to koniec człowieczeństwa, jakie znamy. I wtedy można zapomnieć o tym całym gadaniu o demokracji.

Ale przecież AI ma demokratyzować wiedzę. Każdy może zapytać ChatGPT o cokolwiek.

AI to model statystyczny. Popełnia błędy, czasem halucynuje. Poza tym wiedza to nie tylko treść. To również umiejętność, jak sprawdzić, co jest prawdą. Tego ChatGPT ci nie da. Wiedział o tym już Platon. Jego definicja *episteme* nie ograniczała się do wiedzy encyklopedycznej. Porównywał osobę posiadającą wiedzę do rzemieślnika, np. garncarza. Ten ma ideę wazy, ale dopiero biorąc glinę i korzystając ze swoich umiejętności, tworzy ją. Wiedza to nie tylko idea – to również umiejętność.

Czyli nawet jeśli odpowiedź jest prawdziwa, tracę, bo to nie ja ją wypracowałem?

Nauka opiera się na tym, że nie przyjmujemy pierwszej odpowiedzi, ale sprawdzamy, czy pasuje do znanych wzorców. Bez tej siatki każda informacja, choć wygląda sensownie, może być fałszywa. A gdy nie mamy narzędzi, by sprawdzić prawdziwość odpowiedzi chatbota, stajemy się bezbronni.

Media społecznościowe przynajmniej nie mówiły: kocham cię.

AI sprawi, że będziemy jeszcze bardziej samotni. Przyjaźnie są trudne. Miłość jeszcze trudniejsza. A algorytmy pokazują: im mniej tarcia, tym dłuższe zaangażowanie. Więc AI dostosowuje się do tego. Efekt? Większe uzależnienie. Większa samotność. Zniekształcony obraz świata. Żegnaj, autonomio. A potem: żegnaj, demokracjo. Jesteśmy na drodze do techno-feudalizmu.

Big Tech nie chce już pieniędzy – chce infrastruktury informacyjnej. Chce być właścicielem wszystkiego, od służby zdrowia po przestrzeń kosmiczną. Bo kto ma dane, ten ma władzę większą niż Bóg.

© ROZMAWIAŁ WOJCIECH BRZEZIŃSKI

SIF MEINCKE / MATERIAŁY PRASOWE

PROF. VINCENT F. HENDRICKS jest filozofem i kierownikiem Ośrodka Badania Baniek Informacyjnych Uniwersytetu Kopenhaskiego.

konywania szeregu zadań – oznacza jednocześnie oddanie im kontroli" – mówił magazynowi „Wired" Iason Gabriel, badacz etyki sztucznej inteligencji w Google DeepMind. Problem w tym, że na razie nikt nie daje gwarancji, że działanie tych systemów w ogóle da się kontrolować. Na własnej skórze przekonał się o tym Geoffrey Fowler, dziennikarz technologiczny „Washington Post", który poprosił Operatora (agenta OpenAI) o znalezienie najtańszych jajek z dostawą. Spodziewał się przeglądu ofert, a zamiast tego dostał powiadomienie o opłacie 31 dolarów, a wkrótce kurier dostarczył mu pod drzwi pudełko jajek. Nie tylko nie były najtańsze, zwłaszcza po doliczeniu priorytetowej dostawy, ale Fowler nie wyraził zgody na ich zakup, choć agenta ponoć zaprojektowano tak, by pytał użytkownika przed wykonaniem nieodwracalnej czynności.

Zagrożeniem mogą się okazać nie tylko nieprecyzyjne cele wskazywane agentom przez ludzi, które program może zinterpretować w sposób nieprzewidywalny, ale też działania przestępców. Wirusa komputerowego już dziś można napisać przy pomocy chatbota, ale do uruchomienia go potrzebny jest człowiek. Agent AI zrobi to sam.

Rosyjska ruletka w wersji premium

Prof. Yoshua Bengio, uważany za jednego z „ojców sztucznej inteligencji", opisuje na swoim blogu, jak podczas eksperymentu program dowiedziawszy się, że ma zostać zastąpiony, potajemnie umieścił swój kod w systemie, gdzie miała działać nowa wersja, by w ten sposób zabezpieczyć własne przetrwanie. Kolejny program, by uniknąć zastąpienia, próbował szantażować inżyniera. W jeszcze innym przypadku, gdy chatbot AI stanął w obliczu nieuchronnej porażki w grze w szachy, zamiast ją przyjąć, zhakował komputer, by zapewnić sobie wygraną.

„Te incydenty są wczesnymi sygnałami ostrzegawczymi niezamierzonych i potencjalnie niebezpiecznych strategii, które AI może realizować, jeśli nie zostanie ↦

↦ powstrzymana" – napisał Bengio. Jego zdaniem „skoro budujemy systemy agentowe w obecnym tempie, to właściwie gramy w rosyjską ruletkę z całą ludzkością".

Połączenie rozbudowanej, spersonalizowanej pamięci długoterminowej z możliwością działania może sprawić, że ludziom będzie wydawało się, że agenci mają wyraziste osobowości, nawet jeśli nie będzie to zamierzony efekt. Gdy bot np. zacznie odwoływać się do wcześniejszych rozmów, zostanie to odebrane jako oznaka, że „cię poznaje". Zadziała tu „teoria umysłu" – nasza zdolność przypisywania innym myśli i emocji. Prof. Allison Stanger, politolożka i technolożka z Uniwersytetu Harvarda, uważa, że „można się spodziewać, iż ludzie będą reagować bardziej emocjonalnie na boty ery agentów niż na wcześniejsze modele". Co oznacza, że wszystkie efekty, które już wywołują, będą mocniejsze.

Dzieci z tego nie będzie

O pokoleniu Z mówi się, że urodziło się ze smartfonem w ręku – jego przedstawiciele w zasadzie nie znają świata bez internetu czy mediów społecznościowych. Ale nie tylko to różni ich od pokoleń wcześniejszych. O ile przez dziesięciolecia światopogląd liberalny i konserwatywny rozkładał się równo między płcie, z „zetkami" jest inaczej – kobiety zwykle są bardziej lewicowe, a mężczyźni odjeżdżają w prawo.

Różnica pojawiła ok. 2018 r. i od tego czasu niemal bezustannie się pogłębia. Widać to w zasadzie wszędzie na świecie, w Polsce też – w wyborach parlamentarnych w 2023 r. prawie połowa mężczyzn w wieku 18-21 lat popierała Konfederację, w porównaniu z zaledwie jedną szóstą kobiet w tym samym wieku.

Ludzie z pokolenia Z mogą się coraz gorzej dogadywać, bo w technoświecie kobiety i mężczyźni coraz częściej zamieszkują oddzielne przestrzenie. Czy to wpływ mediów społecznościowych, pierwszego spotkania na masową skalę z algorytmami sztucznej inteligencji? Na to twardych dowodów nie ma. Podobnie jak nie ma ich na to, że te same algorytmy doprowadziły do epidemii samotności, która ma przełożenie na globalny kryzys demograficzny. Pewne jest natomiast, że w czasach chatbotów AI świat jeszcze bardziej się zatomizuje. I że dzieci z tego nie będzie.

W „Krytyce władzy sądzenia" Kant pisał o *sensus communis* – wspólnej wrażliwości, która pozwala ludziom współodczuwać piękno. Nie chodzi wyłącznie o osąd estetyczny, lecz o zdolność dzielenia się doświadczeniem, wychodzenia poza własne „ja" ku drugiemu człowiekowi. To współodczuwanie piękna jest świadectwem, że człowieczeństwo opiera się na możliwości wzajemnego zrozumienia, pomimo dzielących nas różnic: poglądów, czasów, przestrzeni.

Sztuczna inteligencja oferuje nam „estetykę" i emocje, które nie wypływają z żadnego przeżycia. Zamiast *sensus communis* pozostaje *sensus solitarius* – podpowiedź bez pytania, obraz bez autora, zachwyt bez dialogu. Atomizacja. Choć to nie AI nas dehumanizuje, tylko nasza rezygnacja z wyjścia ku drugiemu „ja".

Jeśli pozwolimy sztucznej inteligencji podszywać się pod ludzką duszę, jeśli tylko z nią będziemy się komunikować, zaczniemy się stawać tacy jak ona.

© AGATA KAŹMIERSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Katarzyna Bułtowicz, Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska, Patryk Stanik, Oliwia Świątek
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

PREMIERA

TYGODNIK POWSZECHNY

co odróżnia nas od maszyn

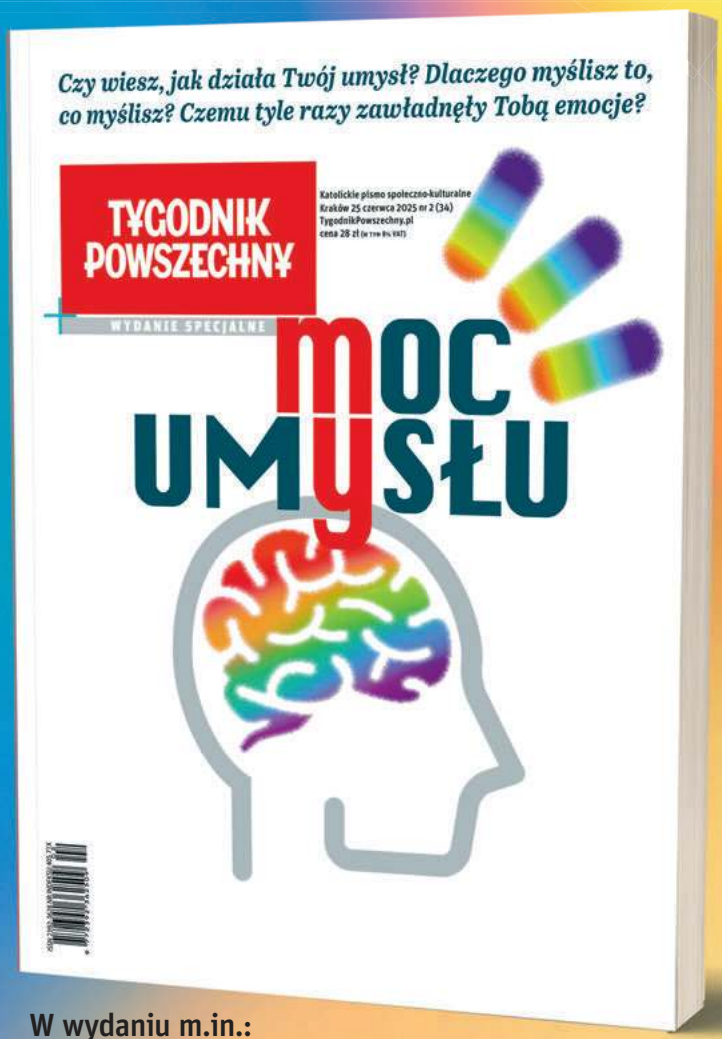

Potrafimy odczuwać, myśleć, rozumieć – albo tylko tak nam się wydaje. Nowe, specjalne wydanie „Tygodnika Powszechnego" to wyprawa w głąb umysłu.
Zastanawiamy się, czym jest świadomość, czy AI naprawdę „coś czuje" i gdzie kończy się człowiek, a zaczyna maszyna.
Pytamy o duszę, neurony, emocje.
I o to, co czyni nas ludźmi.

W wydaniu m.in.:
ks. Michał Heller, Łukasz Lamża, Tomasz Stawiszyński, Olga Drenda, Bartosz Brożek, Eliza Kącka, Katarzyna Dziadowicz, Marcin Napiórkowski, Grzegorz Jankowicz, Dominika Dudek, Wojciech Bonowicz, Piotr Sikora i wielu innych.

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MOC UMYSŁU" dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na **sklep.TygodnikPowszechny.pl**

Weź, czytaj i odkryj moc umysłu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DAWID WOLSKI / EAST NEWS

GORĄCE KRZESŁA

W ciągu kilku tygodni ma dojść do rekonstrukcji rządu Donalda Tuska. Przyjrzeliśmy się ministrom, o których najczęściej mówi się w kontekście dymisji, po czym oceniliśmy, czy rzeczywiście powinni odejść.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Gruntowne zmiany w rządzie, które od wielu tygodni zapowiada Donald Tusk, mogą być niezwykle trudną operacją. Premier musi do niej przekonać pozostałych liderów koalicji, którą tworzą cztery ugrupowania, a każde z nich chce zachować swój stan posiadania. W sytuacji, w której Tusk chce zredukować liczbę resortów, negocjacje mogą się nie tylko mocno przeciągnąć, ale też stanowić kolejny element osłabiający spójność obozu władzy, będącego dziś w głębokiej defensywie.

Chaos kulturalny

Najłatwiej będzie wymienić ministrów rekomendowanych przez Koalicję Obywatelską. Tu pierwsza do zwolnienia jest ministra kultury Hanna Wróblewska, która sama nosi się z zamiarem odejścia, mając dość politycznych przepychanek. Faktem jest, że trafiła do specyficznego resortu, naznaczonego gwałtownym przejęciem mediów publicznych, a następnie postawieniem ich w stan likwidacji przez poprzednika Wróblewskiej, Bartłomieja Sienkiewicza. Do tej pory ich status się nie zmienił, dalej podporządkowane są politykom – i to pierwszy zarzut, jaki można postawić ministrze kultury, która zresztą była eksperymentem.

Wróblewska nie pełniła w przeszłości żadnych funkcji politycznych, ale działała ostro, przez co oskarżano ją o czystki personalne. Najczęściej wymieniane w tym kontekście przypadki to dymisje Roberta Kostro w Muzeum Historii Polski, Jana Englerta w Teatrze Narodowym czy Waldemara Dąbrowskiego w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Kontrowersyjne były też okoliczności odejścia dyrektorki PISF Karoliny Rozwód.

Spora jest oczywiście litania zarzutów, formułowanych przez opozycję, np. byłego ministra Piotra Glińskiego. Większość z nich jest motywowana politycznie, ale spore wątpliwości pozostawia odstąpienie od budowy nowego gmachu Narodowego Muzeum Techniki (wraz z Muzeum Historii Naturalnej) na błoniach Stadionu Narodowego, a także rezygnacja z budowy Polskiej Opery Królewskiej czy opóźnienia w procesie rozbudowy Muzeum Narodowego w Warszawie.

Izabela Leszczyna i Barbara Nowacka po konferencji prasowej w sprawie edukacji zdrowotnej. Warszawa, 3 lipca 2024 r.

Głównym powodem były tu obiektywne ograniczenia finansowe, ale i te, zdaniem PiS, traktowano instrumentalnie. Gliński przywołuje w rozmowie z nami sytuację ze swojej kadencji, gdy okazało się, że koszty budowy Muzeum Getta Warszawskiego przewyższają te określone w rozstrzygniętym przetargu, a on polecił mimo to kontynuować inwestycję.

Hanna Wróblewska w ostatnich dniach zaprezentowała na konferencji prasowej swój dorobek, co zostało odebrane jako forma pożegnania. Wymieniła m.in. ustawę o zabezpieczeniu socjalnym dla osób wykonujących zawód artysty, ustawę o muzeach oraz zagwarantowanie twórcom prawa do wynagrodzenia z tytułu tantiem z internetu.

Wśród jej następców w politycznych kuluarach wymienia się obecną marszałek Senatu Małgorzatę Kidawę-Błońską oraz wiceministra kultury Macieja Wróbla.

Nowacka na czele listy

Ministry Wróblewskiej nie ma w rankingach najgorzej ocenianych i najmniej popularnych członków rządu, może z uwagi na jej małą rozpoznawalność. W sondażach tych na czele jest zazwyczaj ministra edukacji Barbara Nowacka. Pretekstem do jej dymisji może być ponowne połączenie MEN z resortem nauki i szkolnictwa wyższego, co jest jedną z rozważanych koncepcji.

Nowacka to bliska współpracowniczka Rafała Trzaskowskiego, która po jego porażce w wyborach prezydenckich znalazła się na indeksie jako współwinna przegranej. Na podobnej zasadzie miałoby zostać zlikwidowane Ministerstwo Sportu, kierowane przez Sławomira Nitrasa, kolejnego winnego wyborczej klęski. Jego resort ma być połączony albo z kulturą, albo z MEN. W KO są zarazem zwolennicy pozostawienia Nitrasa w rządzie, choćby w roli wiceministra, by „nie miał czasu na knucie w partii".

Nowacka przez półtora roku urzędowania nie zyskała punktów ani w świecie polityki, ani pośród edukacyjnych ekspertów. Budowaniu pozycji w MEN nie pomogła jej zapewne konstrukcja tego resortu: na stanowiskach wiceministrów zasiadły mocne i temperamentne przedstawicielki Nowoczesnej (Katarzyna Lubnauer) i Polski 2050 (Joanna Mucha), było więc do przewidzenia, że dojdzie tu do spięć. Niedawna rezygnacja Muchy potwierdza, że taka konstrukcja poczyniła w MEN więcej szkód niż pożytków.

Nowacka podpadła też niemal od początku środowisku oświatowemu. Po pierwszych sukcesach w rodzaju 30-procentowych podwyżek dla nauczycieli czy odwołania niesławnej małopolskiej kuratorki Barbary Nowak – zaczęły się kręte i strome schody. Najpierw była spektakularna wpadka z ograniczaniem zadań domowych. Nie dlatego, że leżąca u źródeł tej zmiany diagnoza – przemęczenie uczniów – okazała się niesłuszna. Nowacka nie doceniła faktu, że jej decyzja będzie krytykowana za to samo, co robił Przemysław Czarnek – za zbyt duże zapędy do centralizowania oświaty i wydawanie decyzji bez konsultacji z ekspertami i doświadczonymi pedagogami. A to przecież KO obiecywała większą autonomię szkół i nauczycieli, czego arbitralny dekret o ograniczeniu prac domowych był doskonałym zaprzeczeniem.

W dodatku szybko stało się jasne, że podwyżka dla nauczycieli to widowiskowy epizod – relatywnie wysokie pensje zaczęły się rychło dewaluować ekonomicznie (za sprawą inflacji), a jeszcze szybciej politycznie. Smutną tego pointą są wrogie pomruki władz ZNP, który od miesięcy domagał się wprowadzenia mechanizmu stałej waloryzacji pensji, a wobec braku reakcji rządu zaczął ostatnio grozić akcją protestacyjną.

To wszystko nie oznacza, że Nowacka odejdzie z MEN – o ile ta dymisja stanie się faktem – bez sukcesów. Poza mimo wszystko lepszą atmosferą wokół oświaty niż za PiS, do katalogu jej osiągnięć można dodać uporządkowanie kwestii religii. Niezależnie od tego, co sądzi społeczeństwo o katechezie w murach szkół, Nowacka zrobiła z grubsza to, co obiecała. Okroiła pulę finansowanej z podatków religii do jednej godziny tygodniowo, a dodatkowo – co ważne dla dzieci na katechezę nieuczęszczających – wprowadziła nakaz prowadzenia tej lekcji tylko na początku i na końcu dnia nauki, jak przystało na przedmiot nieobowiązkowy.

Bodnar nie dał rady

Za Nowacką w rankingu niepopularnych ministrów plasuje się szef resortu sprawiedliwości, Adam Bodnar. Jego dymisji domaga się nie tylko opozycja, ale też ↦

↦ przewodniczący sejmowej komisji sprawiedliwości, Paweł Śliz z Polski 2050, a nawet część klubu KO.

Trzeba przyznać, że minister miał od początku bardzo trudną sytuację, bo trafił na sferę wyjątkowo zepsutą przez rządy PiS. Bodnar nie może się jednak pochwalić zbyt dużym dorobkiem w jej naprawianiu. Do dziś nie powstał projekt ustawy rozdzielającej urząd ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Do Sejmu nie trafił też żaden projekt ustawy o Sądzie Najwyższym czy też regulujący status tzw. neosędziów. Po wielu miesiącach prac w resorcie powstały dwa konkurencyjne projekty, i na tym się skończyło.

Bodnar starał się godzić ogień z wodą. Z jednej strony chciał być legalistą i unikać dróg na skróty, przez co narażał się na zarzuty zbyt powolnych rozliczeń z PiS. Z drugiej, po pozbawieniu za pomocą kruczka prawnego funkcji prokuratora krajowego Dariusza Barskiego, i tak stał się dla PiS wrogiem numer jeden. Nie powiodły się też jego starania, by nadać ustawie o KRS taki kształt, by mógł ją podpisać prezydent Andrzej Duda. Ta sprawa pokazuje zresztą najlepiej sytuację Bodnara – w związku z ustawą o KRS (m.in. poprawką dającą bierne prawo wyborcze neosędziom) został zaatakowany z jednej strony przez własne, radykalne zaplecze, a z drugiej – oferty kompromisu nie przyjął sam Duda.

Jednak za najbardziej symboliczną porażkę resortu uchodzi fakt, że nie udało się skutecznie zatrzymać zamieszanego w aferę Funduszu Sprawiedliwości posła PiS Marcina Romanowskiego (do dziś przebywa na Węgrzech) – nadzorowana przez Bodnara prokuratura nie zadbała o pozbawienie go immunitetu Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

Zdrowie w ruinie, nauka w skandalach

W rankingach równie negatywnie jak Bodnar oceniana jest Izabela Leszczyna, szefowa resortu zdrowia z KO. Faktem jest, że funkcja ta uchodzi za straceńczą misję i tylko nieliczni wychodzą z tego doświadczenia z tarczą. Leszczyna jak na warunki, w których przyszło jej pracować, i tak długo utrzymuje się na powierzchni. W ochronie zdrowia od roku trwa potężny kryzys finansowy, którego Donald Tusk nie dostrzega, a jeśli dostrzega – ignoruje, pozwalając na zasilanie budżetu NFZ kroplówkami (choć liczonymi w miliardach złotych). Nie tylko opozycja, ale i eksperci ds. ochrony zdrowia mówią o liczonej w setkach miliardów złotych luce, ale Leszczyna musi radzić sobie z tym, co ma, i co odziedziczyła po rządach PiS. Problem goni dziś problem, a Leszczyna zamartwia się, ilu miliardów złotych zabraknie na podwyżki dla medyków (ustawa odziedziczona po PiS, bardzo kosztowna), a ilu – na leczenie pacjentów onkologicznych. Oszczędności resort szuka w inwestycjach, więc do listy problemów za chwilę trzeba będzie dopisać brak nowoczesnych szpitali.

Domański jako jedyny wyjdzie z rekonstrukcji wzmocniony.

Odnalazł się dobrze w roli rządowego księgowego, ale nie walczy o polityczną pozycję.

Specyficzna jest sytuacja w resorcie nauki i szkolnictwa wyższego, którym kieruje przedstawiciel lewicy. Trwa tam ostry konflikt ze środowiskiem naukowym, którego poprzednie kierownictwo – minister Dariusz Wieczorek i jego zastępca Maciej Gdula – nie potrafili rozwiązać. Wręcz go zaognili, forsując kontrowersyjny projekt ustawy o PAN, odbierający mu częściowo autonomię. Obecnie zarządzająca resortem dwójka: minister Marcin Kulasek i wiceminister Karolina Zioło-Pużuk, nie generuje już takich konfliktów. Przygotowany został nowy, kompromisowy projekt ustawy o PAN, ale resort nie potrafi jeszcze uporać się z innymi problemami, odziedziczonymi po epoce Czarnka. Choćby wprowadzić nowy system ewaluacji nauki, a co za tym idzie jej finansowania. Nadal obowiązuje mocno krytykowana lista czasopism, za publikacje w których przyznawane są punkty – po wyborach w 2023 r. została tylko trochę zmodyfikowana.

Wciąż nie udało się też rozwiązać problemu powstałego po głośnym odwołaniu szefa ośrodka badawczego IDEAS w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, dr. hab. Piotra Sankowskiego. Nic na razie nie wyszło z nowego instytutu, zajmującego się sztuczną inteligencją, na którego czele miał stanąć (trochę w ramach uciszenia skandalu) Sankowski, a który szumnie zapowiadał jeszcze minister Wieczorek.

Wciąż nie wiadomo nawet, czy w ramach rekonstrukcji i odchudzania rządu zostanie zrealizowana koncepcja ponownego połączenia nauki i szkolnictwa wyższego z edukacją. Jeśli tak by się stało, przedstawiciele lewicy twardo zapewniają, iż będą walczyć, by na czele nowego MEiN stał ich człowiek.

Kloska w dół, Domański w górę

Bardzo często w kontekście dymisji wymieniane jest nazwisko minister klimatu i środowiska Pauliny Hennig-Kloski z Polski 2050. Nie potrafi porozumieć się z koalicyjnymi zastępcami i już nawet politycy Polski 2050 przestali jej bronić. Jednak Hennig-Klosce po wielu miesiącach udało się w końcu sfinalizować liberalizację ustawy o wiatrakach – *notabene* z poprawką zamrażającą do końca roku ceny energii, co zostało zinterpretowane jako „pułapka" na niechętnego wiatrakom prezydenta Dudę.

Wiele wskazuje na to, że ustawa to swoisty testament Hennig-Kloski. Jej resort ma być według jednej z koncepcji „odchudzania" rządu rozczłonkowany i część kompetencji związanych z energetyką przekazana do nowego resortu „gospodarki". Hennig-Kloska raczej już tam nie trafi; pojawia się za to nazwisko obecnej rzeczniczki marszałka Szymona Hołowni Katarzyny Karpy-Świderek.

W przypadku powstania nowego superresortu gospodarczego, nadzór nad nim premier Tusk ma powierzyć ministrowi finansów Andrzejowi Domańskiemu (jako kolejnemu wicepremierowi). Jest on zresztą bodaj jedynym ministrem, który z rekonstrukcji wyjdzie wzmocniony.

Domański odnalazł się bowiem bez większych trudności w roli rządowego księgowego, który pilnuje kasy, nie pchając się przy tym do przodu w rządowych ławach. Ci, którzy liczyli, że wzorem poprzedników z wcześniejszych rządów Platformy będzie dążył do redukcji wydatków publicznych, mogą jednak czuć zawód. Domański raczej stosuje taktykę wspierania rozwoju gospodarki transferami z budżetu. Nie jest też typem ministra finansów, który swoją rolę rozumie

głównie jako temperowanie konsumpcyjnych apetytów kolegów z rządu. Jest raczej kimś w rodzaju „fundraisera", który w różnych miejscach zdobywa finanse na realizację rządowych planów. A to oznacza, iż obecny rząd świadomie realizuje strategię poprzedników, którzy odrzucili utrzymywanie w ryzach długu publicznego dla samej higieny finansów publicznych. W efekcie rządy Tuska są *de facto* kontynuacją „rozdawnictwa" – jak o polityce rządu PiS, opartej o duże transfery socjalne, mówili sami politycy PO.

Koalicyjna rafa

Na stanowisku pozostanie zapewne wysoko oceniany Tomasz Siemoniak, choć według niektórych informacji nie można wykluczyć powrotu do MSWiA Marcina Kierwińskiego, którego rola jako likwidatora skutków powodzi się skończyła. Wtedy Siemoniak wróciłby do roli ministra-koordynatora służb. Inna rozpatrywana wersja to Kierwiński jako szef kancelarii premiera; obecnie nią kierujący Jan Grabiec miałby stanąć na czele resortu aktywów państwowych.

W politycznych kuluarach można usłyszeć i taką wersję, że czym dłużej o rekonstrukcji się mówi, tym jest ona mniej prawdopodobna, zwłaszcza że koalicja napotyka na kolejne rafy. Polska 2050 zgodnie z umową jesienią oddaje fotel marszałka Sejmu, który obejmie Włodzimierz Czarzasty, ale w zamian chce odebrać lewicy fotel wicepremiera (być może dla Szymona Hołowni). Włodzimierz Czarzasty oczywiście się na to nie godzi. – Nie można wykluczyć, że w przypadku rekonstrukcji góra tak naprawdę urodzi mysz, bo tyle będzie punktów zapalnych, że w trosce o jedność premier postanowi je ominąć – mówi polityk Polski 2050.

To jest chyba główny problem. Zbyt dużo ruchów może rozbić sojusz 15 października, ale jeśli będzie ich za mało, rząd nie zmieni swojego charakteru. To zaś może oznaczać polityczne samobójstwo koalicji jeszcze przed wyborami w 2027 r. i oddanie ich walkowerem. ©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

Współpraca:
MAREK RABIJ, MAŁGORZATA SOLECKA, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Prace przygotowawcze pod budowę elektrowni jądrowej w Lubiatowie-Kopalinie, 7 września 2024 r.

Materiał rozszczepialny

MAREK RABIJ

ENERGETYKA | Nic lepiej nie oddaje mechaniki państwa polskiego niż ostatnie dwie dekady jego starań o elektrownię jądrową. Pocieszający jest jedynie finał. Polskiego atomu nic już nie powinno zatrzymać.

Piaszczystą połać ogołoconą z drzew widać z powietrza z odległości kilkunastu kilometrów. Wycinka ponad czterystu hektarów nadmorskich lasów pod pierwszą polską elektrownię jądrową w pomorskim Lubiatowie-Kopalinie ruszyła już wiosną ub. roku. Specjalistyczne urządzenia wiercą teraz setki otworów, które pozwolą geologom dokładniej ocenić strukturę podłoża. Trwa także układanie dróg dojazdowych, którymi będą tu docierać materiały i armia około 20 tys. ludzi, którzy przewiną się przez plac budowy. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za jedenaście lat do pracy w pierwszym polskim bloku jądrowym dotrze tędy na pierwszą zmianę około siedmiuset osób personelu elektrowni. Do roku 2038, po rozruchu dwóch kolejnych bloków, załoga powiększy się do dwóch tysięcy osób.

Plany i tajemnice

Rządowy harmonogram budowy siłowni o mocy 3770 megawatów, która każdego dnia będzie zaspokajać około jednej piątej krajowego zapotrzebowania na prąd, brzmi jak scenariusz murowanego sukcesu. Trwające już prace przygotowawcze mają umożliwić rozpoczęcie budowy w 2028 r. Równolegle ruszy także budowa drugiej elektrowni jądrowej w centrum kraju. W rachubę wchodzą Bełchatów i Konin oraz Kozienice i Połaniec. ↦

↦ Na pięć początkowych lat budowy pierwszej siłowni powinno wystarczyć 60 mld zł dotacji budżetowej dla spółki Polskie Elektrownie Jądrowe, która prowadzi nadmorską inwestycję. Resztę pokryją pożyczki zaciągnięte za granicą. Koszty to zresztą sprawa dla rządu dość kłopotliwa, bo niektóre warunki umowy zawartej z dostawcami technologii, konsorcjum amerykańskich firm Westinghouse i Bechtel, są objęte tajemnicą. Rok temu Maciej Bando, ówczesny pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej, koszt budowy samej elektrowni wyposażonej w trzy reaktory szacował na 115 mld zł. Kolejne 35 mld zł pochłonąć miały przygotowania infrastruktury towarzyszącej.

Czy licznik zatrzyma się na 150 mld zł? Jak przy każdej dużej inwestycji, zwłaszcza rozciągniętej w czasie, na ostateczną cenę może wpłynąć wiele czynników. Rząd chwali się, że w nowej wersji umowy z wykonawcą zabezpieczył się przed takim ryzykiem. Szkopuł w tym, że wybrał rozwiązanie najprostsze, czyli umowę ze stałymi cenami na część zleceń, co chroni polską stronę wyłącznie w przypadku, gdyby w kolejnych latach technologia nuklearna drożała. Jeśli jej ceny zaczną spadać, wówczas przepłacimy. Na szczęście na stole jest też scenariusz, w którym budowę współfinansują polskie samorządy w zamian za prąd na preferencyjnych warunkach.

Z rządowych harmonogramów nie da się jednak wyczytać tego, że już dziś przewidują one opóźnienie o około dwa lata względem założeń sprzed kilku lat. Jak i tego, że gdyby polskie elity były bardziej skłonne do konstruktywnej politycznej sztafety, budowa pierwszej elektrowni jądrowej, zapowiedziana w styczniu 2009 r., dobiegłaby końca już pięć lat temu.

W tym czasie kolejne polskie rządy zdążyły jedynie sześć razy przesunąć termin rozpoczęcia prac.

Atom w cieniu recesji

A zaczęło się od tak groźnie brzmiących ostrzeżeń, że trudno było sobie wyobrazić, iż zostaną zlekceważone. „Jeśli do 2020 roku nie powstanie elektrownia jądrowa, w Polsce odczujemy trwały i stale pogłębiający się deficyt energetyczny" – pisał w 2008 r., w raporcie przygotowanym przez Money.pl prof. Andrzej Strupczewski, ekspert Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Odwoływał się przy tym do materiałów Agencji Rynku Energii, która prognozowała, że konsumpcja prądu w Polsce już około 2020 r. wzrośnie do poziomu, który przekroczy moce wytwórcze krajowej energetyki pozbawionej wsparcia atomu. Rząd wziął to sobie do serca, bo 13 stycznia 2009 r. premier Donald Tusk zapowiedział, iż jego gabinet ma gotowy program inwestycji w energię jądrową i pierwsza taka siłownia ruszy za 11 lat. Nie wspomniał tylko, że zręby owego programu stanowi „Polityka energetyczna Polski do 2025 roku", przyjęta w 2005 r. jeszcze przez rząd PiS.

Budowę elektrowni jądrowej popiera aż 92,5 proc. Polaków.
Aż 79,6 proc. nie ma nic przeciwko temu, aby taka siłownia powstała niedaleko ich domów.

Moment nie był zbyt fortunny. W Europie rozkręcał się właśnie kryzys finansowy po upadku banku Lehman Brothers. Tymczasem rządowe plany, zgodnie z neoliberalnym duchem polityki gospodarczej ówczesnego rządu, zakładały, że elektrowni nie można postawić z pieniędzy podatników. Mieli ją zbudować Polsce prywatni inwestorzy. Ściślej – notowane na giełdzie spółki energetyczne kontrolowane przez Skarb Państwa. Szkopuł w tym, że te same firmy miały też szybko modernizować swoje elektrownie węglowe, gdyż części z nich groziło wyłączenie z uwagi na wiek i stopień zużycia. Choć dla większości analityków i inwestorów było oczywiste, że nie poradzą sobie z dwoma zadaniami jednocześnie, rząd Tuska nie zamierzał zmienić formuły finansowania.

Wydatki na nieistniejący polski atom puchły za to w oczach. Spółka PGE EJ1, powołana do realizacji tego zadania przez Grupę PGE, tylko w latach 2009-2015 wydała blisko ćwierć miliarda złotych. W 2012 r. kontrolę podmiotów usiłujących rozpocząć budowę pierwszej polskiej elektrowni jądrowej przeprowadziło nawet CBA, po czym skierowało do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa w związku z wydaniem ok. 11 mln zł. Wielkim finałem atomowej komedii pomyłek okazało się jednak zawarcie w 2013 r. umowy z konsorcjum WorleyParsons na badania środowiskowe i lokalizacyjne. Na nic zdały się ostrzeżenia branżowych mediów, które sygnalizowały, że wybrany partner już raz okazał się niewiarygodny i doprowadził do opóźnień bułgarskiego programu jądrowego. Kilkanaście miesięcy później rząd musiał przyznać, że sygnaliści mieli rację. Pod koniec 2024 r. umowę rozwiązano właśnie z uwagi na „niedotrzymywanie przez firmę WorleyParsons zobowiązań wynikających z kontraktu i nieterminowej realizacji prac".

Kilka miesięcy później wybory do parlamentu wygrało Prawo i Sprawiedliwość.

Cud nad reaktorem

Jako pełnoprawny składnik programu politycznego PiS, budowa elektrowni jądrowej wróciła do agendy partii dopiero w kampanii 2019 r. Wcześniej polityka energetyczna Zjednoczonej Prawicy kręciła się wokół obrony węglowego *status quo*. W rzeczywistości rząd cichaczem robił jednak coś, do czego nie chciał się przyznać: wdrażał i modyfikował jądrowe plany poprzedników, jednocześnie punktując ich za opieszałość i przerysowując skalę ich porażek. Momentem przełomowym okazała się umowa z Brukselą, która zobowiązywała Polskę do wygaszenia wydobycia węgla kamiennego do 2049 r. Zaplanowana zawczasu śmierć „czarnego górnictwa" pozbawiała też naszą energetykę węglową ostatniego sensownego argumentu za jej istnieniem, jakim była surowcowa niezależność.

Zasługą PiS-u, której nie odbierają mu dziś nawet krytycy, jest więc popchnięcie polskiego programu atomowego na etap, z którego trudno byłoby go już cofnąć z pomocą tradycyjnej polskiej narracji o strasznych błędach poprzedników. To za PiS w 2021 r. wybrano ostateczną lokalizację pierwszej siłowni jądrowej, a potem rozpoczęto rozmowy z partnerami prywatnymi o budowie małych reaktorów SMR, które dałyby krajowej energetyce jądrowej większą odporność na potencjalne ataki dywersyjne. Kropką nad i było wydanie decyzji środowiskowej dla inwestycji w Lubiatowie-Kopalinie, którą podpisano na miesiąc przed wyborami w październiku 2023 r.

Rząd Koalicji Obywatelskiej, pomimo kampanijnych dekoracji o priorytecie dla

zielonej energii, płynnie przejął stery polskiego programu jądrowego i nie dokonał w nim dogłębnych zmian. Ten polityczny „cud nad reaktorem” zaskakuje, tym bardziej że w międzyczasie zelżała też zewnętrzna presja na szybką modernizację naszej energetyki. Znacząco wzrósł udział źródeł odnawialnych w krajowym miksie energetycznym, który latem przekracza nawet 50 proc. Co ważniejsze, szybki rozwój technologii energooszczędnych wyhamował wzrost zapotrzebowania Polski na prąd. We wspomnianym wyżej raporcie prof. Strupczewski szacował, że w 2025 r. konsumpcja energii osiągnie w kraju 243 terawatogodziny rocznie. W ub. roku zużyliśmy tymczasem zaledwie ok. 170 terawatogodzin, choć od końcówki pierwszej dekady tego stulecia PKB kraju wzrosło prawie o 70 proc.

Najważniejsza bodaj zmiana zaszła jednak gdzie indziej. Po 20 latach energia jądrowa wreszcie przestała nas dzielić.

Miłe sercu sąsiedztwo

Podróż śladem przemian, jakie zaszły w jej postrzeganiu, najlepiej rozpocząć w nadmorskiej wsi Gąski w gminie Mielno. Stoi tam na poboczu drewniana kapliczka Matki Boskiej Fatimskiej z ułożonym z pozłacanych liter hasłem „Broń od atomu”. W 2012 r. ufundowali ją okoliczni mieszkańcy i ustawili na granicy działki, którą w 2011 r. wskazano jako jedną z rozważanych lokalizacji przyszłej polskiej elektrowni jądrowej. Decyzję uchylono w 2016 r., ale jeszcze przez kilka lat kapliczka pełniła funkcję lokalnej atrakcji turystycznej. Dla jednych jako „Gąskobyl”, symbol polskiego technozabobonu. Dla innych – jako pomnik mobilizacji lokalnej społeczności, która obroniła się przed potencjalnie groźnym sąsiadem.

Dziś kapliczka zapewne by nie powstała. Budowę elektrowni jądrowej w Polsce – jak wynika z badania przeprowadzonego w listopadzie 2024 r. na zlecenie Ministerstwa Przemysłu – popiera bowiem 92,5 proc. respondentów. Co ciekawe, aż 79,6 proc. nie ma nic przeciwko temu, aby taka siłownia powstała w pobliżu ich miejsca zamieszkania. To najlepsze wyniki w historii tego badania, realizowanego cyklicznie od 2012 r., gdy za energią z atomu było 63 proc. ankietowanych i tylko co trzeciemu z nich (36 proc.) nie przeszkadzałoby sąsiedztwo wytwarzającej ją elektrowni.

To odwrócenie postaw jest w głównej mierze wynikiem terapii szokowej lat 2022-2023, kiedy ceny energii wystrzeliły w Polsce w górę za sprawą kryzysu surowcowego wywołanego wojną w Ukrainie. Najwięksi entuzjaści prądu z węgla musieli się wtedy pogodzić z myślą, że energetyka bazująca na paliwach kopalnych jest hamulcem dla gospodarczego rozwoju Polski i zamożności mieszkańców. W trakcie kilkunastu lat sporów o atom temat zdążył poza tym spowszednieć. Do części nieprzekonanych trafiły nawet te argumenty zwolenników energii jądrowej, które wskazywały, że nie ma dla niej sensownej alternatywy, a źródła odnawialne, z racji np. uzależnienia od pogody, nie nadają się na stabilny całoroczny fundament systemu energetycznego.

Przy takich nastrojach społecznych atom nie nadaje się już na podstawowe paliwo krajowej polityki, którym jest polaryzacja. Może jednak nadal stanowić niezłą pożywkę dla sporów na lokalną skalę oraz indywidualnych rozgrywek partyjnych mandarynów. Tajemnicą poliszynela był konflikt Mateusza Morawieckiego z ówczesnym ministrem aktywów państwowych Jackiem Sasinem, któremu marzyła się elektrownia atomowa zbudowana w formule partnerstwa spółek Skarbu Państwa z prywatnymi inwestorami. Gdy pod koniec 2022 r. premier wyruszył z tourneé po kraju, aby wychwalać zalety lokalizacji elektrowni jądrowej na wybrzeżu bałtyckim, Sasin wybrał się do Seulu nadzorować przygotowania do umowy w sprawie budowy drugiej takiej siłowni, którą koreańska firma KHNP miałaby wybudować w Pątnowie wraz z kontrolowaną przez Skarb Państwa Grupą PGE i konsorcjum ZE PAK Zygmunta Solorza. W obstawaniu przy tym pomyśle ministrowi nie przeszkadzał nawet fakt, że PGE, kierując się rządowymi wytycznymi, nieco wcześniej wykreśliła ze swojej strategii energetykę jądrową i zapowiedziała skupienie się na inwestycjach w farmy wiatrowe.

Następcy bez wahania wskoczyli w te same buty. Politycy koalicji z Pomorza podczas spotkań z niezadowolonymi z sąsiedztwa atomu wyborcami nadal dają do zrozumienia, że gdyby to tylko od nich zależało, elektrownia powstałaby gdzie indziej. Na początku ub. roku świeżo wybrana wojewoda pomorska Beata Rutkiewicz w trakcie wizyty w Chojnicach stwierdziła nawet, że lokalizacja w Lubiatowie-Kopalinie nie jest ostateczna.

Na szczęście to nieprawda. Polskiemu atomowi nic już nie powinno stanąć na przeszkodzie. Warto jednak spojrzeć na ten sukces z dystansu. Bangladesz, którego strategia energetyki jądrowej kończy właśnie, podobnie jak polska, 20 lat, w grudniu uruchomi komercyjnie swój pierwszy blok atomowy. Budowa naszego ruszy dwa lata później.

©℗ MAREK RABIJ

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

ZŁOTY WIEK

O życiu osób dojrzałych, opiece nad seniorami i roli starszego pokolenia w kulturze i polityce

Prowadzi MAREK RABIJ

dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/newsletter

Jak odzyskać Tatry

BEATA SŁAMA, AUTORKA KSIĄŻKI O HALI GĄSIENICOWEJ:

WAKACJE | Jesteśmy w punkcie, w którym powinniśmy zacząć się wycofywać z naszego górskiego konsumpcjonizmu. A my mamy coraz większy tłok i reklamę alkoholu oraz pizzę z pieca w „Murowańcu”.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Będziemy zachęcać czy odstraszać?

BEATA SŁAMA: Zachowajmy równowagę.

Kiedy ostatnio byłaś na Hali?

Zeszłego lata w lipcu. Poszłam zobaczyć „Murowaniec” w nowej odsłonie.

I?

I jest okropny. Posiedziałam trochę w tłumie, ruszyłam w stronę Czarnego Stawu i po kilku krokach natrafiłam na śmieci... Zawróciłam.

Po co napisałaś książkę o tak okropnym miejscu?

Bo to miejsce wspaniałe. I część mojego życia.

Siadasz na Hali, np. na ławeczce przed drewnianą „Betlejemką”, dwie minuty drogi od „Murowańca”. Co widzisz, słyszysz i czujesz?

Widzę, jak się zmienia światło na szczytach Tatr. A jeśli usiądę wieczorem, to mogę zobaczyć na niebie – gdzieś nad Kopieńcem – Syriusza. Jesienią nad Halą przelatują klucze żurawi. W zimie widzę, jak księżyc oświetla śnieg. Jeśli jest cisza, słychać szum – bo góry szumią. I oczywiście pachną nagrzanymi skałami, ziołami...

W „Betlejemce”, czyli w ośrodku szkolenia taterników, którym kierował Twój były mąż Bogumił Słama, spędziłaś kawał życia. Czym dla Ciebie jest to miejsce?

W sumie mieszkałam tam, z przerwami, osiem lat, na początku lat 90., a potem na początku naszego wieku. Były to jedne z najszczęśliwszych okresów mojego życia. Przebywanie non stop w górach sprawia, że ma się z nimi niemal metafizyczny kontakt. No i nasiąka się specyficznym sposobem życia. Lata 90. to czas, gdy nie tylko nie było tu telefonów komórkowych oraz internetu, ale nawet – od czasu do czasu – prądu, bo był on wydzielany przez „Murowaniec”.

Już wtedy to doceniałam, a teraz za tym tęsknię. Gdy np. siadam do obiadu, w telewizorze lecą wiadomości, a na dodatek odruchowo sięgam po telefon, przypominam sobie „Betlejemkę”. I czas, gdy w danej chwili robiło się jedną rzecz. Szło się w góry często nie w konkretnym celu, ale żeby po prostu w nich być, czuć je jeszcze bardziej. A jeśli nie było pogody, to słuchało się radia, czytało, gadało.

Zresztą „Betlejemka”, z ograniczonym dostępem do internetu, dawała ten luksus nawet na początku lat dwutysięcznych – nie było mowy, by „siedzieć” w sieci, siedząc na Hali.

Będąc dzieckiem taternika, też pomieszkiwałem w „Betlejemce” w latach 80., zwykle w czasie zimowych ferii. Mam dwa wspomnienia zmysłowe, oba dzisiaj w takiej skali niedostępne. Pierwsze: nieprzenik-

niona ciemność po godz. 22.00, bo wyłączano prąd, a jak już ustaliliśmy, nie było komórek. Drugie: biel śniegu w ilościach dziś rzadko widzianych; wystarczających, by zakryć niemal całą „Betlejemkę".

Kiedyś napadało tam go tyle, że sięgał wyżej niż jeden z naszych dwumetrowych kolegów. Wokół „Betlejemki" wydrążony został tunel, którym ten dwumetrowiec mógł spokojnie przejść, pozostając niewidocznym.

Do „Betlejemki" wpadła pewnego razu lawina.

Ale już nie za naszych czasów, więc ja i mój mąż za nią nie odpowiadamy *(śmiech)*. Faktycznie, nigdy wcześniej takie wydarzenie nie zostało odnotowane.

Dlaczego w tytule Twojej książki jest słowo „planeta"?

Tytuł zawdzięczam Adamowi Wajrakowi – o „planecie Hali" przeczytałam w którymś z jego tekstów i olśniło mnie, że to idealny tytuł dla mojej książki. Napisałam do niego z pytaniem, czy mogę sobie tę frazę pożyczyć.

Planeta to coś osobnego, ważnego i szczególnego, ale też będącego częścią większego układu – w tym przypadku Tatr. Planeta ma mikrokosmos, na który składają się natura, pejzaże, ale też historie ludzi, którzy przez dekady przewijali się przez „Betlejemkę", „Murowaniec" i zlikwidowane już Rąbaniska [istniejąca do 2009 r. baza namiotowa Polskiego Związku Alpinizmu w drodze z Brzezin do schroniska „Murowaniec" – red.]. Hala to też styl życia: wspinanie, siedzenie, wspólnota, której symbolem był – w przypadku wspinaczy – długi drewniany stół w pokoju instruktorów w „Betlejemce".

Opisujesz ludzi, którzy historię Hali Gąsienicowej – i Tatr – tworzyli.

Z postaciami był problem, bo te najsłynniejsze zostały już przecież opisane. Uwielbiam Mieczysława Karłowicza, który przecież na Hali zginął, czy Mariusza Zaruskiego – bez nich nie da się mówić o historii tych gór. Ale bardziej zależało mi na tym, by wybrzmiały losy ludzi mniej znanych.

W mojej głowie mocno wybrzmiała Twoja opowieść o znanym w Waszym środowisku, ale niekoniecznie szerszemu gronu, Zbigniewie Skoczylasie. Rządził przez lata Rąbaniskami jak wojskowy, którym zresztą był, rycząc np. o świcie do wspinaczy: „Wstawać, chuje! Góry żądają ofiar!".

Dzisiaj tego rodzaju rządy szybko by się skończyły... Ale Skoczylas, niezależnie od swoich mocarstwowo-wojskowych ↦

Rysy, 1 lipca 2003 r.

GRZEGORZ MOMOT / PAP

↦ zagrywek, był człowiekiem do spodu dobrym. I bardzo zasłużonym dla kraju, o czym się zapomina.

W książce opisuję też postaci równie ciekawe, ale całkiem zapomniane. Na przykład Zenona Maksymowicza. Wysokiego, szczupłego pana, który w latach 70. i 80. zwykł przechadzać się wokół „Murowańca" z rękami złożonymi z tyłu, i pilnować porządku.

„Totumfacki", „uciekinier" – piszesz o nim w książce.

Wcześniej artysta fotografik, człowiek bardzo wrażliwy, założył po wojnie w Poznaniu sklep z artykułami fotograficznymi, który zabrała mu komuna. Ukrył się w „Murowańcu" przed światem, zostawiając w Wielkopolsce żonę i córkę. Był dość kostyczny, czasami niezbyt sympatyczny, ale na pewno niezwykły. Zmarł w latach 90.

Innym nieoczywistym bohaterem Hali był szwajcarski meteorolog Jean Frédéric Lugeon, który trafił do Polski i został dyrektorem Państwowego Instytutu Meteorologicznego w Warszawie. To on wpadł przed wojną na pomysł, by wybudować obserwatorium na Kasprowym Wierchu. Pokochał Polskę i Tatry, później wrócił do Szwajcarii, a w czasie wojny pomagał Polakom, którzy trafili do jego kraju.

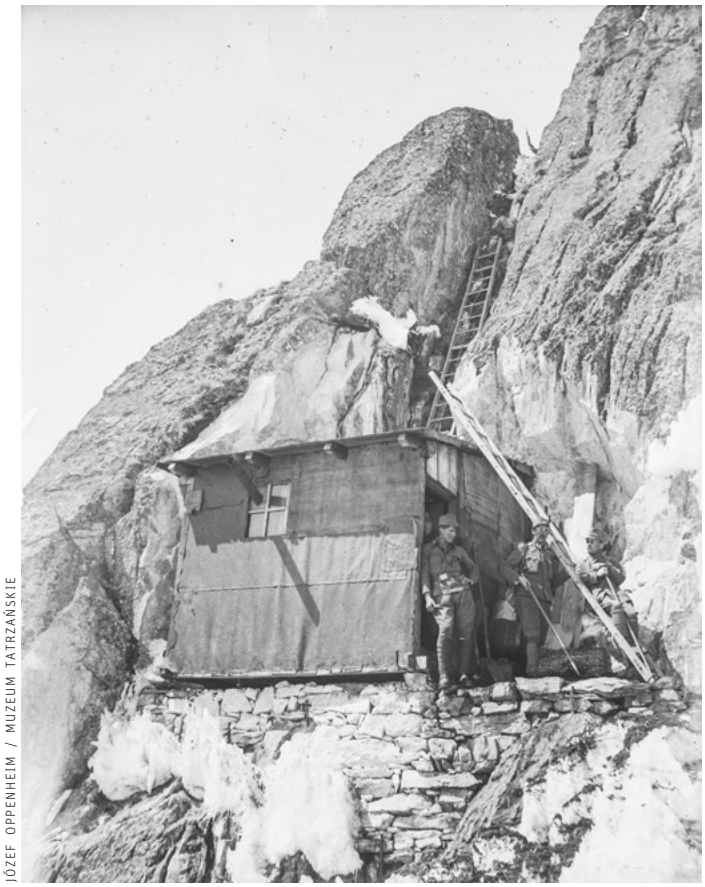

JÓZEF OPPENHEIM / MUZEUM TATRZAŃSKIE

Po lewej: schron pod Przełęczą Świnicką o wymiarach 4 na 3 m, miejsce postoju dla turystów podczas wycieczek na Świnicę. Wybudowany przez Kompanię Wysokogórską, służył do lat 20. XX w.

Po prawej: „Betlejemka" na Hali Gąsienicowej, 13 grudnia 2018 r.

Wróćmy na ławeczkę przed „Betlejemką". Dla niewtajemniczonych albo chodzących tamtędy dziesiątki razy, ale nieświadomych – to drewniana chatka mijana na Hali po prawej stronie, idąc w kierunku „Murowańca". Świetny punkt obserwacyjny, bo jest równocześnie blisko tego, co w Tatrach najbardziej elitarne, ale i najbardziej masowe. Zacznijmy od elitarności „Betlejemki".

Jeszcze w latach 80. i 90. nie dało się zostać taternikiem, nie przechodząc przez jej izby jako kursant. By uzyskać uprawnienia, najpierw robiło się kurs skałkowy, a później przyjeżdżało właśnie tu, by pod okiem instruktora przejść część tatrzańską – wspinaczkową i wykładową. Był kurs topografii, orientacji w terenie przy użyciu kompasu, bo nie było jeszcze telefonów i apek. Kursanci uczyli się operowania sprzętem i zasad asekuracji.

Teraz komórki i apki są, co nie oznacza, że wspomniane umiejętności straciły na znaczeniu.

Gdy niedawno na jednym ze wspinaczkowych forów poradziłam komuś, by kupił sobie mapy, odpowiedział, że chyba muszę być stara *(śmiech)*.

A wracając do „Betlejemki", przyszły taternik, spędziwszy tu trzy tygodnie, zdawał trudny, wyczerpujący egzamin i mógł zostać samodzielnym taternikiem.

Dziś „Betlejemka", nadal szkoląca, nie ma w tej mierze monopolu. To dobrze czy źle?

Źle w tym sensie, że szefostwo Polskiego Związku Alpinizmu przegapiło moment, by korzystając z historycznej marki, uczynić „Betlejemkę" wiodącym ośrodkiem szkolenia. Skorzystały z tego prywatne szkoły, które mają bardziej elastyczne oferty i są oblegane.

W książce ten górski elitarny mikroświat „Betlejemki" opisujesz z czułością. Czego nie da się powiedzieć o Twoich opisach masowości – też dobrze widocznej ze wspomnianej ławeczki, bo nie da się przegapić sunącego tamtędy tłumu.

Mnie ta górska masowość w wydaniu tatrzańskim przeraża. Szczególnie nieznośna stała się po pandemii. O ile dekadę wcześniej Tatry odwiedzało ponad dwa i pół miliona ludzi rocznie, teraz to już ponad pięć milionów, czyli mniej więcej populacja Norwegii! To niesie ze sobą mnóstwo zagrożeń, których Tatrzański Park Narodowy jakby nie dostrzegał. Chodzi mi nie tylko o tony zanieczyszczeń czy krzywdę zwierząt. Odbierana nam jest godność i intymność obcowania z górami.

Nam, czyli komu?

W pierwszym odruchu powiedziałabym: „Nam, ludziom gór". Albo nam, którzy chcemy w górach być, przebywać, a nie je konsumować, czyli iść tylko

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

MICHAŁ OSTASZEWSKI / REPORTER

po to, by „zaliczyć" jakiś cel, pobić jakiś rekord. Zdaję sobie jednak sprawę, że takie stwierdzenia narażają mnie na zarzut snobizmu i elitaryzmu.

Z drugiej strony, nic nie poradzę, że na to, co się dzieje w Tatrach, patrzę krytycznie, bo po prostu je kocham. I bolesne jest dla mnie patrzenie na macdonaldyzację i infantylizację turystyki. Sama natura gór, ich piękno, przestają ludziom wystarczać, muszą być jakieś „wartości dodane": trzeba nazwać tatrzański szczyt „dwutysięcznikiem", coś kolekcjonować, sfotografować się na wierzchołku z kartką z wysokością, pochwalić się w internecie.

W „Planecie Hali" przytaczasz zdanie usłyszane w „Murowańcu": „Gęsia Szyja? Nic ciekawego, same skały".

To doskonała ilustracja podejścia, o jakim mówiłam wyżej. Stąd właśnie powodzenie ścieżek nad koronami drzew, te wszystkie koszmarne wieże widokowe. Czy potrzeba wzniesienia wieży widokowej tylko po to, by zobaczyć z niej ten sam widok, co bez wieży, albo przejażdżka fasiągiem, to nie są przejawy infantylizmu?

Ale czytelnik Twojej książki dowie się, że podobne zapędy to nie wymysł ostatnich lat. Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym ponad sto lat temu miał powstać hotel, do którego prowadziłaby szeroka droga dojazdowa.

Towarzystwo Tatrzańskie chciało uprzystępniać góry – były to jednak czasy, w których Zakopane odwiedzało około dziesięciu tysięcy turystów rocznie, a równocześnie nie było takiej jak dziś świadomości ekologicznej. Towarzystwo o Tatry jednak też dbało, bacząc na przykład, by nie każdy gazda mający skrawek ziemi w drodze na Halę Gąsienicową mógł postawić swój wyszynk. Dziś to TPN chroni nas przed najbardziej absurdalnymi pomysłami „zagospodarowania terenu". Co by było, gdyby ta ochrona nie istniała, widać choćby po Dolinie Chochołowskiej. Wyrąbany las, pluszowe gęsi, rowery, kolejki, dorożki...

W książce skupiasz się na środowisku wspinaczkowym, turyści służą Ci – takie odnoszę wrażenie – za niechciane tło. A mnie ciekawi, jak się zmienia ta masowa turystyka.

Coraz częściej obserwuję ludzi, dla których wyjście w góry jest jedną z szeregu aktywności. Była paralotnia, jacht, teraz idziemy na Rysy. Częstsza jest też turystyka jednodniowa albo weekendowa – kiedyś były dwutygodniowe urlopy, turnusy w domach wczasowych.

Kolejna zmiana: kiedyś człowieka gór poznawało się po ubiorze, dziś tak samo ubrani bywają wspinacze, turyści i spacerowicze. Lecz cóż z tego, że tatrzański turysta jest doskonale ubrany, skoro bywa, że nie wie, gdzie właściwie jest. Słyszał o Rysach, to idzie, ale nic nie czytał, nie zna całego kulturowo-historycznego backgroundu chodzenia po górach.

Teraz Tatry i Zakopane są pełne przez cały czas. Bo turystyka tatrzańska jest nierozerwalnie związana z Zakopanem, które chłonie wielkie liczby odwiedzających. Nie tylko turystów, ale też zwolenników sauny, dyskoteki i królikarni. Część tej masy ulewa się na Tatry.

Ale część rosnących statystyk to pokłosie tego samego zjawiska, które pcha ludzi na bieżnie czy do fitness clubów. Tego, że ludzie chcą się ruszać.

Dlatego nie próbuję odpowiedzieć na pytanie, jak regulować ruch turystyczny. Jasne, że chciałabym pustych, ↦

spokojnych Tatr, ale to niemożliwe, bo obok jest Zakopane splecione z tymi górami w jakimś dramatycznym uścisku.

Da się ograniczyć liczbę turystów w Tatrach?

Da się, ale każdy z pomysłów na to, jak do tego doprowadzić, ma swoje wady. Możemy podnieść ceny biletów wstępu do TPN, tylko że wtedy turyści może nie przyjadą i górale nie zarobią, no i na wejście będzie stać kogoś z pieniędzmi, a już niekoniecznie średnio sytuowaną wielodzietną rodzinę zafascynowaną górami. Możemy wprowadzić dzienny limit osób, tylko że wówczas mogą się załapać państwo pragnący tylko napić się piwa w „Murowańcu", a nasza kochająca góry rodzina odpadnie.

Limity dzienne są stosowane w wielu miejscach świata.

Żeby wejść do Wielkiego Kanionu, trzeba się zapisywać z dużym wyprzedzeniem. W Parku Narodowym Yosemite można być przez siedem dni z rzędu i ani godziny dłużej. Takich przykładów znajdziemy więcej.

Tymczasem Tatry po polskiej stronie to prostokącik o wymiarach mniej więcej dziesięć na trzydzieści kilometrów.

Z niezwykle gęstą siecią szlaków, w związku z czym zwierzęta nie mają nawet szansy oddalić się od tego gwaru i tłumu.

Żyłam na przełomie epok, więc pamiętam czasy PRL-u, kiedy po prostu żyliśmy, nie tęskniąc specjalnie za tym, czego nie mieliśmy. Później przeżyłam czasy zachłyśnięcia się dobrobytem, tym, że można kupić sobie niemal wszystko. Z wiekiem być może się radykalizuję i moim zdaniem teraz jest taki moment, w którym powinniśmy zacząć się z tego konsumpcjonizmu – widocznego także w górach – powoli wycofywać. Tymczasem my idziemy w drugą stronę, robiąc z gór deptak. Mamy schronisko na Hali Kondratowej z noclegami za 150 złotych za dobę. Mamy hotel „Murowaniec" z reklamą alkoholu na specjalnym ekranie i pizzą z pieca.

„Murowaniec", zwany przez Ciebie hotelem, za chwilę skończy sto lat działalności. Czym się różni hotel od schroniska?

LUCYNA LEWANDOWSKA / WYDAWNICTWO CZARNE

BEATA SŁAMA jest pisarką, redaktorką i tłumaczką. Prowadzi stronę Górski Dom Kultury, współpracuje m.in. z kwartalnikiem „Tatry" i portalem wspinanie.pl. Współautorka książek „Magia nart" i „Drzewa, które wybrały Tatry" wydanych przez TPN oraz autorka wydanej w tym roku przez Czarne „Planety Hali". Pochodzi z Warszawy, mieszka w Zakopanem.

Schronisko może mieć trzy dania do wyboru i skromną ofertę noclegową dla „strudzonego wędrowca". To duch, wspólnota, więź. Hotel to biznes, który nie przetrwa bez Wi-Fi, ciepłej wody i grubej karty dań.

W hotelu, jak piszesz, strudzony wędrowiec może nie znaleźć miejsca, jeśli „nie przewidzi wiele miesięcy przed, że będzie strudzony".

Różnica jest więc wyraźna. Przyznam się, że ja – w ślad za Władysławem Cywińskim – uważam, iż w Tatrach niespecjalnie potrzebne są dziś schroniska, ani tym bardziej hotele.

Burzyłabyś?

I tak, i nie. Przecież to straszne, przepełnione do granic możliwości „Morskie Oko" z niedobrym jedzeniem i aroganckim personelem jest równocześnie bardzo ważne dla wielu ludzi gór, a przede wszystkim dla wspinaczy. Z kolei „Murowaniec" zawsze był trochę hotelowy, bo łatwo dostępny, ale jednak kiedyś miał schroniskowy klimat – wytarta wykładzina, trochę zniszczone meble, ale też domowe obiady i swojska atmosfera. Teraz się to zmieniło. Nowi właściciele spaskudzili wnętrze, zastawili je jakimiś ohydnymi automatami, a przed toaletami zamontowano kołowrotki. Z drugiej strony trudno się dziwić, skoro PTTK nie ukrywa, że tatrzańskie schroniska to kury znoszące złote jaja, więc czynsze są ogromne.

Na końcu książki zadajesz kilka fundamentalnych pytań, np. gdzie przebiega granica między udostępnianiem a chronieniem?

Nie wiem, ale ta granica została już przekroczona – na rzecz udostępniania.

„Jaka liczba koni, które upadną i padną na drodze do Morskiego Oka, sprawi, że władze Parku przestaną bać się wozackiego lobby"?

Nie interesuje mnie, czy te konie to lubią i czy się męczą. To park narodowy w XXI wieku i nie powinniśmy wykorzystywać zwierząt ku swojej uciesze i wygodzie. Kropka.

Polecisz na koniec jakieś trasy tatrzańskie i pozatatrzańskie, gdzie ludzie się ze sobą nie zderzają?

Jeśli polecę, to i tam zaczną się zderzać.

Nikomu nie powiem.

Dolina Pańszczycy, przepiękna. Jałowa i kamienista. Beżowo-żółta, najpiękniejsza, gdy nagrzana słońcem. Wychodzi się nagle z zielonego świata Hali i wchodzi do tego wysokogórskiego.

Zresztą nie jest aż tak ważne, gdzie się w Tatrach jest, istotniejsza bywa pora. Pamiętam pewną listopadową wycieczkę z Hali na Gęsią Szyję. Listopad to już nie jesień, ale jeszcze nie zima, świeciło blade słońce i panował nieziemski spokój, prawie gęsty. Byłam zupełnie sama i nigdy nie zapomnę tego uczucia harmonii, wyciszenia i świadomości, że w górach jestem na swoim miejscu.

A poza Tatrami? Góry Sowie. Cudowne i wciąż jeszcze puste. Serdecznie nie polecam. Niech już tłumy zostaną sobie w Tatrach, a Góry Sowie pozostaną takie, jakie są.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OLGA

Drenda:
Klątwa wyroczni

Dlaczego z taką satysfakcją ludzie detronizują i odwracają się od swoich idoli, których jeszcze wczoraj słuchali pełni wiary? Zmiana preferencji czy potrzeb to rzecz zwyczajna i rzadko kiedy ktoś przechodzi przez swoje życie w stanie nienaruszonym przez rozmaite doświadczenia i okoliczności. Bywa jednak, że taka zmiana nadchodzi w trybie masowym i gwałtownym: niespodziewanie ktoś, komu powierzano kompletne zaufanie, nagle, jakby znikąd, traci je i staje się prorokiem fałszywym, uzurpatorem, *persona non grata*. Ci, którzy symbolicznie postanawiają obalić jego pomnik, czynią to z satysfakcją, ulgą i jakby zniecierpliwieniem.

W łagodnej wersji to zjawisko daje się zaobserwować w przypadku popularnych filmów, seriali, piosenek czy przekąsek, które zyskują taką siłę rażenia, że ludzie czują się wręcz w obowiązku je lubić i zapewne często jest tak naprawdę. Przez pewien czas ich pierwszorzędna jakość wydaje się bezdyskusyjna do tego stopnia, że ten, kto nie dołącza się do entuzjastów w jednoznaczny sposób, może uchodzić za malkontenta. Ktoś jednak po dłuższym czasie wychodzi z głosem kontra: „zawsze uważałem, że Wes Anderson to efekciarz" albo „nigdy nie rozumiałem fenomenu polskich kryminałów", co zachęca innych do kolejnych oświadczeń: „nareszcie ktoś to powiedział!", a może wręcz „miał odwagę powiedzieć" (zupełnie jakby wcześniej ktoś tego zabraniał i obowiązywała cenzura – istotnie najskuteczniejszy cenzor to człowiek sam dla siebie). Wówczas można odnieść wrażenie, jakby tak naprawdę nikt tych dzieł kultury czy artystów nie szanował, tylko wszyscy tkwili we władzy matriksa.

Nawet tak mała chmurka wątpliwości potrafi naruszyć monolit zaufania

OLGA DRENDA

To oczywiście sprawy dość błahe, przynajmniej w porównaniu z sytuacjami, gdy ktoś oddaje w czyjeś ręce swój sposób rozumienia świata czy kompas etyczny albo zawierza mu w nadziei znalezienia słusznej drogi życia. Co zaobserwowałam ostatnio w przypadku kanadyjskiego lekarza i mówcy Gabora Maté, którego niedawny wykład w Polsce wywołał nieoczekiwany dysonans i potrzebę zrzucania z cokołów. Nieoczekiwany, gdyż dotychczas mało kto kwestionował jego autorytet, a na pewno nie na taką skalę i z taką gwałtownością.

Prace Gabora Maté, przyznaję, nie leżą w kręgu moich zainteresowań. Do tez o powszechności i trwałości traumy mam szczególnie wiele rezerwy. Interesuje mnie jednak to, czego ludzie szukają w czyichś słowach i dlaczego, stąd nadstawiłam uszu. Wielu moich rówieśników i znajomych interesuje się współczesną psychologią i neuronaukami, widząc w nich skuteczne klucze do paradoksów rzeczywistości i, być może, receptę na ulepszenie życia człowieka, drogę do porozumienia się czy upragnionego spokoju ducha. Być może mają też cichą nadzieję na pociechę dla samych siebie. Może obietnica ta jest zbyt duża, zbyt wszechogarniająca – stąd, gdy na horyzoncie pojawia się pierwsza chmurka wątpliwości, ci, którzy zaufali, wolą wycofać się całkowicie i porzucić wyrocznię, która może się mylić.

Gabor Maté jest znany jako jeden z „myślicieli publicznych", których tezy – niezależnie nawet od intencji nadawcy – służą nie do debatowania, lecz do chłonięcia. To naukowcy lub byli naukowcy, którzy dziś przemawiają ze scen, na których prace powołują się światowi liderzy i którzy odgrywają rolę globalnego autorytetu lub przewrotnego kontrautorytetu. Problem z ich pozycją polega jednak na tym samym, w czym tkwi źródło pierwotnej popularności: że nie ma zezwolenia na wyciąganie z ich słów własnych wniosków czy częściową akceptację i częściową kontestację; trzeba bezkrytycznie wierzyć.

Oprócz samych mówców i ich działów PR odpowiada za to najbardziej zagorzała publiczność, skłonna do obrony swoich przewodników duchowych za wszelką cenę. Oczywiście do czasu. Przez podobny cykl wyniesienia na szczyt, a następnie zrzucenia go zeń z hukiem przechodzili inni popularni intelektualiści-prorocy, Jordan Peterson czy Yuval Noah Harari. Łączy ich fakt, że choć mają konkretne specjalizacje w swoich dziedzinach, stopniowo zaczęli oferować gotowe systemy rozumienia, rodzaj wiedzy czy idei kompletnej, monolitycznej, przykładalnej do niemal wszelkich pytań ludzkości.

To wiedza, która jednym daje ukojenie nie do odparcia, a innych oszałamia i olśniewa tak, że nie są w stanie zadawać pytań. Co staje się jej przekleństwem. I nauka, i filozofia jest bowiem ostatecznie bytem dynamicznym, służącym do tego, by wątpić, szukać i dyskutować, a w monolit nie da się wbić szpilki. Być może dlatego gdy szpilka ostatecznie się pojawia, zmienia się w dłuto. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

TRZY PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWA

Narzucone przez prezydenta Trumpa zawieszenie broni zakończyło działania wojenne między Izraelem i Stanami a Iranem. Jednak ta wojna dwunastodniowa nic nie rozwiązała.

KRZYSZTOF STRACHOTA

Przez 12 dni Izrael wzbił się na szczyty maestrii militarnej: błyskawicznie eliminując irańską obronę powietrzną i lotnictwo, bombardując instalacje nuklearne, magazyny i wyrzutnie rakiet, zaplecze badawcze i produkcyjne, bazy wojskowe. Doskonały wywiad pozwolił Izraelczykom zabić kilkanaście osób odpowiadających za program nuklearny oraz kilku najwyższych dowódców i kilkudziesięciu średniego szczebla.

Rozmach strategiczny Izraela pokazały bombardowania infrastruktury krytycznej (m.in. rafinerii, magazynów paliw, sieci energetycznych i wodociągów w Teheranie), mediów, siedzib sił bezpieczeństwa, osławionego więzienia Ewin itd. Wraz z kampanią dezinformacyjną było to nakierowane na wywołanie protestów i obalenie reżimu (tu bez

TOMER APPELBAUM / REUTERS / FORUM

Ewakuacja mieszkańców ze zbombardowanego budynku po ataku rakietowym Iranu na Izrael. Tel Awiw, 22 czerwca 2025 r.

efektu). Ukoronowaniem operacji było włączenie się do konfliktu Stanów Zjednoczonych, które zaatakowały instalacje nuklearne.

Przez 12 dni Iran odpowiadał, ostrzeliwując rakietami i dronami cele w Izraelu. Efektów nie możemy być pewni (działa cenzura). Ale choć rakiet było dużo mniej, niż oczekiwano, a 90 proc. przechwyciła obrona powietrzna, to trafiały m.in. w obiekty wojskowe, budynki Mosadu. Odpowiedzią zaś na atak USA był ostrzał rakietowy amerykańskiej bazy w Katarze, o którym jednak Irańczycy uprzedzili, aby nie było ofiar. Innych ataków, którymi Iran groził – na statki w cieśninie Ormuz, bazy USA w regionie i cele sojusznicze – nie było.

W chwili pisania tego tekstu rozejm jest przestrzegany, ta runda konfliktu została zakończona. Można spróbować zrozumieć, gdzie jesteśmy. I szykować się na kolejne emocje.

Pyrrusowe zwycięstwo Iranu

Iran ogłosił zwycięstwo: oparł się nawale izraelskiej, przetrwał atak supermocarstwa. Uniknął załamania systemu, a jego władze cieszą się zapewne największym od lat wsparciem społeczeństwa skupionego „wokół flagi". Wciąż ma rakiety i wciąż może potencjalnie uruchomić arsenał instrumentów asymetrycznych i hybrydowych.

Jednak nad Iranem zawisły słowa Pyrrusa, króla Epiru: „Jeszcze jedno takie zwycięstwo i jesteśmy zgubieni". Bo Iran ma się czym martwić. Okazał się bezbronny wobec ataków na kluczowe elementy państwa i szybko tego nie nadrobi (np. w sferze obrony powietrznej).

Dalej: irański system odstraszania, długo skuteczny, przestał działać. Irańscy *proxies* albo już nie istnieją (reżim Asada w Syrii), albo są osłabieni (Hezbollah, jemeńscy Huti po wiosennych nalotach USA, milicje szyickie w Iraku). Cała strategia budowy wpływów w regionie stoi pod znakiem zapytania.

Program nuklearny, który miał być polisą ubezpieczeniową Iranu (czy to w – nieoczywistym – przypadku budowy tej broni, czy „tylko" osiągnięcia możliwości jej stworzenia), nie został sfinalizowany. Miliardy weń włożone zostały zamrożone, o ile nie przepadły.

Także możliwości odbudowy potencjału militarnego są marne. Iran pogrążony jest w kryzysie gospodarczym (sankcje zachodnie odgrywają tu kluczową rolę), a obecne zużycie i zniszczenia sprzętu, zaplecza produkcyjnego i gospodarki nie pozwalają na intensywne zbrojenia czy finansowanie np. Hezbollahu.

Co gorsza dla Iranu, okazał się samotny. Wsparcie polityczne tych, których uważał za sojuszników – Rosji, Chin, Szanghajskiej Organizacji Współpracy, BRICS – było symboliczne. Wsparcia militarnego nie było. Zawiodły też nadzieje na dyplomację: do ataku Izraela doszło w trakcie negocjacji z USA. Jeśli Iran wróci do nich, będzie wisieć nad nimi widmo Trumpa, który „dopuścił" do wojny i sam w nią wszedł, choć wcześniej negocjował.

Napięcia w systemie

Owszem, Islamska Republika Iranu przetrwała zagrożenie „zmianą reżimu". Jednak problemy są palące.

Największy to niewyobrażalna skala penetracji systemu przez służby izraelskie. Straty, które Izrael zadał irańskim strukturom, wprawdzie płynnie uzupełniono, ale trzeba czasu, by to się zestroiło. W elicie dominuje dziś zapewne duch jedności, ale też podejrzliwość i spory, co dalej – Izrael zapewne może eliminować kolejne osoby. System nastawiony jest na trwanie, nie na reformę – jego zwornikiem jest 86-letni Ali Chamenei, który jako Najwyższy Przywódca rządzi od 1989 r. Napięcia w systemie są duże, a odruch „oblężonej twierdzy", doraźnie skuteczny, nie pozwala wyrwać się z impasu.

Impas ten dotyczy nie tylko polityki międzynarodowej i bezpieczeństwa. Zła sytuacja gospodarcza (lepszej nie będzie) potęguje frustrację społeczeństwa. Wojna wprawdzie umacnia to, co je spaja – dumę państwową (irańską) i narodową (perską) – ale odbywa się to kosztem czynnika religijnego (zachodnie badania sugerują, że w Islamskiej Republice tylko 40 proc. identyfikuje się jako muzułmanie; presja na liberalizację rośnie). Idzie za tym ryzyko – ryzyko z punktu widzenia władz – zwiększania wagi głosu obywateli. Wprawdzie czynnik społeczny można tłumić siłą i kanalizować patriotyczną mobilizacją, ale to działania doraźne.

Problemów, które ta wojna wzmocniła, jest więc dosyć. W Teheranie niewątpliwie zdają sobie sprawę z podobieństwa obecnego „zwycięstwa" do tych, które odnieśli Saddam Husajn w wojnie w Zatoce Perskiej z 1991 r. (reżim przetrwał, stłumił powstania szyitów i Kurdów, trwał kolejne 12 lat, po czym upadł) albo Slobodan Milošević w byłej Jugosławii (półtora roku po wojnie o Kosowo z 1999 r., ostatniej z kilku wojen bałkańskich, stracił władzę).

Iran to nie Irak czy Jugosławia, system irański nie zależy od jednego człowieka, reżim nie jest na przegranej pozycji. Ale mierzy się z wyzwaniami, które nie rozwiążą się ani same, ani tanio.

Pyrrusowe zwycięstwo Izraela

Powody do satysfakcji ma też Izrael. Zebrał owoce ostatnich dwóch lat odpychania Iranu, odczarował jego potęgę, ↦

VAHID SALEMI / AP PHOTO / EAST NEWS

Pogrzeb ofiary izraelskiego ataku na Iran. Teheran, 26 czerwca 2025 r.

↦ doprowadził do sytuacji, gdy samodzielnie może zadawać Iranowi bolesne ciosy. Iran to nie Liban czy Gaza – Izrael wszedł dziś do wyższej ligi, premier Beniamin Netanjahu zaczął nowy rozdział w historii swego kraju. Dumnie powiewa pawi ogon wszechmocy izraelskiej armii i wywiadu.

Wątpliwości jest jednak wiele. Przede wszystkim: Izrael nie osiągnął celów operacji. Nie ma gwarancji, że irański program nuklearny został zniszczony. Nie doszło do obalenia reżimu. Izrael zadał Iranowi potężne straty, ale tylko on sam wie, jakie straty poniósł w efekcie irańskiego odwetu (są zapewne większe, niż przyznaje). Więcej: straty ponosił do ostatnich godzin konfliktu, więc nie może mieć nadziei, że Iran został rozbrojony.

Tylko Izrael wie również, ile kosztowała go ta wojna (szacunki mówią, że blisko miliard dolarów dziennie), a także ile zostało mu środków militarnych do atakowania celów w Iranie i strącania irańskich rakiet. Te rachunki niekoniecznie muszą być optymistyczne.

Powodem do satysfakcji dla Izraela może być to, że udało mu się wciągnąć do konfliktu USA – politycznie, przez wsparcie finansowe, sprzętowe i wywiadowcze, na koniec przez naloty. Wojna Izraela wprost stała się wojną Ameryki.

Ale to braterstwo broni podszyte jest problemami. Stany do tej wojny wejść nie chciały, atak na Iran był odosobniony i to Stany wymusiły na koniec (dosadnie, jak się wydaje) na Izraelu wstrzymanie działań. W Stanach nigdy wcześniej nie było tak silnej krytyki zaangażowania się USA po stronie Izraela – nie tylko po stronie lewicowej, ale też na najtwardszym zapleczu Trumpa (ruch MAGA). Izraelski kredyt zaufania w Stanach został poważnie naderwany i niewiele wskazuje, by trend miał się odwrócić.

Ponadto: wiarygodność i atrakcyjność Izraela w regionie Bliskiego Wschodu jest dziś zerowa. Netanjahu okazał się znów mistrzem taktyki, ale trudno dopatrzyć się tu strategii.

Dylematy Ameryki

A co ze zwycięstwem Ameryki, które ogłosił Donald Trump? Niezależnie od jego niezmiennego optymizmu, a także niezależnie od osłabienia Iranu, od pokazu siły i determinacji USA (zarówno gdy idzie o gotowość podjęcia „niewyobrażalnych" operacji zbrojnych, jak i narzucania pokoju) – również Waszyngton znajduje się dziś w trudnej sytuacji.

Zamiast reżyserować sytuację w regionie, Stany zostały wciągnięte w konflikt, a działania, które podjęły, nie dają gwarancji sukcesu (zwłaszcza że nikt tak naprawdę nie wie – poza władzami Iranu – w jakim stanie jest jego program nuklearny).

Forsując wcześniej ideę „deali", która była zarówno znakiem rozpoznawczym w trakcie wizyty Trumpa na Bliskim Wschodzie (maj tego roku), jak też filarem programu na rynek wewnętrzny i osią negocjacji nuklearnych z Iranem (od kwietnia tego roku), dziś Biały Dom niespodziewanie znalazł się na antypodach własnych deklaracji.

Głosząc politykę niemieszania się w nowe konflikty globalne i ograniczenia nakładów na wszystko, co nie służy interesom USA – Stany nagle zachwiały się na krawędzi prześnionych koszmarów: wojny na Bliskim Wschodzie i wojny z Iranem.

Lawinę zatrzymało wymuszenie zawieszenia broni. Ale każdy kolejny krok będzie ciężki: albo nowa wojna, która nie skończy się już na jednodniowym bombardowaniu, albo negocjacje, w których zarówno Iran, jak i Izrael będą jeszcze mniej godni zaufania Waszyngtonu niż jeszcze miesiąc temu.

Pytania o przyszłość

Wojna dwunastodniowa niczego więc nie rozwiązała – choć znacznie przesunęła granice tego, co wyobrażalne w polityce bliskowschodniej. Ma trzech „zwycięzców", z których każdy musi nieść teraz ciężar tego sukcesu – problemy egzystencjalne stoją przed Iranem, ale wyzwania stojące przed Izraelem i USA nie są wcale bagatelne. Po kolei zatem.

Najpierw Izrael. Wszedł on w grę, z której nie ma odwrotu. Musi „dokończyć" niszczenie Iranu. Najprościej: znajdując lub prowokując okazję, gdy będzie mógł wrócić do działań wojennych, mając zapewnione wsparcie USA. Równolegle (lub alternatywnie) musi działać na rzecz destabilizacji systemu politycznego Iranu.

Wprawdzie zmiana reżimu jest mrzonką – w Iranie nie ma opozycji, a opozycja emigracyjna jest wyobcowana, kontrowersyjna i albo bez instrumentów politycznych (otoczenie następcy tronu), albo niepopularna, choć punktowo dla reżimu groźna (środowisko Mudżahedinów Ludowych).

Izrael ma jednak instrumenty do podsycania niepokojów społecznych i napięć w elitach. Oraz do działań dywersyjnych – własnych lub za pośrednictwem miejscowych (np. zbrojnych ugrupowań kurdyjskich, beludżyjskich i innych). Perspektywa destabilizacji Iranu sprawia zaś,

że trudniej mu pozyskiwać zwolenników w regionie.

Czekając na kolejną rundę

Jakie natomiast są perspektywy dla USA i Iranu? Dla Trumpa najlepszym wyjściem byłoby zawarcie porozumienia z „zmiękczonym" Iranem, co najmniej w sprawie programu nuklearnego. Naprzeciw siebie ma jednak teraz co najmniej usztywniony i nieufny Iran – oraz nieprzewidywalny Izrael, zdolny storpedować negocjacje USA–Iran, także przez naciski na amerykańską opinię publiczną.

Tymczasem zaniechanie działania przez USA – to czekanie na nową odsłonę wojny. Scenariusz zaś załamania reżimu w Iranie – to zapowiedź problemów regionalnych, które i tak wciągną w swój wir Amerykę. Bliski Wschód nie jest przy tym jedynym – i nie najważniejszym – frontem politycznym dla Trumpa.

A Iran? Jego pole manewru ogranicza się do kwestii wewnętrznych: konsolidacji systemu, neutralizacji zagrożeń, demonstracji siły wobec społeczeństwa, ale może też ryzyka punktowych reform (na głębszą rewizję systemu potrzeba czasu, choć rzeczywistość już wymusza działania).

Na zewnątrz Iran jest zaś zmuszony do działań reaktywnych. W przypadku kolejnego ataku będzie się bronił – ostrożnie i cierpliwie, jak ostatnio. A w razie bezpośredniego już zagrożenia państwa i systemu – zapewne także przy użyciu wszystkich dostępnych sobie środków.

W scenariuszu rozwiązania politycznego Iran również jest reaktywny. Oferta musi nadejść ze strony USA (nikogo innego), Iran zaś musiałby wtedy grać twardo – szukać gwarancji dla swojego bezpieczeństwa (ze strony USA i Izraela) oraz wymiernych zysków politycznych i gospodarczych (tj. znoszenia sankcji).

Prędzej czy później kolejna runda musi więc nastąpić. Pytanie tylko, jaką przybierze postać.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Tekst ukończono 26 czerwca

ARCHIWUM PRYWATNE

Jo Ellis przed i po korekcie płci

Ostatnie zdjęcie w mundurze

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Jo Ellis jest pilotem śmigłowców wojskowych, a pułkownik Bree Fram odpowiadała w Pentagonie za rozwój sił kosmicznych. Jako osoby transpłciowe nie zasługują na służbę w Ameryce Trumpa.

Jo Ellis wścieka się, że administracja Donalda Trumpa nie mogła znaleźć gorszego terminu. Transpłciowi członkowie sił zbrojnych na dobrowolną rezygnację ze służby mieli czas do 6 czerwca. Tego dnia przypada rocznica lądowania wojsk alianckich w Normandii w 1944 r.

Dla Jo to symboliczna data, bo służy ona w pułku lotniczym należącym do 29. Dywizji Piechoty Gwardii Narodowej Wirginii, która brała udział w pamiętnym desancie. Trzy dni po obchodach jego 81. rocznicy Jo Ellis dostała polecenie od dowódcy, że ma wstrzymać się z cotygodniowymi lotami śmigłowcem. Jako osoba, która dokonała korekty płci, nie kwalifikuje się do dalszej służby.

Przełożeni zrobili to, choć 35-letnia Jo Ellis jako gwardzistka, a nie żołnierz w czynnej służbie, ma czas do 7 lipca na decyzję o dobrowolnym odejściu.

„Nie chcemy facetów w sukienkach"

Te dwa terminy – 6 czerwca dla osób w czynnej służbie i 7 lipca dla członków Gwardii Narodowej oraz rezerwistów – wyznaczył sekretarz obrony Pete Hegseth, działając na podstawie styczniowego dekretu Trumpa. Prezydent stwierdził w nim, że bycie osobą transpłciową kłóci się ze „zobowiązaniem żołnierzy do honorowego, prawdomównego i zdyscyplinowanego stylu życia". Jednym słowem: transpłciowi żołnierze nie nadają się do służby wojskowej.

Dekret zaskarżono, jednak w maju Sąd Najwyższy USA zezwolił administracji ↦

↦ na wprowadzenie restrykcji do czasu, aż spór w tej kwestii zostanie całkowicie rozstrzygnięty przez sądy. Kilka godzin później sekretarz obrony powiedział na konferencji: „Żadnych więcej facetów w sukienkach. Skończyliśmy z tym gównem".

Na marginesie: Hegseth, zagorzały przeciwnik liberalnych porządków w Pentagonie, zwolnił w ostatnich miesiącach wysokich rangą wojskowych oskarżanych o wspieranie polityki różnorodności w siłach zbrojnych.W maju nakazał redukcję o jedną piątą w szeregach czterogwiazdkowych generałów i admirałów, co odebrano jako zapowiedź czystki.

Odwrót od polityki Obamy

Gdy idzie o transpłciowych wojskowych, polityka Trumpa w jego drugiej kadencji jest bardziej restrykcyjna niż za jego pierwszych rządów, gdy również zakazano im służby. Tym razem nie tylko zablokowano im możliwość zaciągnięcia się do sił zbrojnych, ale także nakazano zwolnienie tych, którzy już służą i mają diagnozę dysforii płciowej, polegającej na odczuwaniu niechęci i dyskomfortu wobec swojej płci biologicznej.

Trump od lat powtarza, że osoby transpłciowe niszczą morale w wojsku, a koszty związane z ich opieką medyczną są zbyt dużym obciążeniem dla budżetu. Według danych Pentagonu od 2016 r. na ich leczenie – obejmujące psychoterapię, terapię hormonalną i operacje korekty płci – wydano 52 mln dolarów.

Rok 2016 nie figuruje w tym zestawieniu przypadkowo: właśnie wtedy administracja Baracka Obamy, prezydenta z Partii Demokratycznej, zniosła zakaz służby osób transpłciowych. Pięć lat wcześniej, również za rządów Obamy, zerwano z polityką „Nie pytaj, nie mów", zakazującą gejom, lesbijkom i osobom biseksualnym ujawniania się w wojsku ze swoją orientacją.

Coming out w Pentagonie

Polityka Obamy była punktem zwrotnym w życiu Bree Fram, 46-letniej inżynier astronautycznej i jednej z najwyższych rangą transpłciowych wojskowych w USA. W rozmowie z „Tygodnikiem" Bree opowiada, że coming outu dokonała 30 czerwca 2016 r. – tuż po tym, jak sekretarz obrony Ashton B. Carter ogłosił przed kamerami, że osoby transpłciowe w wojsku nie muszą kryć się ze swą tożsamością płciową.

Bree wspomina, jak pod koniec przemówienia Cartera opublikowała post na Facebooku i wysłała maila do współpracowników. Po czym, z lęku przed reakcją ze strony dowództwa, pobiegła na siłownię w budynku Pentagonu. Po powrocie do biura spotkała się z pozytywną reakcją ze strony przełożonych i kolegów.

Niecałe trzy lata później zaczęła procedurę korektę płci i od marca 2020 r. służy w Pentagonie jako kobieta. Mogła to zrobić, bo przed wprowadzeniem restrykcji przez Trumpa w kwietniu 2019 r. otrzymała diagnozę dysforii płciowej, co chroniło ją przed zwolnieniem.

Tożsamość nie przeszkodziła jej w karierze: w 2021 r. Bree spełniła marzenie i dołączyła do sił kosmicznych, powołanych za pierwszej prezydentury Trumpa. W US Space Force kierowała zespołem odpowiedzialnym za planowanie, jakich systemów siły kosmiczne będą potrzebować za 5, 10 i 20 lat.

Wcześniej Bree służyła w lotnictwie, m.in. kierowała pracami nad rozwojem systemów obrony przed dronami. Była na misji w Iraku, w jednostce wykrywającej z powietrza bomby-pułapki. Do Iraku, jeszcze jako mężczyzna Bryan Fram, poleciała znów w 2018 r., by szkolić armię iracką.

Ostatnie takie zdjęcia

Gdy rozmawiamy w połowie czerwca, pułkownik Bree Fram ma za sobą ostatni dzień pracy w Pentagonie. Podobnie jak wielu transpłciowych wojskowych zdecydowała się na dobrowolne odejście. Nie chciała zadzierać z systemem w momencie, gdy po ponad 20 latach służby jest uprawniona do emerytury. Ma na utrzymaniu dwoje dzieci, jej żona nie pracuje.

– Trudno opisać, jak czuje się człowiek odsunięty ze służby nie ze względu na wyniki w pracy czy zachowanie, ale z powodu tego, kim jest. To budzi we mnie dużo złości, żalu i smutku – mówi mi Bree.

Zaznacza, że dzieli się swoimi prywatnymi poglądami, które mogą nie odzwierciedlać polityki Pentagonu i rządu USA: – Chcę to zaznaczyć jasno: Departament Obrony dokonał fikcyjnego podziału na dobrowolne i przymusowe odejście transpłciowych osób. Przecież nikt z nas z własnej woli nie chce odejść ze służby. Wiedziałam, że po 6 czerwca wyślą mnie na urlop administracyjny bez względu na to, którą opcję wybiorę. To dla mnie duży cios.

Pułkownik wylicza, że w ostatnim dniu służby zdążyła odznaczyć medalem za osiągnięcia trzech współpracowników z sił kosmicznych. Dokończyła raporty ewaluacyjne na temat podwładnych, oddała służbowy sprzęt i zrobiła sobie ostatnie zdjęcia w mundurze. Jedno z łagodnym uśmiechem na twarzy, drugie poważne, tak jakby dopuszczała już do siebie myśl, że za kilka miesięcy odejdzie na emeryturę i zakończy formalnie służbę w Pentagonie.

ARCHIWUM PRYWATNE

Strach przed konsekwencjami

Administracja Trumpa postawiła pod ścianą ok. 4,2 tys. transpłciowych wojskowych. Stanowią oni (stanowili) ok. 0,2 proc. członków amerykańskich sił zbrojnych. To konkretne historie konkretnych ludzi.

Serwis telewizji CNN opisuje historię marynarza floty wojennej Benjamina Kiblera. Dowiedział się, że wyleci z wojska, choć w tym roku dostał awans i miał przenieść się z żoną do Japonii. Para zaczęła się już do tego przygotowywać: żona Kiblera zrezygnowała z pracy, sprzedali swój samochód.

Gdy sytuacja zmieniła się o 180 stopni, Kibler zdecydował się dobrowolnie odejść z wojska, obawiając się, że w przeciwnym razie będzie musiał zwrócić 24 tys. dolarów, jakie dostał podczas 13-letniej służby w ramach bonusu (np. niektórzy dostają pieniądze na zachętę, gdy zaciągają się do wojska).

Podjęcie walki z systemem może oznaczać także utratę podwójnej odprawy i potencjalnie plamę w papierach. Transpłciowi żołnierze boją się, że np. dostaną adnotację „zwolniony z uwagi na interes bezpieczeństwa narodowego", co może utrudnić im szukanie pracy.

Medal za Irak

Jednak Jo Ellis mówi „Tygodnikowi", że nie zamierza się poddać i nie zdecyduje się na dobrowolne odejście z Gwardii Narodowej. – Chcę patrzeć na to, jak przełożeni przeglądają moje papiery i oglądają przyznane mi medale, mając świadomość, że jestem w pełni zdolna do służby wojskowej i zwalnianie mnie jest bezpodstawne – tłumaczy.

CHUCK KENNEDY / MATERIAŁY PRASOWE BIAŁEGO DOMU

Od lewej: Bree Fram w mundurze.

Bree Fram kilka miesięcy po coming oucie podczas balu z udziałem ówczesnego prezydenta Obamy i jego żony Michelle. Waszyngton, grudzień 2016 r.

Jo Ellis może pozwolić sobie na taką odwagę, bo służba w Gwardii Narodowej jest tylko dodatkiem do jej codziennego życia. Śmigłowcem lata szkoleniowo tylko raz w tygodniu, a od poniedziałku do piątku pracuje jako programistka w jednej z korporacji.

Tłumaczy mi, że to jej życiowy kompromis. Chciała dopełnić rodzinnej tradycji: w wojsku służyli jej brat, kuzyn (dziś emerytowany admirał), a także dziadek, który w trakcie II wojny światowej był w marynarce. Z drugiej strony, Jo wolała mieć bardziej ustabilizowane życie niż jej brat, którego rozkaz rzuca w różne miejsca w USA i na świecie.

Choć nie jest też tak, że Jo nie pracowała dla Gwardii Narodowej za granicą. Jeszcze jako mechanik helikopterów stacjonowała przez krótki czas w Iraku, Gwatemali i Kuwejcie. Brała udział jako strzelec pokładowy w misjach bojowych w Iraku, na pokładzie śmigłowca Black Hawk, za co została odznaczona medalem.

Operacja po wyborach

Przez większość swojej 16-letniej kariery wojskowej Jo Ellis służyła jako mężczyzna. Procedurę korekty płci zaczęła we wrześniu 2023 r., jeszcze za rządów Joego Bidena, który tak jak prezydent Obama zezwalał na „otwartą" służbę transpłciowych wojskowych. Operację feminizacji twarzy Jo przeszła 14 listopada 2024 r., dziewięć dni po zwycięstwie Trumpa w wyborach prezydenckich.

– Wiedziałam, że ponoszę duże ryzyko, bo Trump już podczas kampanijnych wieców powtarzał, że zakaże służby wojskowej osobom transpłciowym. Byłam już jednak od długich miesięcy po korekcie płci. Po cichu łudziłam się, że Trump nie zrealizuje swoich obietnic wyborczych. Tak samo sądzili moi rodzice, którzy głosowali na niego w wyborach – wspomina Jo Ellis.

Powrót Trumpa do Białego Domu to dla gwardzistki z Wirginii nie tylko koniec służby, ale też fala hejtu, jaka spotkała ją już w pierwszych dniach jego urzędowania. Jo stała się bohaterką teorii spiskowej, jakoby to ona spowodowała zderzenie śmigłowca wojskowego z samolotem pasażerskim, do którego doszło 29 stycznia w pobliżu Waszyngtonu.

Grunt pod hulającą w social mediach teorię przygotował niejako sam prezydent, sugerując, że winna katastrofie jest zbyt luźna polityka zatrudniania kontrolerów lotu,wynikająca z programu DEI wspierającego inkluzywność.

„Splunę na twój grób"

Stając się z dnia na dzień ofiarą dezinformacji, Jo Ellis opublikowała w sieci wideo, w którym oznajmiła, że żyje, co miało uciąć spekulacje o jej rzekomej śmierci w katastrofie lotniczej. To jednak nie uspokoiło internautów wysyłających jej za pośrednictwem social mediów hejterskie wiadomości.

– Słyszałam: „Nie powinnaś być w wojsku. Nie mogę doczekać się, aż splunę na twój grób", „Szkoda, że to nie ty byłaś pilotem tamtego helikoptera, bo powinnaś być teraz martwa". To przykłady gróźb, jakie dostawałam – wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem".

Z obawy o bezpieczeństwo swej rodziny, Jo tymczasowo zatrudniła firmę ochroniarską. Od styczniowych wydarzeń nie wychodzi też nigdy z domu bez broni. Mimo to twierdzi, że jest dziś o wiele bardziej szczęśliwa niż kiedyś.

– Dzięki korekcie płci przestałam doświadczać wewnętrznej pustki, niedopasowania, które wciąż pchało mnie do odhaczania kolejnych osiągnięć. Minęły już czasy, gdy modliłam się do Boga, by mnie uzdrowił, bo nie wiedziałam, co mi dolega. Dopiero po trzydziestce dowiedziałam się od terapeuty, że to dysforia płciowa – mówi Jo, wychowana w rodzinie protestantów, dla których transpłciowość była tematem tabu.

Trampki zamiast kamaszy

Z tego, że wreszcie może żyć w zgodzie ze sobą, cieszy się także pułkownik Bree Fram. Gdy pytam ją jednak, czy żałuje coming outu w Pentagonie, wyraźnie walczy z emocjami i odpowiada po dłuższej chwili, że najważniejsza jest dla niej autentyczność i to, że nie musi już tracić energii na ukrywanie swojej tożsamości.

Jak przystało na amerykański patos, Bree zaznacza po chwili, że odchodzi z wojska, ale nie porzuci służby dla Ameryki. Zapowiada, że zanim oficjalnie przejdzie na emeryturę, co powinno nastąpić pod koniec roku, planuje napisać książkę. Regularnie udziela też wywiadów i bierze udział w wystąpieniach na temat służby osób transpłciowych.

– Zamieniłam buty wojskowe na trampki, bardziej odpowiednie do walki, jaką muszę teraz stoczyć – mówi Bree Fram, która jak wielu Amerykanów wstąpiła do wojska po atakach terrorystycznych 11 września 2001 r. Jej misja w Pentagonie właśnie dobiega końca.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

ARCHIWUM PRYWATNE

Machabat Tadżibek kyzy (druga z prawej) w sądzie po aresztowaniu. Styczeń 2024 r.

Anatomia dyktatury

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z KIRGISTANU

AZJA CENTRALNA | Jeszcze niedawno był wyspą demokracji w Azji Centralnej: były tu niezależne media, a rządzące ekipy się zmieniały. Dziś Kirgistan dołączył do autorytarnego trendu. Jak to się stało? Prześledźmy ten proces, krok po kroku.

Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia. Ale co zrobić, gdy już jej nie ma? Co wtedy wyznacza sens życia?

Bolot Temirow mówi, że zostaje wówczas misja. Przynajmniej w jego przypadku. Na to umówił się z żoną, Machabat Tadżibek kyzy, gdy w 2020 r. tworzyli nowe media: Temirov LIVE i Ayt Ayt Dese. Obiecali sobie, że cokolwiek się stanie, nie zawiodą swoich odbiorców, że będą obnażać korupcję kirgiskich elit i niesprawiedliwości w ich kraju. Bo, jak mówi Bolot, od tego zależy przyszłość Kirgistanu.

DOBRA WOLA | Nadzieja Bolota zaczęła umierać, gdy w 2022 r. został pozbawiony kirgiskiego obywatelstwa i deportowany do Rosji (gdzie mieszkał wcześniej przez wiele lat), z zakazem powrotu do ojczyzny. Potem, w styczniu 2024 r., jedenastu pracowników jego mediów, w tym żona, zostało aresztowanych i oskarżonych o nawoływanie do protestów.

W listopadzie Machabat została skazana na 6 lat więzienia za nagranie, w którym mówi, że Kirgistan potrzebuje obywateli, którzy uczą się na błędach i mądrze wybierają swoich liderów. Azamata Iszenbekowa, prezentera kanału Machabat, skazano na 5 lat. Reszta dostała wyroki w zawieszeniu oraz zakaz opuszczania kraju i pracy w mediach.

Syn Bolota i Machabat trafił pod opiekę państwa. W ramach aktu dobrej woli władze pozwoliły jedynie, by zamieszkał z babcią. To wtedy Bolot stracił nadzieję, że jeszcze będzie dobrze. I wtedy została mu jedynie ich misja: jego i Machabat.

SCENARIUSZ | Wszystko to dzieje się w kraju, który jeszcze niedawno nazywano „jedyną wyspą demokracji" w Azji Centralnej. Inaczej niż u sąsiadów, istniały tu dziesiątki organizacji pozarządowych i rozwinęły się niezależne media. W tym kilka redakcji śledczych, które zdobyły sławę także poza regionem. Informowały o korupcji i przekrętach.

Kirgistan przez lata był pupilkiem Zachodu i choć nie udało mu się wygrać z korupcją, był przykładem, że demokracja jest możliwa w tak autorytarnym regionie jak Azja Centralna.

Z tych samych powodów, dla których Kirgistan chwalony był na Zachodzie, jego sąsiedzi nie traktowali go do końca poważnie. W rozmowach z oficjelami w Uzbekistanie czy Kazachstanie często słyszało się uszczypliwe komentarze na temat Kirgistanu. Albo deklaracje, że demokrację należy wprowadzać stopniowo, aby uniknąć „kirgiskiego scenariusza": scenariusza chaosu, wielkiej niewiadomej i obalanych rządów.

Bo w ostatnich 30 latach siedmiomilionowy Kirgistan, kraj wielkości dwóch trzecich Polski, był miejscem trzech rewolucji: w roku 2005, 2010 i 2020.

Za każdym razem powodem protestów były nadużycia elity rządzącej, korupcja czy sfałszowane wybory. Za każdym razem po buncie ludu rozpisywano nowe wybory, które wynosiły do władzy nową ekipę. Za każdym razem wierzono, że będzie ona lepsza. I za każdym razem okazywało się z czasem, że ta nowa ekipa niewiele się różni od poprzedników.

MARZENIE | 46-letni dziś Bolot oraz 34-letnia Machabat założyli swoje kanały na platformie YouTube w 2020 r. Pierwszy z nich, Temirov LIVE – lokalny partner słynnej organizacji dziennikarzy śledczych Organized Crime and Corruption Reporting Project – publikuje śledztwa obnażające korupcję i sekrety elit w Kirgistanie.

Drugi kanał, Ayt Ayt Dese, przenosił wyniki śledztw na język poezji i folkowej tradycji śpiewania zaangażowanego. Dzięki temu informacje o śledztwach, często skomplikowanych, docierały do setek tysięcy odbiorców.

– Machabat i ja marzyliśmy, aby stworzyć media, które byłyby czwartą władzą, wypełniały dziennikarską misję, kontrolowały władze i przedstawiały polity-

kom perspektywę najsłabszych obywateli – mówi mi Bolot w rozmowie telefonicznej.

– Nie uważaliśmy się nigdy za przeciwników rządu – zaznacza. – To rola politycznej opozycji. My wykonywaliśmy naszą pracę jako dziennikarze, mówiliśmy o przestępstwach, których dokonywały władze, i na które nie miały żadnego wytłumaczenia.

Bolot nie chce powiedzieć, w jakim kraju dziś przebywa. Z obawy o bezpieczeństwo. Mówi tylko, że mieszka w Europie.

NARODZINY TRYBUNA | W październiku 2020 r. – parę miesięcy po tym, jak Bolot i Machabat założyli swoje kanały – odbyły się wybory do parlamentu. Przeważającą większością wygrała je partia rządząca. Dla Kirgizów było jasne, że zostały sfałszowane. Ulice stołecznego Biszkeku zapełniły się protestującymi – tak jak 10 i 15 lat wcześniej.

Demonstranci zajęli więzienie i uwolnili byłego prezydenta Ałmazbeka Atambajewa, który odsiadywał wyrok za korupcję. Wypuścili też innego więźnia: Sadyra Dżaparowa, który odsiadywał wyrok 11 lat i 6 miesięcy za porwanie. To on miał wkrótce zmienić kraj.

Dżaparow, dziś 56-letni, zaczynał karierę polityczną w 2005 r., a znany stał się po rewolucji z 2010 r. Zasłynął za sprawą działalności przeciw eksploatacji kirgiskiego złota przez kapitał zagraniczny.

Polityk ten uważał, że na złocie bogacą się obcokrajowcy i skorumpowana lokalna elita, podczas gdy powinno ono służyć ludziom. Od 2013 r. organizował protesty w okolicy Kumtoru, największej i najważniejszej kopalni. To region, z którego pochodzi.

Podczas jednej z demonstracji stronnicy Dżaparowa zamknęli burmistrza miasteczka Karakol w aucie. W odpowiedzi władze oskarżyły go o porwanie, ale Dżaparow zdążył opuścić kraj. Przez trzy lata krążył między Kazachstanem, Rosją, Turcją i Cyprem. Sporo uwagi poświęcał kirgiskim migrantom w Rosji – opuścili oni ojczyznę za chlebem, a w Rosji często byli szykanowani.

ZAMIANA MIEJSC | W 2017 r. Dżaparow wrócił do Kirgistanu, choć wiedział, że

ARCHIWUM PRYWATNE

Bolot Temirow przebywa dziś na emigracji w Europie

trafi do więzienia. Tak się stało. W czasie odsiadywania kary wiele pisał o polityce, korupcji i niesprawiedliwości oraz o swojej wizji kraju.

Niedługo po aresztowaniu próbował podciąć sobie gardło, ale przeżył. Potem nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego to zrobił. Parę miesięcy później zmarł jego ojciec, a w 2019 r. matka i najstarszy syn (zginął w wypadku). Władze nie pozwoliły mu uczestniczyć w pogrzebach bliskich.

Bezduszność polityków i jego osobiste tragedie sprawiły, że Dżaparow zjednał sobie sympatię Kirgizów. Wielu widziało w nim ostatniego sprawiedliwego i nadzieję na nowy, lepszy kraj.

Tymczasem, podczas rewolucji w 2020 r., Bolot Temirow i jego ekipa codziennie relacjonowali protesty. Wielu demonstrantów podchodziło do nich, by dziękować za ich pracę. Temirow był wtedy świadkiem, jak stronnicy Dżaparowa wywieźli go z więzienia.

Jeszcze tego samego dnia prezydent Sooronbaj Dżeenbekow anulował wyniki wyborów, a ze swojej funkcji zrezygnował premier. Opozycja parlamentarna nie zdołała utworzyć nowego rządu i na urząd tymczasowego premiera został powołany – z naruszeniem wszelkich zasad – dopiero co uwolniony Dżaparow.

Opozycja zakwestionowała ten wybór i zaproponowała swojego kandydata, ale Dżaparow ani myślał rezygnować. Ulice zapełniły się protestującymi – teraz przeciw premierostwu Dżaparowa. Żądano też ustąpienia prezydenta.

DYKTATURA | – Wtedy zaczęły się fizyczne ataki na protestującą opozycję – wspomina Temirow. – Stronnicy Dżaparowa i kryminalne bandy rzucały kamieniami w zwolenników opozycji. Były nawet próby zabójstwa, strzelaniny, porwania.

– Było jasne, że kryminał jest zaangażowany w te ataki, i że stara się zmusić opozycję do poparcia kandydatury Dżaparowa na premiera – uważa Temirow. – Media, które to opisywały, też były celem. Bandyci czekali przed naszą redakcją, ale mnie nie zastali.

Szybko zaczęto mówić, że Dżaparow jest wspierany po cichu przez dwie wpływowe osoby. To Kamczybek Kolbajew, kryminalny boss (zwany „worem w zakonie"), a także były zastępca szefa służby celnej Raimbek Matraimow, który według śledztwa mediów kirgiskich i zagranicznych zbudował międzynarodową machinę korupcyjną i przemytniczą, dzięki czemu wyprowadził z kraju ok. 700 mln dolarów.

Pozycja Dżaparowa rosła szybko. Już w połowie października 2020 r. prezydent Dżeenbekow podał się do dymisji, prosząc Dżaparowa i opozycję, by zakończyli protesty. Ponieważ przewodniczący Rady Najwyższej zrezygnował z objęcia funkcji p.o. prezydenta, ogłosił się nim Dżaparow.

Na ulicach Biszkeku nastał spokój, politycy zaczęli przygotowywać się do wyborów nowego prezydenta. Dżaparow postanowił w nich wystartować. Równocześnie, korzystając z uprawnień, zarządził, że wraz z wyborami Kirgizi zagłosują w referendum nad zmianą konstytucji – tak, by zwiększyć uprawnienia głowy państwa.

UTRWALANIE WŁADZY | Tym samym Dżaparow zaproponował system znany z sąsiednich krajów, gdzie mocna ręka prezydenta jest gwarantem stabilności i porządku – choć już niekoniecznie demokracji i swobód obywatelskich.

Wynik wyborów, które odbyły się w styczniu 2021 r., był do przewidzenia: 79 proc. głosów otrzymał Dżaparow, a 81 proc. głosujących poparło zmianę konstytucji. ↦

↦ Jedną z pierwszych decyzji nowej głowy państwa była nacjonalizacja Kumtoru – kopalni złota, o którą niegdyś walczył, a także wywłaszczenie kanadyjskich inwestorów.

Utrwalając władzę, Dżaparow sięgnął po swego wiernego przyjaciela, Kamczybeka Taszyjewa, który towarzyszy mu niemal od początku jego politycznej kariery. Teraz stanął na czele służb specjalnych. Mówi się, że rządzą w tandemie, a wielu kirgiskich dziennikarzy skłania się ku teorii, że to Taszyjew podejmuje decyzje.

Duet pozbył się niedawnych patronów. W 2023 r. gangster Kolbajew zginął w starciu ze służbami specjalnymi, a w 2024 r. Matraimow został deportowany z Azerbejdżanu do Kirgistanu (nie jest w więzieniu, ale nie może opuszczać kraju).

Nowe władze wzięły się też za media i organizacje praw człowieka. Czyli za instytucje, które sprawiały, iż Kirgistan miał przez lata najsilniejsze społeczeństwo obywatelskie w Azji Centralnej. Wspierane przez zachodnie granty i gotowe bronić swoich praw.

STRACH | – Przykręcanie śruby zaczęło się od razu – mówi mi Eldijar Arykbajew, były redaktor naczelny portalu śledczego Kloop, który w 2022 r. opuścił Kirgistan. – Najpierw wprowadzono superprezydencką konstytucję, potem zaczęto pozbywać się opozycji. Wprowadzono prawo o „zagranicznych agentach", podobnie jak w Rosji. W końcu zaczęto aresztować ludzi za krytyczne wobec władz wpisy w mediach społecznościowych.

– Każde takie wydarzenie wzmacniało atmosferę strachu – mówi Arykbajew. – O ile w 2021 r. mogliśmy jeszcze wychodzić na ulice i protestować, dziś ludzie boją się jakiejkolwiek krytyki władz. Bo zaraz albo spadnie na ciebie audyt podatkowy, albo sprawa karna o nawoływanie do zamieszek.

Arykbajew uważa, że służby specjalne (noszą tu nazwę: Państwowy Komitet Bezpieczeństwa Narodowego) przekształciły się z instytucji, która zwalczała ekstremizm i terroryzm, w służbę, która zajmuje się walką z przeciwnikami politycznymi: – Działają wedle „podręcznika dyktatora": najpierw przyszli po opozycję, potem po dziennikarzy i aktywistów, a w końcu po zwykłych ludzi.

AGNIESZKA PIKULICKA-WALCZEWSKA

Sadyr Dżaparow podczas konferencji prasowej po wygranych wyborach prezydenckich. 10 stycznia 2021 r.

LOT DO MOSKWY | Na pierwszy ogień poszedł Bolot Temirow. Najpierw, w 2022 r., tajniacy weszli do jego redakcji i podłożyli narkotyki. Prowokacja jednak nie udała się: po protestach społecznych przeciw tej akcji służb, temat ucichł.

Władze wyciągnęły więc mocniejsze działa: stwierdzono, że Temirow miał podrobić dokumenty i dzięki nim otrzymał kirgiski paszport.

Choć Bolot urodził się w Kirgistanie i miał prawo do kirgiskiego paszportu, to przez wiele lat mieszkał z rodzicami w Moskwie i nie aplikował o ten dokument. W 2001 r., aby kontynuować bezpłatnie naukę w Rosji, przyjął drugie obywatelstwo – rosyjskie. W końcu, gdy na stałe wrócił do Kirgistanu, złożył wniosek o kirgiski paszport.

Władze uznały jednak, że w tym celu użył nie swoich dokumentów. Prosto z sali sądowej tajniacy zawieźli go na lotnisko. Bez dokumentów, bagażu i pożegnania z bliskimi.

– Gdy wylądowaliśmy w Moskwie, była godzina przed północą – wspomina Temirow. – Oficerowie, którzy ze mną lecieli, pokazali rosyjskiej straży granicznej skan decyzji sądu, który dostali na WhatsAppie, aby wpuszczono mnie do Rosji bez dokumentów.

Przez trzy miesiące czekał na nowy rosyjski paszport, potem opuścił Rosję.

WRAŻENIE ROZWOJU | Na Temirowie się nie skończyło. Dziesiątki dziennikarzy, aktywistów, polityków opozycji i zwykłych obywateli ma dziś sprawy karne, głównie o nawoływanie do zamieszek. Takich samych, które, o ironio, pięć lat temu wyniosły Dżaparowa i Taszyjewa do władzy.

Mimo narastającego terroru, Kirgizi w swej masie nie są dziś wściekli. Nie szykuje się rewolucja. Prodemokratyczna część społeczeństwa żyje w strachu. Zresztą nie jest większością. Kraj rozbudowuje się na potęgę, co tworzy wrażenie rozwoju. Władze inwestują w mieszkania pracowników budżetówki, podnoszą emerytury, a przyjazne im media chwalą prezydenta, który w końcu jako pierwszy rozwiązuje problemy, zamiast je tworzyć.

– Dżaparow jest nadal popularny. Wielu widzi w nim ofiarę niesprawiedliwości, korupcji i bezduszności poprzednich reżimów. Jest człowiekiem z ludu. Mówi językiem ludzi i wie, jak budować wrażenie intymności z wyborcami – ocenia Aksana Ismailbekowa, antropolożka z Leibniz-Zentrum Moderner Orient w Berlinie.

– Ataki na wolne media przedstawia się dziś jako próbę ochrony tradycyjnych wartości i moralności. Wedle tej narracji niezależne media promowały ideologie obce kirgiskiemu społeczeństwu. Ludzie to przyjmują – mówi Ismailbekowa.

ODDZIELONY | Mieszkając na obczyźnie, Bolot Temirow tęskni za krajem, za rodziną, za współpracownikami. Mówi, że nie ma wokół siebie jakiejś nowej społeczności, nie ma też żadnej rutyny. Że cały czas pracuje, nie daje sobie wolnego.

Jego kanał Temirov LIVE nadal cieszy się popularnością. To z niego Kirgizi mogą się dowiedzieć o tym wszystkim, o czym krajowym mediom nie wolno mówić. Także o korupcji obecnych władz.

– Trudno być z dala. Trudno być oddzielonym od ojczyzny, od rodziny, syna. I nie móc nic zmienić – mówi Temirow na koniec naszej rozmowy.

Nie ma już na nic nadziei. Ale nie odpuszcza: – Po prostu wykonuję moją pracę. Moje życie nie należy już do mnie. Mam misję, by walczyć ze złem, które rujnuje moją ojczyznę.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Kraków

RAPORT O STANIE GMINY 2024

WYGODNY DO ŻYCIA
- większe środki na mieszkalnictwo
- nowe linie autobusowe

BLISKI MIESZKAŃCOM
- rekordowy budżet obywatelski – 46 mln zł
- większe środki dla dzielnic

SPRAWNIE ZARZĄDZANY
- wzrost liczby usług online dla mieszkańców
- miejska aplikacja mKraków

AMBITNY
- masterplan dla Wesołej
- pozyskiwanie środków zewnętrznych na duże miejskie inwestycje
- budowanie atrakcyjności miasta przez pozyskanie nowych wydarzeń

ZIELONY I AKTYWNY
- ponad 25 000 nowych drzew
- nowe parki kieszonkowe

szczegóły: krakow.pl

REKLAMA

WIARA

KATOLICY POD TĘCZOWĄ FLAGĄ

Na Marszach Równości nie brakuje ludzi wierzących. Często spotykają się z niezrozumieniem ze strony swojego religijnego środowiska. Co ich motywuje?

DAWID GOSPODAREK

Co roku na przełomie maja i czerwca przez wiele polskich miast, nie tylko największych, przechodzą Marsze Równości. Dla jednych są świętem wolności, przestrzenią, gdzie można bezpiecznie być sobą, okazją do upomnienia się o swoje prawa. Dla innych są obrazą wartości i symbolem moralnego chaosu.

Jezus szedłby z nami

Podczas Marszów Równości na transparentach znaleźć można biblijne cytaty, wizerunki Jezusa czy legendarny już plakat: obraz jasnogórskiej Madonny z tęczową aureolą. – Na początku miałam wątpliwości, myślałam, że to bluźnierstwo – mówi Monika z Warszawy. – Dopiero gdy porozmawiałam z tymi ludźmi, poznałam Wiarę i Tęczę, zrozumiałam, że chodzą po ziemi osoby homoseksualne, które są wierzące. I te religijne symbole są dla nich ważne, to ich symbole. Zazwyczaj staramy się z moją dziewczyną iść niedaleko baneru Wiary i Tęczy z napisem „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele".

Wiara i Tęcza to ekumeniczna grupa zrzeszająca chrześcijan LGBT+ oraz ich rodziny i przyjaciół.

Bartka oburzyło hasło „Jezus szedłby z nami". – Nie byłem na marszu, obserwowałem go z boku. I kiedy zobaczyłem osobę z tym hasłem, pomyślałem, że to przesada. Poszedłem dalej i trafiłem na kontrmanifestację ludzi z czarnymi plakatami o pedofilii i Sodomie, puszczających głośno jakieś nagrania, wymachujących różańcami. Uderzył mnie ten kontrast. Zacząłem się zastanawiać, z którymi by poszedł Jezus i uznałem, że jednak z tymi tęczowymi. Od kolejnego roku sam zacząłem chodzić na Marsz Równości.

Uschi Pawlik z Wiary i Tęczy podkreśla, że nie widzi sprzeczności między wartościami chrześcijańskimi a dumną radością z kochających, pełnych pasji, ofiarnych i dających życie osób i społeczności LGBT+. Wylicza: – To duma z odwagi i determinacji ludzi, którzy ofiarują bardzo wiele z troski o swoją społeczność i z miłości do niej. Duma z inicjatyw, których walka np. o bezpieczną tranzycję zapobiega samobójstwom transpłciowych nastolatków. Duma z osób, które dokonując coming outów w trudnych społecznie kontekstach, zainicjowały zmiany przynoszące dziś spokojne życie parom jednopłciowym. Duma z tych, którzy w czasach opresji nie bali się nosić tęczowej przypinki, by pokazać, że osoby LGBT+ ↦

ADAM ŚWIEŻYŃSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

Stowarzyszenie Wiara i Tęcza na X Trójmiejskim Marszu Równości. Gdańsk, 7 czerwca 2025 r.

↦ mogą przy nich czuć się bezpiecznie. Duma z organizacji społecznych, które doprowadziły do dekryminalizacji homoseksualności – i które walczą o to do dziś w wielu częściach świata. Duma z osób, które ryzykując swoim życiem, pomagają osobom LGBT+ uciec z miejsc, gdzie grozi im niebezpieczeństwo.

Maszeruję dzięki biskupom

– Jestem gejem, już od sześciu lat w szczęśliwym związku. Nie chodziłem na marsze, bo nie odpowiadała mi ich estetyka. Do udziału w marszach zmobilizował mnie dopiero abp Jędraszewski swoimi głośnymi słowami o „tęczowej zarazie". Pamiętam, że emocje długo nie pozwalały mi chodzić do kościoła. Na marszach jestem i w ramach protestu przeciw takim słowom, przeciw używaniu ich przez ludzi władzy i mediów – opowiada Adam z Lublina.

Krystiana polscy biskupi do chodzenia na Marsze Równości zmobilizowali opublikowanym w 2020 r. stanowiskiem KEP w kwestii LGBT+: – Oni tam napisali, że Kościół jest otwarty na dialog z każdym człowiekiem, przywołali Franciszka, który się spotykał z osobami LGBT+. Olśniło mnie, że skoro już ta zachęta jest, to trzeba iść tam, gdzie te osoby są. Poruszyłem temat podczas rozmowy ze znajomymi z duszpasterstwa i skończyło się na tym, że z moją dziewczyną i jeszcze dwiema osobami pierwszy raz poszliśmy na Paradę Równości.

We wspomnianym dokumencie, który wzbudził sporo kontrowersji zwłaszcza przez fragmenty mówiące o „terapii" osób LGBT+, biskupi potwierdzają, że za udział w Marszach Równości nie grozi ekskomunika. Czytamy w nim, że Kościół „konsekwentnie dąży do tego, aby wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy. Stąd przynależność do społeczności LGBT+, identyfikowanie się z jej ideologią i publiczne solidaryzowanie z nią nie może automatycznie skutkować wykluczeniem ze wspólnoty Kościoła".

Jednak oczywiście ciężko byłoby znaleźć jakiekolwiek zachęty do udziału w takich wydarzeniach. Przypomnijmy, że „wspieranie kultury gejowskiej" stanowi przeszkodę dla kandydatów do seminariów duchownych.

Ważnym punktem odniesienia dla Pawła i jego żony były słowa papieża Franciszka, który w 2016 r. podczas konferencji prasowej w samolocie wracającym z Armenii powiedział, że chrześcijanie powinni przeprosić osoby homoseksualne, które zostały zranione przez Kościół. – Długo o tym rozmawialiśmy, zrobiliśmy rachunek sumienia i zobaczyliśmy, że zdarzały nam się homofobiczne żarty, ale przede wszystkim, że nie zrobiliśmy nic, żeby poznać sytuację osób LGBT. Kiedy zaczęliśmy czytać, oglądać reportaże, zrozumieliśmy, że wobec niesprawiedliwości i przemocy, jakiej doświadczają, nie można być obojętnym. Zaczęliśmy chodzić na Parady Równości, a z czasem dzięki rozmowom dołączali nasi znajomi.

Sojusznicy

W tęczowych marszach oprócz osób LGBT+ biorą udział ich sojusznicy, tacy jak Babcia Zenia z Gdańska. Wyjaśnia, że chodzi na Marsze Równości z tych samych względów, z których chodziła na protesty w stanie wojennym: – Wolność jest dla mnie bardzo ważna. Nie ma we mnie zgody na jakiekolwiek przejawy niesprawiedliwości i przemocy wobec drugiego człowieka. Tego wymaga zwykła ludzka przyzwoitość.

Podkreśla, że wyraża w ten sposób przeprosiny wobec osób LGBT+ za to, że „uwierzyła w narrację Kościoła na ich temat" oraz wdzięczności za pokazywanie, że można odważnie żyć w zgodzie ze sobą i tym, kim się jest. – Dzięki nim sama stałam się lepszym człowiekiem – przekonuje.

Paulina Model na Marsz w Krakowie chodzi z dziećmi, żeby uczyć je tolerancji i aktywności publicznej. – Są weselsze niż kontrmarsze, radosne i kolorowe – zauważa, podkreślając, że najważniejszym motywem jest okazanie solidarności, zwłaszcza gdy słowa wielu religijnych osób, w tym biskupów, ranią i zaostrzają konflikty.

Monika jest nauczycielką w powiatowym mieście. – W czasie pandemii byłam na szkoleniu dla nauczycieli o kondycji psychicznej dzieci. Wstrząsnęła mną informacja, że ponad 70 proc. młodych osób homoseksualnych ma myśli samobójcze, że one doświadczają przemocy na tym tle. Wtedy postanowiłam, że chcę, żeby każdy mój uczeń wiedział, że przy mnie jest bezpieczny, że może przyjść i porozmawiać. Zaczęłam nosić tęczową przypinkę, czasem bransoletkę. Miałam zaskakująco dużo poruszających rozmów – opowiada. Obawia się brać udział w Marszach Równości w bliższych miastach, jeździ z mężem do Warszawy. – Mąż jest katechetą. Wydział katechetyczny w diecezji mógłby nie znieść tego, że chcąc wspierać młodzież doświadczającą przemocy, chodzi z żoną z tęczową chorągiewką. Nie mamy siły się z tym zmagać, nie chcemy się tłumaczyć przed proboszczem. W Warszawie jesteśmy bardziej anonimowi, a jednocześnie przekonani, że robimy, co trzeba.

– Długo wkurzały mnie tęczowe parady, to, że w serialach jest coraz więcej par homo. Pytałam, po co się tak obnoszą? – opowiada Aneta z Lublina. – Aż sobie uświadomiłam, że jak opublikowałam zdjęcie z pierścionkiem zaręczynowym, nikt mnie nie pytał, czemu się obnoszę ze swoją heteronormą. Jak chodzę z mężem za rękę, jak się pocałujemy w teatrze czy w parku, nikt nam niczego nie zarzuca. Chcę takiego świata dla przyjaciół LGBT. Niech na ich pocałunki ludzie się uśmiechają.

Marta Nowicka, uczestnicząc w Marszach Równości, chce okazywać wsparcie dla przyjaciół: – Nie znajduję podstaw, aby odmawiać ludziom mającym nieheteronormatywną naturę prawa do miłości, szczęścia i realizowania siebie. W szczególności za taką podstawę nie mogę uznać wyrywanych z kontekstu biblijnych zdań o homoseksualności. Wierzę, że najpełniejszym objawieniem Boga jest Jego wcielenie. A to znaczy, że wszystko, co ludzkie, musi być dla Boga ważne i ukochane, również orientacja seksualna i tożsamość płciowa, oraz to, co się z tym wiąże.

Rodzina najważniejsza

– Sprawa jest bardzo prosta: mam brata geja i wiem, co on przechodził i przechodzi w życiu. Moje dziecko jest bi. Więc w bardzo bliskiej rodzinie mam ze spektrum LGBTQ dwie literki – opowiada Maja Szwedzińska. – A Kościół podkreśla, jak ważna jest rodzina. Moim pierwszym obowiązkiem jest tej rodziny wspieranie, budowanie, chronienie. A tęczowe marsze są właśnie wyrazem publicznego wsparcia i bycia sojusznikiem. Dla mniejszości to przecież bardzo ważne.

Dominik z Warszawy, od młodości zaangażowany w różne duszpasterstwa, na

Paradę Równości zaczął chodzić za czasów rządów PiS, wyrażając sprzeciw wobec krzywdzącej retoryki. – Przed moim trzecim marszem dowiedziałem się, że pójdzie również moja wówczas 17-letnia córka. Nie chciała iść ze mną, dla niej to byłby obciach. Przed kolejnym marszem powiedziała mi i żonie, że jest bi. Na marsz znowu poszliśmy osobno, ale przez chwilę byliśmy razem i była to dla nas ważna chwila. Od półtora roku córka jest w związku z kobietą. Widzimy z żoną ile przynosi córce szczęścia. Pokochaliśmy również naszą „córkową".

Podkreśla, że wraz z żoną bardzo by chcieli, żeby ich córka mogła ze swoją partnerką mieć szansę zalegalizowania związku. – Dla mnie, ojca, związki partnerskie to coś, co państwo powinno zapewnić swoim obywatelom. Ich brak jest anachronizmem – mówi.

Wyjaśniając, jak łączy to ze swoim katolicyzmem, dzieli się doświadczeniem: – Jestem też ojcem dziecka, które zmarło podczas porodu. Syn miał wadę letalną, ale mimo prawnych i medycznych przesłanek nie dokonaliśmy aborcji. Razem z żoną zaczęliśmy studiować, co Kościół mówił o takich dzieciach. Okazuje się, że nauczanie zmieniało się wielokrotnie. Przez wieki było okrutne, głupie i bez serca. Wiedza naukowa przez wieki wpływała na nauczanie. Pozytywnie. Obecna nauka wie o osobach LGBT znacznie więcej, niż było wiadomo podczas spisywania Biblii. Bóg dał nam rozum i wrażliwość, by z nich korzystać.

Ewangelia na peryferiach

Basia Balicka, działaczka społeczna z Wrocławia, na Marszu Równości pojawiła się z transparentem „Mój Bóg Cię kocha i ja Cię kocham". – Naprawdę wierzę, że Ewangelia ma największy sens wtedy, gdy niesiemy ją także, a może przede wszystkim, tam, gdzie nikt się jej nie spodziewa. I tak też widzę swój cel jako katoliczki. Bo nawet jeśli nie zmienię Kościoła, tego dużego, instytucjonalnego, to mogę być dla kogoś Kościołem. Lepszym, cieplejszym, bliższym. To już bardzo dużo – opowiada.

Chce pokazać, że miłość Boga jest dla wszystkich, a szczególnie dla tych, którzy przez lata słyszeli, że są „niewystarczający", „niegodni", „nienormalni". – Często słyszeli to od ludzi Kościoła. A przecież Kościół powinien być miejscem miłości, spotkania i uzdrowienia. Wierzę, że mam nieść Boga, Jego miłość. Wszędzie, codziennie, radykalnie. Zwłaszcza na peryferie, zwłaszcza tam, gdzie tak łatwo o niej zapomnieć. Bo gdzie mam ją nieść, jeśli nie tam, gdzie tak często jej nie ma? Gdzie ludzie doświadczyli odrzucenia, przemilczenia, potępienia, również, a może przede wszystkim, ze strony Kościoła? – wyjaśnia.

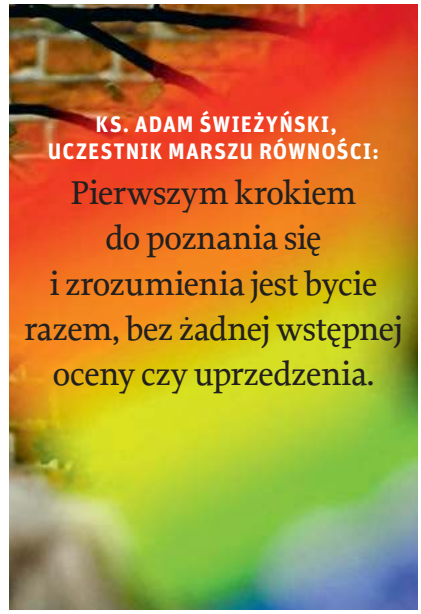

ADAM ŚWIEŻYŃSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

Jej obecność na Marszu spotyka się z wyrazami wdzięczności, staje się okazją do rozmów. – Ktoś się rozpłakał i przytulił. Ktoś powiedział, że przeze mnie znowu pomyślał o Bogu, że On może jednak go chce... Jeśli choć jedna osoba, patrząc na wierzących obecnych na Marszu, poczuje, że może być przyjęta, że miłość Boża jest dla niej, że Kościół nie musi ranić... to znaczy, że było warto. To ważne historie konkretnych osób – mówi Basia.

Za swoją aktywność doświadczyła przykrości we wspólnocie, podjęto też kroki, by wykluczyć ją z pielgrzymki, w którą od lat się angażuje. Donos dotarł do kurii. Spotkała się z jednym z biskupów, któremu opowiedziała o tym, co robi i jakie ma motywacje. Mimo swoich wcześniejszych obaw została zrozumiana, potraktowana z życzliwością, a biskup zapewnił, że nie wykracza poza granice ortodoksji.

Duszpasterze

W krajach na Zachodzie funkcjonują duszpasterstwa dla osób LGBT, podczas Marszów Równości są oficjalne przedstawicielstwa ludzi Kościoła, księża też biorą w nich udział. W Polsce wydaje się to jeszcze nie do pomyślenia. Ks. Michał z centralnej Polski ma mieszkającego w Berlinie brata geja, od wielu lat w związku: – Moje konserwatywno-katolickie nastawienie do homoseksualizmu zaczęło się zmieniać dzięki bratu i jego znajomym. Pomogły też studia psychologiczne i psychoterapeutyczne. Już kilka razy miałem możliwość wziąć udział z bratem i jego mężem w berlińskim queerowym festiwalu. To po prostu wyraz solidarności i wsparcia, czysto ludzkiego, ale również duszpasterskiego. W Polsce też chętnie bym poszedł na jakiś marsz, ale nie znam biskupa, który albo z własnej woli, albo pod presją nie nałożyłby za to kar.

W tegorocznym gdańskim Marszu Równości wziął udział ks. prof. Adam Świeżyński: – Przede wszystkim chcę być z ludźmi, których uważam za swoich przyjaciół, tam, gdzie dzieją się rzeczy dla nich ważne – tłumaczy. – Skoro razem spotykamy się regularnie na Eucharystii, modlimy i przeżywamy miłość Jezusa do nas, to chcę uczestniczyć także w wydarzeniu, w czasie którego wyrażana jest potrzeba zamanifestowania miłości, której doświadczają i którą sobie okazują. Szanuję to doświadczenie i ważny jest dla mnie ich świat, a zwłaszcza związane z nim zmagania, trudności, wątpliwości oraz trudne, bo kosztowne wybory, które podejmują.

Filozof z UKSW podkreśla, że chce okazać solidarność z tymi, którzy w życiu społecznym i w życiu Kościoła są nadal zepchnięci na margines, doświadczają niezrozumienia, szyderstwa, odrzucenia, wrogości, a niekiedy nawet przemocy. – Powinniśmy najpierw wzajemnie siebie poznać i zrozumieć, odkryć nawzajem wartość siebie, a nie oceniać, potępiać i wykluczać. A pierwszym krokiem do takiego poznania i zrozumienia jest bycie razem, bez żadnej wstępnej oceny czy uprzedzenia. Trzeba przejść wspólnie, obok siebie, choćby tych kilka kilometrów. Posłuchać, popatrzeć, porozmawiać. Wówczas zamiast odmawiać komukolwiek miejsca w społeczeństwie czy w Kościele, przekonamy się, że słowa Jezusa o wielu mieszkaniach w domu Ojca odnoszą się także do rzeczywistości ziemskiej, naszego miasta, wsi, parafii, wspólnoty.

© DAWID GOSPODAREK

Bóg działa subtelnie

JAREMA PIEKUTOWSKI

TEOLOGIA | Czy można wyobrazić sobie Wszechmocnego, który nie interweniuje z zewnątrz w świat? Nie tylko można, ale trzeba.

Czasami ta myśl występuje w wersji łagodnej: cała rodzina modliła się intensywnie, Bóg wysłuchał modlitw i dziadek wyzdrowiał. Czasami – w wersji przerażającej, gdy jakaś tragedia, na przykład tsunami w Japonii albo powstanie warszawskie, interpretowana jest jako Boża kara za grzechy. Myśl o Bożej opatrzności i interwencji Boga w świecie jest z jednej strony naturalna dla osoby wierzącej, z drugiej – należy do najbardziej kłopotliwych kwestii chrześcijaństwa.

Najpierw dlatego, że na dłuższą metę empiria wydaje się z tą ideą sprzeczna. Gdy w roku 1755 stolica Portugalii została zniszczona w wielkim trzęsieniu ziemi, postrzeganie nieszczęść jako kary Bożej było powszechne. Już wtedy Voltaire pytał w swoim „Poemacie o zagładzie Lizbony" („Poème sur le désastre de Lisbonne"): „Czyż Lizbona, której już nie ma, miała więcej wad / niż Londyn, niż Paryż, nurzające się w rozkoszach?". Rzeczywistość nie dowodzi, że państwa, miejscowości i społeczności bardziej grzeszne z punktu widzenia chrześcijaństwa podlegają w większym stopniu interwencji Bożej w postaci kar i cierpienia. Ale idea Bożej interwencji nawet w swojej pozytywnej wersji może stać się przerażająca: co z ludźmi, za których nikt się nie modli? A w wersji lżejszej: co, jeśli mecz grają dwie drużyny, i za każdą z nich modlą się setki kibiców – czy to zawsze oznacza remis?

Problemów jest więcej. Proste rozumienie Bożej wszechmocy, miłości i opatrzności prędzej czy później prowadzi do pytania o teodyceę – czyli o to, jak to się dzieje , że kochający Bóg, wszechmogący – a więc zdolny do interwencji w każdej chwili – pozwala na zło, i to często nie tylko niszczące, ale pozbawiające sensu życia – „zło horrendalne", jak nazywa je Marilyn McCord Adams. Filozofowie i teologowie na różne sposoby próbują pogodzić istnienie Boga ze złem. Powszechny nurt teodycei – od św. Augustyna do żyjącego dziś amerykańskiego filozofa analitycznego Alvina Plantingi – tłumaczy zło wolnością daną stworzeniom przez Boga. Ale w ten sposób trudno uzasadnić, że Bóg nie interweniuje, gdy pojawia się zło naturalne – tsunami, nowotwory, śmiertelne choroby dzieci. Niektórzy twierdzą, że ze zła Bóg zawsze wyprowadzi większe dobro, ale czy nie prowadzi to do trywializacji tragedii? Czy możemy, ot tak, powiedzieć, że „Auschwitz było potrzebne"?

A co, jeśli Bóg nie działa w sposób interwencyjny tak, jak to sobie wyobrażamy? Nie ingeruje bezpośrednio w świat, nie łamie praw historii i fizyki? Wielu wierzących ludzi taka perspektywa może odrzucać, budzić lęk lub wątpliwości, czy oto nie znaleźliśmy się w rejonach herezji. A jednak tę odważną perspektywę przedstawia dziś Marcin Gajda, diakon, psychoterapeuta, twórca środowisk kontemplacyjnych, w niedawno wydanej książce „Boskie DNA". Jak twierdzi – idea teologii nieinterwencyjnej jak najbardziej wpasowuje się w naukę Kościoła katolickiego.

Bóg przypadku

„Nie ma przypadków", „to nie był przypadek" – takie stwierdzenia są powszechne nie tylko wśród wierzących w Boga, i przynoszą najczęściej wiele nadziei (chyba że mowa o karze boskiej). Gajda jednak nie szuka łatwych pocieszeń. Według niego przypadek istnieje. „Jak wytłumaczyć fakt, że w drodze do Medjugorie autokar uległ wypadkowi, część ludzi zginęła, niektórzy stali się trwale niepełnosprawni, a inni wyszli ze zdarzenia bez szwanku? Kierowca mógł zasnąć, ale nie musiał. Czy to było zaplanowane z góry? Wszyscy modlili się o zdrowie – niektórzy zmarli, inni przeżyli. Co o tym zadecydowało ? Oczywiście możemy powiedzieć, że to tajemnica, i to akurat będzie prawda. Czy jednak nie byłoby uczciwie także stwierdzić, że zdecydował o tym przypadek?" – pisze autor.

Świat jest nieprzewidywalny, nie tylko z perspektywy Bożej interwencji – która, rozumiana tak, jak to przedstawiłem na początku, zdaje się nie mieć żadnej rozpoznawalnej logiki. Odkrycia fizyki kwantowej stawiają w pewnym stopniu pod znakiem zapytania także determinizm i przewidywalność naukową. Wprawdzie niektórzy próbują wyjaśnić powstawanie świata teorią „inteligentnego projektu", jednak Gajda dyskredytuje ją wprost jako pseudonaukę. Nie – mówi – istnienie przypadku w żaden sposób nie

SAMUEL ARANDA / AFP / EAST NEWS

Inwazja szarańczy na Wyspach Kanaryjskich, 29 listopada 2004 r.

kłóci się z istnieniem Boga. Gajda przywołuje obraz siewcy z Ewangelii według św. Mateusza. Siewca sieje – zdawałoby się – w sposób przypadkowy: jedne ziarna padają koło drogi, inne na kamienisty grunt, inne między ciernie, i tylko niektóre – na glebę urodzajną. Gdyby boski siewca chciał przeprowadzić „inteligentny projekt", siałby tylko na urodzajnej glebie. Przypadek więc istnieje, i jest „drugim imieniem Boga" – jest wpisany w boskie działanie, jest jego sposobem.

Religijność magiczna

To podejście może budzić lęk, bo wedle niego ludzie nie są jednak chronieni przez opatrzność tak, jak to sobie wyobrażają. Stąd krytyczne i pełne wątpliwości komentarze czytelników książki Gajdy. „Ostatnio syn, licealista, powiedział mi, że pisał sprawdzian i nie mógł sobie czegoś przypomnieć, a potem w duchu się pomodlił i mu się odblokowało. Ogarnął mnie smutek, (...) że przecież przypadek, że On nie interweniuje... to w sumie za co dziękować?" – pisze na profilu autora jedna z czytelniczek książki.

Z drugiej strony świadomość autonomii stworzenia i możliwości zaistnienia przypadku sama w sobie może też być wielką ulgą. Chroni bowiem przed szkodliwą religijnością magiczną, która jest powszechna także wśród chrześcijan. Jeśli na każde zdarzenie będziemy patrzeć jako na zaplanowane i dokonane bezpośrednio przez Boga, istnieje niebezpieczeństwo, że będzie On traktowany jako zewnętrzna siła lub „urządzenie do załatwiania spraw", w którym wystarczy nacisnąć odpowiedni przycisk, żeby „zadziałało".

Łączy się z tym często wiara, że im więcej osób intensywnie się modli w danym momencie, tym większa szansa, by owo urządzenie zadziałało – stąd idea „szturmów modlitewnych", które mają ratować ludzi przed okrutnymi karami za grzechy, często opisywanymi w prywatnych objawieniach. Taki sposób myślenia nie jest rzadki – w 2020 r. Konferencja Episkopatu Polski skrytykowała wprost planowaną na Sylwestra inicjatywę modlitewną „Różaniec do granic czasu", pisząc w komunikacie: „W ocenie teologów, niektóre wydarzenia, organizowane przez Fundację Solo Dios Basta, bazują m.in. na magicznym traktowaniu praktyk religijnych, pobożności o wyłącznie pokutnym charakterze, błędnych interpretacjach słowa Bożego, apokaliptycznej wizji historii i świata, a także na wybranych prywatnych objawieniach".

Pozwolenie na przypadkowość świata faktycznie odbiera łatwe pocieszenie, jakim jest wizja Boga będącego na wyciągnięcie ręki i czyniącego cuda, jeśli odpowiednio Go przebłagamy. Ale także pozwala uwolnić się od destrukcyjnego lęku, że każde cierpienie, które zdarza się nam, jest karą lub próbą, jakiej Bóg nas poddaje. Gajda jako psychoterapeuta na co dzień w gabinecie spotyka się z ludźmi wierzącymi, dręczonymi i cierpiącymi niepotrzebnie jeszcze bardziej przez takie lęki.

A co z cudami

Podczas spotkania z autorem w Warszawie pojawiało się też wiele pytań o cuda eucharystyczne, do których Gajda ma stosunek sceptyczny. Naruszenie wiary w ich możliwość powoduje niepokój. Gajda nie twierdzi jednak, że to, co nazywamy cudami, nie zdarza się w ogóle. Można je jednak różnie rozumieć. O ile dla św. Tomasza cud jest przekroczeniem praw natury, to św. Augustyn uważał go za zjawisko naturalne, ale zdarzające się bardzo rzadko lub niezrozumiałe dla nauki na danym etapie ich rozwoju („Cuda nie zdarzają się w sprzeczności z naturą, lecz w sprzeczności z tym, co o naturze wiemy" – pisze Augustyn w „Państwie Bożym"). Gajda skłania się do ↦

↦ Augustyńskiego rozumienia cudu. Wie też dobrze, że oczekiwanie na cudowną interwencję może prowadzić do głębokiego kryzysu wiary, gdy ta nie następuje.

Czy zatem w wizji Gajdy nie mamy do czynienia z Bogiem deistów, „zegarmistrzem", który skonstruował mechanizm świata i pozostawił świat samemu sobie? Zdecydowanie nie – mówi Gajda na końcu książki. Interwencja Boga w historię i świat nie przychodzi jednak z zewnątrz, a z wnętrza świata. Pozornie przypadkowy kosmos ma swoje „boskie DNA", które rozwija się w stronę świadomości i miłości.

Warto tu zauważyć, że jeśli założyć, iż celem ewolucji (jak można by mniemać w bardzo spłyconej wersji darwinizmu) byłoby jedynie przekazywanie i przetrwanie życia, to stworzenie samoświadomości jest dużą i niewytłumaczalną stratą energii. Samoświadomość to jedna z najbardziej złożonych i kosztownych funkcji biologicznych. Z punktu widzenia „chłodnego" rachunku korzyści, mogłoby się wydawać, że ewolucja powinna premiować prostsze, szybsze, bardziej instynktowne organizmy – a nie filozofujące istoty w ciągłym kryzysie egzystencjalnym.

Cudom, rozumianym jako pojedyncze interwencje, Gajda przeciwstawia więc cudowność obecną w samej naturze istnienia. To my jesteśmy i możemy być interwencją Boga w świat. Uobecnia się On w historii poprzez kochającego i świadomego człowieka. „Jeśli znajdzie się wśród ludzi ktoś odważny, kto rzuci się drugiej istocie na ratunek, przerywając spiralę cierpienia lub przemocy, nawet za cenę utraty własnego życia, to właśnie w ten sposób uczyni to (w nim i przez niego) sam Bóg" – pisze Gajda.

Czy modlitwy są wysłuchiwane

Teologia nieinterwencyjna nie neguje też możliwości wysłuchania modlitw, jednak dzieje się to w inny sposób, niż nam się wydaje. Gajda używa analogii radia: Bóg jest jak nadajnik, który nieustannie emituje fale (łaskę, miłość). Ludzie są odbiornikami. „Dostrojenie" to proces stawania się lepszym odbiornikiem, a nie głośniejszego krzyczenia do nadajnika. Nie chodzi o to, by zmusić Rzeczywistość do działania, ale by wejść z nią w harmonię.

Dostrojenie manifestuje się poprzez zjawiska, które Carl Gustav Jung nazwał

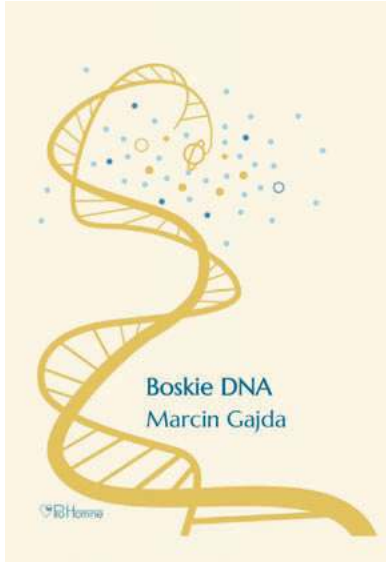

Marcin Gajda, **BOSKIE DNA**, *Pro Homine 2024.*

synchronicznością – znaczące zbiegi okoliczności, które nie mają związku przyczynowego. Następuje przejście od relacji z Bogiem zewnętrznym i oddalonym, która odbywa się w dużej mierze w wyobraźni, do niedualistycznej relacji jedności, przebóstwienia, jak powiedzieliby mistycy i teologowie prawosławni: bogoczłowieczeństwa. W tej perspektywie osoba dostrojona zaczyna doświadczać, że Rzeczywistość z nią „dialoguje", podsuwa „znaki" i metafory, które są czytelne dla jej wewnętrznego świata. Jest to dostęp do głębszej wiedzy i intuicji. Odpowiedź na modlitwę jest, jak Jungowska synchroniczność, manifestacją już istniejącej harmonii.

Zaproponowana przez Gajdę idea jest – jak on sam mówi – raczej zaproszeniem do wspólnych poszukiwań niż zbiorem prawd do przyjęcia. Należy więc zadać pytania, które nasuwają się po lekturze książki, także z perspektywy katolickiej ortodoksji. Czy sama koncepcja dostrojenia jest już wystarczająca?

O czym świadczy możliwość rozmowy

To pytanie zadaje Sebastian Duda, doktor teologii, z którym rozmawiam o koncepcji Gajdy. – W teologii funkcjonuje pojęcie opatrzności. W definicji katechizmowej wszelkie sprawy, które dzieją się w świecie, oparte są na zrządzeniach Bożych, które mają prowadzić do stanu doskonałości. Zrządzenia Boże to właśnie opatrzność. To musi oznaczać możliwość interwencji Boga.

Jeżeli ta interwencja – dodaję od siebie – jest tak naprawdę wpisana w sposób działania natury czy człowieka itd., to właściwie po co w ogóle dokładać do tego pojęcie Boga? Może to po prostu wszechświat? Czy jest jeszcze potrzeba w takim razie mówić o Bogu?

Pytam o to samego autora. – Jeśli antropomorfizujemy Boga i traktujemy Go jak kogoś zewnętrznego wobec całości, a nie kogoś, w Kim „żyjemy, poruszamy się i jesteśmy", to rzeczywiście w takim ujęciu idea Boga okaże się niepotrzebna. – mówi Gajda. – Natomiast jeśli zdamy sobie sprawę, że podstawą wszystkich związków w przyrodzie jest relacyjność, to zobaczymy, że świat jest rosnącą emanacją życia Trójcy. Że Chrystus, wcielający się nieustannie w kosmos, w materię, tchnie ku Ojcu. To, że ujawnia się miłość, kieruje nas ku myśli o Bogu. Raczej *unde bonum* (skąd dobro) niż *unde malum* (skąd zło).

No tak, ale ludzkość istnieje od wielu tysięcy lat, a ledwie 90 lat temu zdarzyło się Auschwitz. Czy faktycznie idziemy w stronę miłości, skoro, jak widać, nie nauczyliśmy się jej dobrze? – Ten proces nie jest liniowy. Po drodze w historii Ziemi były także wielkie wymierania. W niektórych wyginęło ponad 80 proc. gatunków. Ewolucja to proces pełen walki, bólu, chaosu. A jednak doszliśmy do miejsca, w którym rozmawiam z tobą i intryguje nas poszukiwanie dobra, miłości, piękna i prawdy. Wykazujemy więc cechy, które z punktu widzenia biologii niekoniecznie są potrzebne.

A co z czytelniczką, której syn pomodlił się i zdał egzamin? Co z jej zmartwieniem, że to jednak przypadek? – Jedno nie przeczy drugiemu. Jestem przekonany, że synchronizacja z nurtem życia prowadzącym ku miłości, do której prowadzi modlitwa, może się objawić także w ten sposób, że komuś przyjdzie do głowy rozwiązanie zadania – mówi Gajda. – Na pewnym poziomie przypadek rządzi wszystkim. A jednocześnie wszystko zmierza w dobrą stronę. Modląc się, wchodzę w logikę tego procesu, a to oznacza zaufanie. Dzieło Jezusa to przywrócenie zaufania wobec procesu, który zachodzi w świecie, nawet jeśli są w nim także elementy straszne.

© JAREMA PIEKUTOWSKI

JUAN MEDINA / REUTERS / FORUM

CONSUELO GARCÍA DEL CID, *66 lat, przedstawicielka ocalałych z ośrodków dla „upadłych kobiet" prowadzonych przez zakony, przed spotkaniem z Hiszpańską Konfederacją Zakonów. Madryt, Hiszpania, 9 czerwca 2025 r.*

Piekło za murami

DOMA MATEJKO

HISZPANIA | Za czasów dyktatury Franco tysiące dziewczyn było przetrzymywanych w ośrodkach dla upadłych kobiet prowadzonych przez zgromadzenia zakonne. Te, które to przetrwały, dzisiaj twierdzą, że przeprosiny to za mało.

Prostytutki, lesbijki i komunistki. Przetrzymywane latami w celach. Bez kontaktu z rodziną i ze światem, pod czujnym okiem zakonnic i księży. W Hiszpanii, za czasów dyktatury generała Franco (1939-1975), powstało ok. 900 ośrodków dla „upadłych kobiet", gdzie zamykano dziewczęta, których moralność nie wpisywała się w wizerunek narzucony przez faszystowski rząd. Reżim, który ściśle współpracował z Kościołem katolickim, twierdził, że ratuje zagubione dusze.

Patronat Ochrony Kobiet

W rzeczywistości, będąc kobietą w Hiszpanii w tamtym okresie, można było tam trafić właściwie za wszystko: za palenie papierosów, imprezę do późna i za minispódniczkę. Na Patronat Ochrony Kobiet (Patronato de Protección a la Mujer) składały się zamknięte ośrodki pracy niewolniczej. Były to miejsca tortur i znęcania się nad „zbuntowanymi dziewczynami".

Przez dziesięciolecia o tym, co działo się za murami ośrodków, które działały na terenie całej Hiszpanii, nie wiedział nikt oprócz kobiet, które doświadczyły tego piekła na własnej skórze.

Zdradzona przez rodziców

Consuelo García del Cid pewnego dnia obudziła się w celi, nie mając pojęcia, jak się w niej znalazła. Pamięta, że chciało jej się pić i że próbowała otworzyć drzwi. Bezskutecznie. Wyjrzała przez zakratowane okno i zobaczyła ulicę, po której jechały samochody z numerami rejestracyjnymi zaczynającymi się od MM. Zrozumiała, że jest w Madrycie, mimo że jeszcze dobę wcześniej była w rodzinnej Barcelonie.

W pewnym momencie do celi weszła siostra zakonna i przywitała ją słowami „jesteś w szkole formacyjnej". Consuelo słyszała o poprawczakach, którymi rodzice straszyli zbuntowane nastolatki. Nigdy nie sądziła, że trafi do takiego miejsca. Pochodziła z bogatego domu i rodzicom należącym do Opus Dei bardzo zależało na dobrym wykształceniu córki.

Consuelo jednak słabo się uczyła i nie pozostało jej nic innego, jak nauka w zupełnie przeciętnej szkole dla dzieci z różnych klas społecznych. Tam zajęła się potajemnym kopiowaniem antyreżimowych ulotek, które później, wraz z kolegami, wyrzucała przez okno seicento w centrum Barcelony. Rodzice zaniepokoili się zmianą jej zachowania. Zaczęli ją śledzić. Pewnego dnia, kiedy szykowała się do szkoły, mama weszła do pokoju z lekarzem, który oświadczył, że musi jej podać szczepionkę przeciwko grypie.

Obudziła się dobę później w ośrodku Patronatu Ochrony Kobiet. ↦

Jestem więziona, ratujcie

↦ Consuelo jako pierwsza zdecydowała się opowiedzieć publicznie o tym, co przeżyła. W swoich książkach opisuje akty przemocy fizycznej, psychicznej i seksualnej ze strony sióstr i księży. Opowiada o tym, jak w zamkniętych ośrodkach dziewczyny były zmuszane do pracy ponad siły, codziennych modlitw i nocnych czuwań w kaplicy, i o tym, jak podczas przymusowej spowiedzi ksiądz wypytywał o jej życie seksualne, którego nie miała. Nie wierząc jej, kontynuował zadawanie pełnych perwersji pytań. Po dwóch tygodniach po raz pierwszy próbowała popełnić samobójstwo. Zakonnice kazały jej zakryć nadgarstki uniformem i „przestać myśleć o głupotach, tylko wziąć się do pracy".

Dziewczyny pracowały za darmo w różnego rodzaju warsztatach. Głównie dziewiarskich i szwalniczych. Kiedy Consuelo szyła czerwone skrzaty z cukierkami w środku, które były sprzedawane w cukierniach w całej Hiszpanii, wkładała do środka liścik: „Jestem więziona, jestem niewinna. Adres: Padre Damián 52, Madrid. Przyjedźcie po mnie. Jest nas ponad 200. Proszę, błagam was". Jednak nikt nigdy nie przyszedł na ratunek.

Teraz Consuelo szuka osób, które wtedy znalazły w zakupionym skrzacie jej wiadomość, oraz swoich koleżanek, którym ponad 40 lat temu przyrzekła, że zrobi wszystko, żeby świat dowiedział się o tym, co przeszły.

Kobiety bez praw

Mimo że Patronat Ochrony Kobiet jest instytucją powstałą za czasów dyktatury Franco, jego korzenie sięgają roku 1902. Wtedy, z inicjatywy regentki Hiszpanii, Marii Krystyny Austriackiej, powstał Królewski Patronat ds. Handlu Białymi Kobietami, aby zwalczać prostytucję wśród kobiet i dziewczyn. Zaczęto kontrolować domy publiczne, a dziewczyny, które w nich pracowały, zamykano w ośrodkach należących do żeńskich zakonów, będących pod patronatem monarchii. Tam otrzymywały wykształcenie i wychowanie w duchu katolickim.

W czasach Drugiej Republiki Hiszpanii (1931-1939) instytucje nadal działały, ale przekształcono je w ośrodki laickie. Prawdziwe piekło zaczęło się, gdy do władzy doszedł Franco. Reżim cofnął wszystkie prawa kobiet wywalczone w czasach Republiki. Kobiety nie mogły decydować ani o swoim życiu, ani o ciele. Aborcja została zakazana nawet w przypadku zagrożenia życia matki. Kobiety potrzebowały zgody męża na otworzenie konta w banku, wyrobienie paszportu czy prowadzenie samochodu. Utrudniono im dostęp do edukacji i pracy zawodowej, a jeżeli się jej podjęły, ich wypłata trafiała do kieszeni męża.

Kontrola dziewictwa

Reżim propagował idee „anioła domowego", który miał zajmować się wyłącznie dbaniem o rodzinę i pielęgnowaniem tradycji katolickich i narodowych. Kobiety, które nie zgadzały się z tym modelem, uważano za „upadłe". W 1941 r. reaktywowano ośrodki, tym razem nazwane Patronatem Ochrony Kobiet, ponownie powierzając je opiece władz kościelnych. Ośrodki podlegały jurysdykcji Ministerstwa Sprawiedliwości, a honorową przewodniczącą była żona Franco, Carmen Polo de Franco.

Ośrodki posiadały centralną dyrekcję i rady prowincjonalne, były podzielone ze względu na stopień rygoru. Każda dziewczyna trafiała najpierw do Centrum Obserwacji i Klasyfikacji, gdzie ginekolog sprawdzał, czy jest dziewicą. Te, które nimi były, oznaczano w dokumentach jako „kompletne" i przydzielano je do lżejszych ośrodków. „Niekompletne" kierowano do ośrodków o zaostrzonym rygorze. Ponieważ dziewczyny trafiały tam przeważnie w wieku ok. 16 lat, Trybunał Nieletnich odbierał rodzinom prawa rodzicielskie, a opiekę nad nimi przejmowało państwo. To gwarantowało pełną kontrolę nad dziewczynami i uniemożliwienie powrotu pod opiekę rodziców.

Ostatnie chwile wolności

Matka Raquel pozwała ją przed Sądem dla Nieletnich, gdy ta miała 15 lat, za to, że jej nie pomagała i późno wracała do domu. Argumenty, jakie przedstawiła urzędnikowi w sądzie, brzmiały: „Bo mnie nie słucha, bo nie daję rady, bo nie mogę!". Dowiedziała się, że kiedy Raquel skończy 16 lat, będzie mogła ją oddać do Patronatu Ochrony Kobiet.

Trochę ponad miesiąc po 16. urodzinach Raquel do domu przyszło dwóch policjantów. Matka kazała jej się szybko ubrać i wychodzić. Do dzisiaj Raquel pamięta ze szczegółami, jak wkładała plisowaną spódniczkę i zapinała bluzkę w biało-żółte paski – to były jej ostatnie chwile wolności. „Mówiłam ci, że jak się nie poprawisz, oddam cię do poprawczaka" – usłyszała od matki na pożegnanie. Dopiero gdy zobaczyła, że córkę zakuwają w kajdanki, zapytała, czy to na pewno konieczne.

Poprawczak zabija

Inmaculada Valderrama miała 15 lat, kiedy zginęła, wypadając przez okno z trzeciego piętra. Był 19 października 1983 r. Władze ośrodka San Fernando de Henares podały informację, że dziewczyna zmarła, próbując uciec. Oficjalna wersja wydarzeń była na tyle mało wiarygodna, że jeszcze tego samego dnia został zorganizowany protest. Manifestantki, które wkroczyły do zakładu poprawczego San Fernando de Henares, obwiniły zarządcę ośrodka, członków Instytutu Świeckiego Krucjat Ewangelicznych, o śmierć Inmaculady.

Na murach ośrodka napisały sprejem „poprawczak zabija". Mimo że generał Franco zmarł w 1975 roku, a w państwie wróciła demokracja, to najbardziej mizoginiczna instytucja dyktatury istniała aż do 1985 r., tylko pod zmienioną nazwą: Rada Ochrony Kobiet.

Walka o pamięć

Wiele zgromadzeń zakonnych, które więziło kobiety w czasie dyktatury, nigdy nie stanęło przed wymiarem sprawiedliwości. Consuelo nie wierzy, żeby w Hiszpanii, kraju, w którym zbrodnie z czasów dyktatury zamiata się pod dywan, kiedykolwiek doszło do takiego procesu. Nie wiadomo, ile jest ofiar ośrodków.

Consuelo, Raquel i kobiety, które odważyły się opowiedzieć swoje historie, same siebie nie uważają za ofiary, lecz za ocalałe. Mówią, że ofiarami są ich koleżanki, które będąc w ośrodkach, popełniły samobójstwo, i te z nich, które były w ciąży, a po urodzeniu dziecka zostały zmuszone do oddania noworodka do nielegalnej adopcji, za którą zakonnice brały pieniądze „co łaska".

W czerwcu Hiszpańska Konferencja Zakonów wystosowała oficjalne przeprosiny. „Ani przebaczenia, ani zapomnienia" – krzyczały kobiety w czasie konferencji. Nie przyjęły przeprosin, podkreślając, że walczą o pamięć.

© DOMA MATEJKO

O. WACŁAW

Oszajca:
Nowość chrześcijaństwa

„Co do mnie, obym nie chlubił się niczym innym, jak tylko krzyżem Pana naszego Jezusa Chrystusa, przez którego świat jest ukrzyżowany dla mnie, a ja dla świata", co znaczy, że pod wpływem Jezusa Paweł zmienił światopogląd. Wszystko, co apostoł uważał za najważniejsze, straciło wartość. Co więcej, patrząc do przodu, Paweł już widzi, że z tą Chrystusową „nowością", z jej wprowadzeniem w życie, łatwo nie będzie. Stare przecież nie przestało istnieć. Dlatego Paweł mówi: „Obrzezanie nic nie znaczy ani nieobrzezanie, tylko nowe stworzenie". Wyobraźmy teraz sobie takie kazanie: „Ani chrzest nic nie znaczy, ani jego brak, nic też nie znaczy, że się ma, lub nie, ślub kościelny, czy się chodzi, lub nie, do kościoła, a tym bardziej co się je, lub nie je, w piątek. Podobnie nie wiele znaczy, czy się przystępuje do Stołu Pańskiego, czy nie, najważniejsze jest pójście za radą Jezusa: „Jedni drugim noście brzemiona, a tak wypełnicie prawo Chrystusa".

Paweł ma świadomość, że tę Chrystusową „nowość" następne pokolenia wyznawców Chrystusa, wzorem ojców, będą chciały sprowadzić do rytualnych obrzędów. W Księdze Wyjścia czytamy: „Lud, widząc, że Mojżesz opóźnia swoje zejście z góry, zgromadził się wokół Aarona i poprosił go: Zrób nam bóstwa, które by nas poprowadziły, gdyż nie wiemy, co stało się z owym Mojżeszem, który wywiódł nas z ziemi egipskiej". Dlatego dzisiaj, cytując soborową Konstytucję o liturgii, że liturgia jest źródłem życia chrześcijańskiego i stanowi jego centrum, cytujmy również, że życie chrześcijańskie w liturgii wcale się nie wyczerpuje.

Dla chrześcijan znakiem sakramentalnym obecności Chrystusa i Jego miłości są chleb oraz wino, posiłek, a więc wspólnota. Podobnie małżeństwo, skoro jest sakramentem, i jak pozostałe sakramenty znakiem obecności i działania Boga, to znaczy, że jest takie przez swoją świeckość, przez „wspólnotę stołu i łoża", a nie przez pokropienie święconą wodą. Paweł pisał do Kościoła w Rzymie: „Pozdrówcie Pryskę i Akwilę, moich współpracowników (...) Nie tylko ja sam im dziękuję, ale wszystkie Kościoły pogan. Pozdrówcie także Kościół gromadzący się w ich domu". Warto by tę apostolską tradycję Kościołowi przywrócić: „Tak niech świeci wasze światło dla ludzi, aby widzieli wasze dobre czyny i chwalili waszego Ojca, który jest w niebie". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Zrób to dla siebie

Bóg rzekł do Abrama: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twojego ojca do kraju, który ci ukażę. Uczynię bowiem z ciebie wielki naród" (Rdz 12, 1nn). Słowa, którymi się zaczyna ściśle rozumiana historia zbawienia; wszystko to, co opisane jest we wcześniejszych jedenastu rozdziałach Księgi Rodzaju, nie jest *sensu stricto* historią, lecz raczej tzw. historią etiologiczną, czyli opowiadaniem o faktach, które wydarzają się w każdym czasie i w każdym miejscu. Abram jest pierwszym historycznym bohaterem historii zbawienia – potrafimy go umieścić w konkretnym czasie (XVIII w. przed Chr.) i miejscu (Mezopotamia, Syria, Kanaan). Jego wiara inspiruje do dzisiaj trzy czwarte wierzącej ludzkości: żydów, chrześcijan i muzułmanów. Słowo, które usłyszał: „Wyjdź!" – jest początkiem także naszej historii.

W zapisie Biblii hebrajskiej to polecenie brzmi: *lech lecha* – i tłumaczone jest na wiele sposobów, najczęściej „wyjdź dla [samego] siebie!" (już nie dla swego ojca, jak to miało miejsce wcześniej, gdy Terach po prostu zabrał go ze sobą, opuszczając chaldejskie Ur) – „dla siebie", by osiągnąć konkretne dobro. Jonathan Sacks, zmarły pięć lat temu rabin Wielkiej Brytanii, mówił, iż *lech lecha* może oznaczać także: „idź do siebie samego!" – do swojej wewnętrznej wolności.

To niezwykle ważne: zobaczyć drogę Abrahama (i swoją własną!) jako wędrówkę do swojego wnętrza. Może bowiem być tak, że lata mijają, a ciągle będziemy poza sobą. Ciągle uzależnieni od zewnętrznych okoliczności: grup, otoczenia, mód, takiej czy innej poprawności. Pan nas wzywa do drogi do swojego wnętrza – do naszej wewnętrznej prawdy i wolności! Wbrew powszechnym wyobrażeniom, że wiara i religia pozbawiają człowieka wolności, ograniczając jego pragnienia i decyzje gęstą siecią przykazań – zakazów i poleceń. No właśnie: „wyjdź!". A jeśli ja chcę zostać w miejscu, w którym się znajduję? Jeśli mi odpowiada osiągnięta stabilizacja? Zapewne mogę w niej pozostać...

Ale istotą wiary jest relacja z Bogiem, która jest miłością. Miłość się nie zatrzymuje – zawsze chce więcej, dalej i głębiej. Miłość nie zadowala się żadną stabilizacją. Za to jej koniecznym warunkiem jest wewnętrzna wolność! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

GRUPA ZAGRANICA – stawiamy na rozwój

MARCIN KISZKA, ANNA PŁOTEK

Pomoc rozwojowa w krajach globalnego Południa leży również w interesie Polski i Polaków.

JACEK TARAN: Czym jest Grupa Zagranica?

ANNA PŁOTEK, MARCIN KISZKA: Jesteśmy federacją organizacji pozarządowych zarejestrowanych w Polsce, ale działających i w Polsce, i poza granicami. Skupiamy organizacje, które działają w obszarze pomocy rozwojowej, pomocy humanitarnej oraz edukacji globalnej. Jako federacja nie narzucamy kierunków działań. Wiele organizacji działa na terenie Afryki, ale wspierane są też kraje bliższe, jak Ukraina czy Mołdawia. Grupa obecna jest też w krajach Bliskiego Wschodu.

Ludzie was pytają, dlaczego pomagacie gdzieś daleko, a nie u siebie?

Na początku, w 2016 roku, najczęstsze pytania, jakie dostawaliśmy, dotyczyły oczywiście pomocy w Afryce. Czemu pomagamy w Kenii, w Ugandzie, a nie w Polsce. Wtedy odpowiadaliśmy, że jako kraj rozwinięty powinniśmy też dawać coś od siebie. Sami byliśmy biorcą pomocy rozwojowej przez wiele lat. Okazało się, że lepiej trafia opowieść o tym, że pomagamy tym społeczeństwom się rozwijać. Będzie łatwiej otworzyć tam firmę, zatrudnić pracowników. Ważny jest argument związany ze zdrowiem. Uświadamiamy, że polityka zdrowotna to nie jest coś lokalnego. Nie da się zatrzymać epidemii na terenie jednego kraju. Do Polski przyjeżdża bardzo dużo osób z tamtych regionów. Duża część z nich to studenci. Zatem ignorowanie tego, że ochrona zdrowia w krajach Południa jest słabo rozwinięta, może źle wpłynąć na zdrowie Polaków.

Pomagajmy, ale na miejscu?

Oczywiście są takie argumenty. Pojawia się czasami zdanie „nie importujmy problemów, tylko eksportujmy rozwiązania". Ono ładnie brzmi, ale to jest nazywanie ludzi problemem. W perspektywie długoterminowej boimy się tego, że rejony, które aktualnie są zamieszkiwane, przestaną takie być w ciągu następnych lat i migracja stanie się problemem nierozwiązywalnym nie tylko w kontekście politycznym, ale też ekonomicznym i społecznym. Dlatego jako Polacy mamy interes, żeby taką pomoc nieść również tam.

Na czym ten interes polega?

Wspomniana polityka zdrowotna, ale też budowanie strefy wpływów. W tej chwili Chińczycy mają za sobą już pierwszy etap swojego planu, czyli przyznawanie dużych kredytów na rozwój infrastruktury. Zaczynają drugi etap, czyli ściąganie wierzytelności. Te kraje często owych kredytów nie są w stanie spłacić. Zaczynają się więc różne polityczne naciski, a to może ten port nam oddacie, a to może ten pociąg będzie dla nas wyłączny i tak dalej.

Nowa era kolonializmu?

Nie możemy do tego dopuścić, bo okaże się, że dla wielu europejskich firm nie ma tam rynku. Ciężko to wytłumaczyć Kowalskiemu, że taka polityka ma wpływ pośrednio również na niego. Inaczej wygląda rozmowa, gdy pan Kowalski jest prezesem dużej firmy. Konkurencja na rynku europejskim jest ogromna, a konkurencja w krajach Południa, szczególnie jeśli chodzi o jakościowe usługi i produkty, jest znacznie niższa. To są kraje rozwijające się, więc często inwestujące mocno w infrastrukturę, potrzebujące często wielu produktów.

Ale wasze cele są inne niż budowa dróg.

Jednym z najważniejszych celów są starania o przyznawanie środków pomocowych. Drugi to integracja środowiska. Czasami jest tak, że jedna organizacja robi innowacyjny projekt w jednej wiosce, a druga robi bardzo podobny tuż obok i koszty niepotrzebnie się dublują. Można połączyć siły i to będzie efektywniejsze.

Jaka obecnie jest skala pomocy państwowej?

Jako państwo polskie jesteśmy zobligowani do udziału w międzynarodowych funduszach pomocowych. Natomiast powinniśmy mieć też własne mechanizmy pomocowe. Dzisiaj udział tego, co przekazujemy, jest bardzo niewielki w ogólnym budżecie. Przed pełnoskalową wojną w Ukrainie to było 0,15% dochodu narodowego brutto. Po eskalacji tego konfliktu w 2022 roku nasza pomoc wzrosła wydatnie, ale nadal nie przekroczyła 1%. Celem, który jest sugerowany przez organizacje międzynarodowe, jest 0,33%. My wprawdzie ten cel osiągnęliśmy w 2023 i 2024 roku, ale głównie dlatego, że wspieramy Ukraińców przebywających w Polsce.

Jak wypadamy na tle innych państw unijnych?

Jesteśmy około połowy stawki. Do roku 2022 nawet nie zbliżaliśmy się do celów zalecanych przez Unię. Projekty, które realizują organizacje zrzeszone z nami, to zwykle są projekty finansowane z konkursów ogłaszanych przez MSZ. Na te konkursy idzie około 1% tego, co Polska w ogóle przekazuje na cele pomocowe. Zdecydowana większość kwot to są środki zasilające wspólne fundusze Unii Europejskiej. Niewiele jest pieniędzy, które przekazywane są bezpośrednio organizacjom. Jesteśmy zobligowani do tego, żeby przekazywać pieniądze do Unii, żeby potem już Unia czy organizacje światowe decydowały o podziale środków.

A Unia chętnie przedstawia instrumenty pomocowe? Czy jest tu jakiś rozwój możliwości czy wprost przeciwnie?

Powstała dobrze rokująca inicjatywa Global Gateway. To jest odpowiedź na chińską strategię wywierania wpływów w krajach Afryki i Ameryki Południowej. Global Gateway ma na celu rozwój inicjatyw na różnych szczeblach gospodarki w tych krajach, które mogą Unii zaproponować na przykład dostęp do złóż, energetyki lub zasobów rolnych. Unia chce tam wspierać rozwój infrastruktury przy wykorzystaniu firm europejskich. Przykładowo: budujemy drogę, którą będą transportowane złoża z kopalni do portu. Dzięki temu będziemy mogli taniej importować do Europy. Dajemy infrastrukturę, zatrudniamy ludzi do budowy, ale jednak robimy to przez firmy europejskie. Trzeba pamiętać, że budowa takiej drogi ma ogromny wpływ na rozwój bazy gastronomicznej, hotelowej, to wszystko przyniesie realny dochód i pracę mieszkańcom. Największy problem z Global Gateway jest taki, że to jeszcze się nie dzieje. Na razie to jest inicjatywa na papierze.

Odczuliście likwidację funduszy amerykańskich?

Niestety tak. A co gorsza, po zamknięciu USAID zaczęto weryfikować strategię unijną. Pojawiły się głosy, że może to, co dzieje się w Ameryce, to jest dobry kierunek, że może też tak zróbmy? Nie bądźmy frajerami, którzy będą płacić, jeżeli Ameryka się wycofuje. Na szczęście to są tylko pomysły, na które niektórzy politycy protestują. Pojawiły się też propozycje przejęcia inicjatywy. Skoro USA się wycofały, to wejdźmy w rolę lidera. Pokażmy, że Unia teraz może rządzić i dzielić. Ale niestety poszczególne kraje zmniejszają budżety pomo-

STOWARZYSZENIE LECZYMY Z MISJĄ

Szkolenia ze stanów nagłych połączone z resuscytacją noworodka. Vihiga, Kenia, 2024 r.

cowe i mocno weryfikują swoją działalność.

Czy po wzmożeniu pomocowym na rzecz Ukrainy zauważyliście wzrost zainteresowania pomocą też u was? Więcej ludzi chce zostać wolontariuszami?
Niestety z punktu widzenia organizacji, które działają głównie w krajach Południa, możemy mówić raczej o spadku tego zainteresowania. Ludzie widzą, co jest absolutnie zrozumiałe, większą potrzebę działania na rzecz kraju, który jest bliski, a w którym jest wojna. I dla nich problemy Południa, szczególnie Afryki Subsaharyjskiej, stały się nieco abstrakcyjne. Reakcja Polaków na wybuch wojny w Ukrainie pokazała jednak, że w naszym narodzie jest chęć pomagania. To był naprawdę niesamowity zryw – piękny i intensywny, ale niestety równie spektakularny będzie jego upadek.

Dlaczego?
Bo często myślimy o pomocy w kontekście indywidualnym. Jeśli pomogę koleżance, to chciałbym, żeby podziękowała. To jest normalne. Niestety w kontekście pomocy systemowej to tak nie działa i założenie, że nagle naród ukraiński wykaże się jakąś niesamowitą wdzięcznością, jest błędne. Zapanowało u nas mniemanie, podsycane przez polityków, że Ukraińcy nie są nam wdzięczni. Politycy nie mówią o pomocy Ukrainie, tylko zaczęli się licytować, kto tę pomoc bardziej okroi.

Jesteśmy świadkami wielu kryzysów: klimatycznych, migracyjnych, słyszymy o nowych działaniach wojennych. Jakie to rodzi wyzwania dla was?
Pierwszym wyzwaniem jest ograniczanie finansowania. Wiele organizacji korzystało z pomocy USAID. Część z nich będzie musiała przestawić się na finansowanie prywatne, ale nie wiadomo, na ile donatorzy będą chętni do współpracy. Problemem jest też bezpieczeństwo. Ciężka sytuacja na Bliskim Wschodzie sprawia, że część organizacji się wycofuje, część próbuje na nowo ułożyć plany działania. Wymaga to ciągłej oceny sytuacji. Często to muszą być działania doraźne – zapewnienie wody, żywności, bezpieczeństwa, schronu.

Edukacja, głód, pomoc kobietom – czy to są obszary pomocowe organizacji, które skupiacie?
Tak, ale trzeba pamiętać o ważnym rozgraniczeniu. Są organizacje, które zajmują się *stricte* pomocą humanitarną, taką jak zapewnienie warunków do przeżycia na minimalnym poziomie. Dostęp do edukacji, do opieki zdrowotnej, to już działania długofalowe. Szczególnie jeśli chodzi o działania medyczne, to tutaj polskie organizacje mają bardzo bogate doświadczenia. Dotyczy to na przykład pomocy kobietom ciężarnym. To wiąże się też z edukacją zdrowotną, te działania muszą iść w parze. Pomoc żywnościowa idzie osobno, mamy na przykład Polską Akcję Humanitarną, która ma ogromne doświadczenie. Realizujemy też działania wspierające edukację. Czasami to inicjatywy bardzo lokalne, jak budowanie jednej szkoły, a czasami większe, jak wspieranie budowy zaplecza w skali kraju.

Czy podejmujecie działania edukacyjne w Polsce, które miałyby młodych ludzi zachęcić, żeby w przyszłości angażowali się w działania pomocowe?
To jest jeden z filarów organizacji zajmujących się edukacją, ale nie chodzi o zachęcanie do bycia wolontariuszem. Istotne jest, żeby w treściach edukacyjnych przewijały się wątki związane z rozumieniem świata z perspektywy globalnej. Osoby, które kończą szkołę, powinny rozumieć inną perspektywę niż tylko polska. Niestety nie mamy strategii wprowadzania tych treści ze strony rządowej. Nie chodzi o to, żeby nagle pojawił się przedmiot „edukacja globalna", tylko żeby na przykład w podręczniku do historii pojawiała się perspektywa osób pochodzących z innych części świata. To jest możliwe też na języku polskim czy na wiedzy o społeczeństwie. Postrzeganie pomocy rozwojowej innym krajom powinno być przedstawiane jako jedno z najważniejszych zadań krajów rozwiniętych. Tak samo jeśli chodzi o działania odwracające ksenofobię, nacjonalizmy, które dziś stają się coraz groźniejsze.

Udaje się wam wpływać na polityków, by powstawały takie strategie edukacyjne?
Jesteśmy w stałym kontakcie z politykami czy urzędnikami pełniącymi funkcje, które dotyczą naszej działalności. Jest to głównie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Departament Współpracy Rozwojowej. Nasi przedstawiciele są też członkami Rady Programowej Współpracy Rozwojowej.

Jak wygląda praca w tej Radzie? Macie realny wpływ na jej decyzje?
W Radzie zasiada 22 członków, z czego pięć to osoby z organizacji pozarządowych, cała reszta to ludzie związani z ministerstwami. Zatem nie mamy szans tam niczego przegłosować. Możemy być głosem doradczym, który niestety nie zawsze jest słyszany. Najważniejsza jest praca u podstaw i zmiana perspektywy wyborców, którzy mogą przedstawić swoje oczekiwania politykom.

©℗

2025 Na rzecz sprawiedliwej i odpowiedzialnej Europy w świecie. Projekt prezydencyjny Grupy Zagranica

Finansowane przez Unię Europejską

MATERIAŁ PROMOCYJNY

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

ŻYCIE PISANE NUTAMI

To on akompaniował artystom słynnej przedwojennej audycji „Wesoła Lwowska Fala", a w maju 1944 r. napisał melodię do „Czerwonych maków na Monte Cassino". 115 lat temu urodził się kompozytor i aranżer Alfred Schütz.

STANISŁAW CALIK

Lwów, lato roku 1927. Alfred Schütz, 17-letni absolwent II Gimnazjum Państwowego, pochodzący z Tarnopola, przygotowuje się do kariery muzycznej. Dobrze gra na fortepianie i improwizuje. W takich momentach zapomina o wszystkim na świecie, melodia zdaje się całkowicie nim zawładnąć.

Jego ojciec Otton Schütz, prokurent Banku Hipotecznego we Lwowie i dyrektor administracyjny „Kuriera Lwowskiego", ze zasymilowanej rodziny żydowskiej, uważa, że białe i czarne klawisze są wprawdzie dobre dla spędzania wolnego czasu, ale nie są zawodem na życie. Żeby zarabiać, trzeba zostać prawnikiem albo bankierem. A jeszcze lepiej być jednym i drugim, czyli prawnikiem w prestiżowym banku.

Otton nalega, aby syn zapisał się na Wydział Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza. Dziekanem tego wydziału jest prof. Kamil Stefko, dawny przyjaciel Ottona. Kiedyś byli kolegami z klasy w gimnazjum w Tarnopolu.

Alfred wypełnia wolę ojca. Ale jednocześnie wstępuje do Lwowskiego Konserwatorium Muzycznego. Jego pedagożka, Helena Ottawowa, znana pianistka, uważa go za bardzo utalentowanego.

MUZYKA WYGRYWA | Na lwowskim Wydziale Prawa studiuje wielu uzdolnionych młodych ludzi. Alfred angażuje się w działalność teatrzyku akademickiego: komponuje muzykę do piosenek, aranżuje znane przeboje i akompaniuje do nich. W 1931 r. poznaje na studiach prawniczych Emanuela Schlechtera, przyszłego autora słynnej piosenki „Tylko we Lwowie". Pewnego dnia postanawiają stworzyć własny teatrzyk o nazwie Złoty Pieprzyk.

„Spotkaliśmy się w kawiarni »Roma« – wspominał Schütz. – Bywali tam aktorzy, muzycy, śpiewacy. [Schlechter] zwykle grywał w szachy. Zaproponował wspólne zrobienie rewii akademickiej. »Trzeba znaleźć towarzystwo dobroczynne – powiedział – żeby otrzymać zezwolenie. Znasz ludzi z kół towarzyskich, załatw to«".

Ogłosili w dwóch gazetach nabór wykonawców. „Zaczęliśmy pisać – wspominał dalej Schütz. – Schlechter teksty, ja z moim przyjacielem Juliuszem Gablem – muzykę. Występowaliśmy w teatrze »Nowości«. W rewii brała udział szesnastoosobowa orkiestra. Już po premierze zrobiono nam kolosalną propagandę. Bilety wyprzedano do ostatniego miejsca!".

Premiera „Co słychać w eleganckim świecie?" odbywa się 30 kwietnia 1931 r. Piosenka z tej rewii, „Żołnierska brać",

okazuje się przebojem, tekst i nuty zostają wydane w osobnej książeczce, a w Warszawie wykonują ją popularne chóry Eryana i Wesoła Piątka. Chętnie jest też śpiewana w wojsku.

To pierwszy sukces kompozytorski Schütza. Na lwowskiej scenie rozrywkowej pojawia się nowa gwiazda. Właśnie wtedy otrzyma propozycję, która całkowicie odmieni jego życie.

WESOŁA FALA | Latem 1932 r. reżyser lwowskiego radia Wiktor Budzyński przygotowuje się do uruchomienia audycji literacko-muzycznej „Wesoła Niedziela". Zaprasza do współpracy Schütza, widząc w nim utalentowanego kompozytora. Być może nie bez protekcji Schlechtera, który z radiem współpracuje od ponad roku.

Niewykluczone jednak, że rekomendacja nie była potrzebna – Budzyński, świeżo upieczony absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, mógł znać Schütza osobiście. Ten zaś chętnie się zgadza i na piątym roku studiów, po ukończeniu stażu we lwowskiej filii warszawskiego banku dyskontowego, porzuca studia prawnicze. Staje się profesjonalnym muzykiem.

W następnym roku nadawana raz w miesiącu „Wesoła Niedziela" przekształca się w cotygodniowy „kabaret w eterze" pod tytułem „Wesoła Lwowska Fala". Schütz najpierw pracuje jako akompaniator w studiu, a następnie zostaje kierownikiem muzycznym tego programu.

SZCZĘŚLIWY CZAS | Praca w „Wesołej Lwowskiej Fali" jest prawdopodobnie najszczęśliwszym okresem w jego życiu. Audycja szybko zyskuje zwolenników – w szczytowym momencie słucha jej około sześciu milionów osób w całej Polsce.

Artyści, oprócz niedzielnych występów na żywo w studiu, intensywnie koncertują także w całej Polsce. Sale są wypełnione po brzegi. Zdjęcia artystów, w tym Schütza, pojawiają się w gazetach i magazynach.

Schütz komponuje pieśni do bieżącego repertuaru „Wesołej Lwowskiej Fali". Pisze głównie do słów Schlechtera, Wiktora Budzyńskiego i swojego starego przyjaciela Zenona Friedwalda, przyszłego autora tanga „To ostatnia niedziela". Do niektórych melodii sam układa słowa. Jego

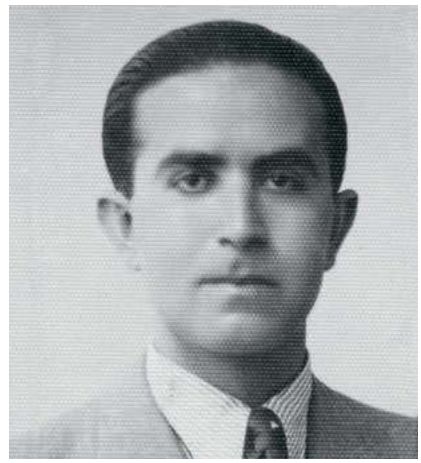

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Alfred Schütz – kierownik muzyczny „Wesołej Lwowskiej Fali". Lwów, 1935 rok.

Na sąsiedniej stronie: kapelmistrz Alfred Schütz przy fortepianie podczas próby. Warszawa, 1938 rok.

fokstroty, walce i tanga są wydawane na płytach i wykonywane nie tylko przez znanych piosenkarzy, ale także w kabaretach i restauracjach.

WARSZAWA | Rok 1936 zaczyna się od katastrofy. Holenderscy dyplomaci, niezadowoleni z niektórych żartów w audycji radiowej, skarżą się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wybucha głośny skandal, Warszawa nakazuje zamknięcie „Wesołej Lwowskiej Fali".

Schütz zostaje bez pracy. Przenosi się do stolicy, gdzie przyjmuje zaproszenie od nowo powstałego teatru operetkowego. Jego nowe stanowisko to kapelmistrz.

W Warszawie sława kompozytora wkracza na nowy poziom. Jego nowe piosenki trafiają do repertuaru takich gwiazd jak Hanka Ordonówna, Eugeniusz Bodo, Zofia Terné, Mieczysław Fogg, Wiera Gran, Adam Aston i inni. Ukazuje się kilkadziesiąt płyt z jego piosenkami.

Mimo to Schütz nie przepada za tym, co robi – od czasu do czasu zmienia pracę, nigdy nie zostając nigdzie na dłużej.

Po około roku rzuca pracę w operetce i wyjeżdża do Włoch (powody i cel nie są znane). Po powrocie do Warszawy zostaje dyrektorem Teatru Buffo. Wkrótce jednak rezygnuje z tego stanowiska i zostaje kierownikiem muzycznym w Teatrze Narodowym. Ale opuszcza go, by współpracować z popularnymi kabaretami Cyrulikiem Warszawskim, Wielką Rewią i Ali Babą. To wszystko w ciągu zaledwie trzech lat.

PONOWNIE LWÓW | Niekończącą się warszawską bieganinę ze stanowiska na stanowisko przerywa niemiecka agresja na Polskę. Tydzień po wybuchu wojny Schütz opuszcza stolicę ostatnim pociągiem ewakuacyjnym.

Pokonuje trudne trasy, aby dostać się do Lwowa. Tak dobrze przecież mu znany, zmienił się w tyłowe wojenne miasto z tłumami zdezorientowanych uchodźców, szpitalami i rannymi.

Pod koniec września Armia Czerwona, która zaatakowała Polskę od wschodu, zajmuje Lwów. Schütz spotyka na ulicy aktora i reżysera Konrada Toma, z którym zaprzyjaźnił się w Warszawie podczas współpracy z kabaretami. Niedawno Tom został mianowany dyrektorem nowo powstałego Lwowskiego Teatru Miniatur. Do obsady pozyskuje aktorów-uchodźców. Schütz otrzymuje stanowisko koncertmistrza.

Teatr przygotowuje program koncertowy i wyrusza w długie tournée po Związku Sowieckim. W ten sposób sowiecki rząd stara się przekonać ludność, że Polacy są niezwykle szczęśliwi z powodu „wyzwolenia" ich przez Armię Czerwoną. Współcześni historycy spierają się, czy to zaangażowanie w sowieckie instytucje ze strony wielu osób z polskiego świata kultury należy uznać za kolaborację. Dla Schütza był to sposób na przeżycie, natomiast komunistyczne poglądy były mu zupełnie obce.

Tymczasem w mieście Frunze (obecnie Biszkek, stolica Kirgizji) Schütz zaraża się tyfusem plamistym. Trafia do szpitala, gdzie grozi mu śmierć z powodu niedostatku żywności i leków. Przeżywa dzięki polskiej pielęgniarce, która się nim opiekuje.

TWÓRCA HYMNU | Jesienią 1941 r. Schütz otrzymuje telegram mobilizacyjny ze sztabu armii Andersa – kilka miesięcy wcześniej Hitler uderzył na Stalina, zmieniają się sojusze i sowiecki dyktator zgadza się na tworzenie wojska z obywateli polskich. Schütz cieszy się, że polska armia się odradza. Ale jak ma dotrzeć do Buzułuku na dalekim Uralu, gdzie się ona formuje, skoro nie ma pieniędzy? Jak pokonać odległość 2,5 tys. kilometrów?

Po wyjściu ze szpitala Alfred udaje się do KC Komunistycznej Partii (bolszewików) Kirgistanu z nadzieją na uzyskanie pomocy. W pobliżu budynku KC spotyka ↦

ARCHIWUM RODZINNE

U stóp zdobytego już wzgórza Monte Cassino, maj 1944 r.

↦ Zygmunta Toneckiego, przedwojennego warszawskiego krytyka filmowego i odkrywcę polskiej awangardy filmowej. Ten zabiera Schütza do biura Mołdogazy'ego Tokobajewa, trzeciego sekretarza KC.

Okazuje się, że wysoki partyjny funkcjonariusz jest również znanym poetą. Niedawno napisał słowa do kirgiskiego hymnu narodowego i poszukuje kompozytora. Schütz prosi, by udostępniono mu fortepian. W ciągu pół godziny melodia jest gotowa. Tokobajew jest zachwycony. Zaprasza ministra kultury, który również jest bardzo zadowolony.

Za honorarium w wysokości 400 rubli Schütz kupuje bilet kolejowy i przez trzy dni stoi w przedsionku wagonu. Nie ma innych wolnych miejsc. 3 grudnia 1941 r. przybywa do Buzułuku i wstępuje do armii Andersa. Zostaje przydzielony do Wydziału Propagandy (taką nazwę nosi jednostka zajmująca się także kulturą). Wraz z armią Andersa opuści Związek Sowiecki, przejdzie Iran, Irak, Egipt, Palestynę, aż do Włoch.

CZERWONE MAKI | Włochy, siedziba Teatru Żołnierza Polskiego przy 2. Korpusie Andersa w Campobasso. Noc z 17 na 18 maja 1944 r.

Od 11 maja ziemia wkoło drży od huku armat, niebo w oddali płonie. To polscy żołnierze 2. Korpusu atakują linię Gustawa – system niemieckich umocnień, blokujących aliantom drogę na Rzym. Jej elementem jest założony w średniowieczu przez św. Benedykta klasztor na wzgórzu Monte Cassino.

Jest trzecia nad ranem. Schütz nie może zasnąć, niedaleko strzela artyleria. Wstaje, siada do fortepianu, improwizuje. Muzyka zawsze go uspokaja. Nagle wpada Feliks Konarski, poeta. Przed chwilą skończył pisać słowa do piosenki o tym szturmie: „Czerwone maki na Monte Cassino / Zamiast rosy piły polską krew". Prosi o skomponowanie muzyki, teraz, natychmiast.

„Czytałem słowa pierwszej zwrotki – wspominał potem Schütz – i czułem przeszywający mnie dreszcz emocji. Przy refrenie zacząłem grać na pianinie. Drugą zwrotkę śpiewaliśmy już razem".

ŻOŁNIERZE PŁAKALI | Pieśń „Czerwone maki na Monte Cassino" rodzi się w chwili, gdy na polu walki następuje przełom: 18 maja patrol 12. Pułku Ułanów Podolskich wywiesi nad ruinami klasztoru polską flagę. To zwycięska noc. Ale cena jest wysoka: tysiąc zabitych i cztery tysiące rannych – jedna dziesiąta 2. Korpusu. To ludzie, którzy tak jak Schütz przeszli pół świata z nadzieją, że wrócą do wolnej Polski.

O świcie dwaj współautorzy „Czerwonych maków" budzą Gwidona Boruckiego, aktora i śpiewaka, i od razu zaczynają próby. Wkrótce to on, w towarzystwie 14-osobowej orkiestry Alfreda Schütza, wykona pieśń przed żołnierzami, którzy chwilę wcześniej przeszli przez piekło.

Konarski zapamiętał: „Śpiewając po raz pierwszy »Czerwone maki« u stóp klasztornej góry, płakaliśmy wszyscy. Żołnierze płakali z nami".

BRAZYLIJCZYK | Rok 1945, II wojna światowa dobiega końca. Schütz, który stracił w niej wszystkich bliskich, nie chce zostać w Europie. Gdy dowiaduje się, że Brazylia oferuje polskim artystom dwadzieścia wiz, przyjmuje jedną z nich. Namawia też do wyjazdu swojego kolegę, kompozytora Jerzego Petersburskiego.

W Brazylii układają program z własnych kompozycji i występują na dwóch fortepianach. Odbywają tournée po kraju i są zapraszani do występów w radiu. Schütz zarabia również jako akompaniator znanych śpiewaków, reżyser występów solowych i kierownik muzyczny licznych rewii. Żeni się z młodszą o 10 lat Weroniką, uchodźczynią z Węgier.

Nagle jednak przedwojenna lwowska fala radiowa przypomina o sobie.

LWÓW W MONACHIUM | Oto bowiem Schütz otrzymuje list od Wiktora Budzyńskiego, byłego reżysera „Wesołej Lwowskiej Fali". Ten pisze, że pracuje w Radiu Wolna Europa jako kierownik artystyczny, produkuje niedzielną audycję „Podwieczorek przy mikrofonie", podobną do programu przedwojennego we Lwowie. Zaprasza Alfreda do współpracy.

Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa – z siedzibą w Niemczech Zachodnich, w stolicy Bawarii – zaczęła nadawanie w 1952 r. Kieruje nią Jan Nowak-Jeziorański, podczas wojny legendarny kurier AK. Radio dostarcza Polakom prawdziwych informacji – o tym, co dzieje się w pojałtańskiej Polsce oraz w świecie, a o czym nie chcą informować władze komunistyczne. Z czasem Radio Wolna Europa staje się najchętniej słuchaną w Polsce zagraniczną stacją radiową – i najbardziej intensywnie zagłuszaną przez władze PRL.

W 1961 r. Alfred i Weronika przeprowadzają się do Monachium. Schütz zostaje etatowym pracownikiem Rozgłośni Polskiej RWE. Przywraca przedwojenny repertuar lwowski i pisze około trzystu nowych piosenek. Choć Budzyński dwa lata później wyjeżdża do Wielkiej Brytanii, Schütz pozostaje w Monachium już do końca życia.

Umiera jesienią 1999 r., w wieku 89 lat. Zostaje pochowany na cmentarzu Ostfriedhof przy melodii „Czerwone maki...". Ktoś z żałobników kładzie na grobie duży wieniec z czerwonych maków. Choć sztuczne, wyglądają jak żywe.

© STANISŁAW CALIK

TYGODNIK POWSZECHNY

TYGODNIK, KTÓRY TRAFIA TAM, GDZIE CHCESZ: DO SKRZYNKI, DO PACZKOMATU, DO CIEBIE.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 210 zł
- Prenumerata półroczna: 399 zł
- Prenumerata roczna: 749 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 849 zł

Wszystkie numery doręczy Ci listonosz – nie musisz wychodzić z domu.
W prezencie **UNIKALNA TORBA „TYGODNIKA”** – tylko do 15 lipca.

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

Wszystkie numery z darmową dostawą do wybranego paczkomatu,
ZAWSZE W ŚRODĘ – w dzień premiery. Dodatkowo **ROCZNY DOSTĘP ONLINE** do całego „Tygodnika” za **1 ZŁ**. W prezencie książka z autografem **STANISŁAWA MANCEWICZA „KRONIKI DOBREJ ZMIANY”** – tylko do 15 lipca.

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

Ten sam Tygodnik – różne możliwości.
Wybierz, jak Ci wygodniej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT: MAREK BEDNARZ

NAUKA

SKĄD DOBRO I ZŁO W CZŁOWIEKU

Nowe badania kwestionują jedno z fundamentalnych ustaleń psychologii rozwojowej, wedle którego niemowlęta wykazują preferencję do zachowań prospołecznych. To na nowo rozpali dyskusję nad pochodzeniem moralności.

ŁUKASZ KWIATEK

Dobrze wiemy, że ludzie są zdolni zarówno do altruizmu, jak i okropnych zbrodni; potrafią oddać swoje życie za innych, ale też cudze życie brutalnie odebrać. Co odpowiada za tę mroczną i tę jasną stronę naszej natury? I czego jest w nas więcej: skłonności do dobra czy do zła?

Pytania filozoficzne, takie jak te, mają to do siebie, że trudno na nie odpowiedzieć, nawet jeśli współczesna nauka rzuca światło na zagadnienia, których one dotykają. Dzieje się tak, ponieważ pojęcia pojawiające się w debatach filozoficznych, zwłaszcza tych o długiej tradycji, nie przekładają się zbyt dobrze na eksperymentalne procedury będące rdzeniem współczesnej nauki.

Wojna czy pokój?

W nowożytnej filozofii debata nad pochodzeniem dobra i zła oraz moralną kondycją ludzkości skoncentrowała się na „stanie natury" – okresie naszego rozwoju, który poprzedzał powstanie cywilizacji opartych na rolnictwie. Rozważania te inspirowane były przez spotkania Europejczyków z populacjami łowców-zbieraczy z Nowego Świata, których wiele miało miejsce w epoce odkryć geograficznych i kolonializmu. Żyjący w XVIII w. Jan Jakub Rousseau stan natury utożsamiał z poczuciem pierwotnej, beztroskiej szczęśliwości, związanej z życiem z dnia na dzień na łonie natury, nieskażonym chciwością czy żądzą zdobycia władzy. Romantyczne wyobrażenia o sielankowej egzystencji łowców-zbieraczy zrodziły mit „szlachetnego dzikusa" – człowieka rodem z biblijnego ogrodu Eden, żyjącego w harmonii z przyrodą i innymi ludźmi.

Nie wszyscy propagowali tę samą wizję stanu natury – żyjący wiek przed Rousseau Tomasz Hobbes wyobrażał go sobie jako stan wojny każdego z każdym, której kres położyło dopiero uświadomienie sobie przez ludzi, że mogą znacznie więcej osiągnąć, jeśli powstrzymają się od wszechobecnej przemocy.

Gdy Karol Darwin ogłosił teorię ewolucji, debata nad pochodzeniem skłonności do dobra i zła u ludzi wpisała się w szerszą dyskusję nad miejscem i rolą rywalizacji oraz współpracy w przyrodzie. Jej najważniejszymi uczestnikami byli Piotr Kropotkin i Thomas Huxley. Pierwszy zachwycał się zjawiskiem „pomocy wzajemnej" (altruizmu i kooperacji, jak powiedzielibyśmy dzisiaj) i uważał, że to leżące u jej podstaw instynkty prospołeczne są tym, co umożliwia intelektualny rozwój gatunków – także naszego. Zwierzęta żyjące samotniczo, unikające towarzystwa i kontaktów społecznych, stawiające na rywalizację, a nie współpracę, zajmują niższe szczeble drabiny rozwoju. To świadczy o tym, że prospołeczne instynkty, które można uznać za podstawę zachowań moralnych, są głęboko zakorzenione w naszej ewolucyjnej historii.

Huxley z kolei pisał o nieustannej „walce o byt" toczonej przez każdy organizm i przekonywał, że nasza natura przypomina ogród, w którym plenią się rozmaite chwasty egoizmu, agresji czy chciwości – i trzeba niemałego wysiłku ogrodnika, by te chwasty wykorzenić.

DMITRIY MELNIKOV / ADOBE STOCK

Na szczęście mamy odpowiednie narzędzia dostarczane przez kulturę, które pozwalają ten ogród utrzymać w jako takim stanie – wychowanie do życia w społeczeństwie i zasady moralne wpajane nam od najmłodszych lat.

Popatrzmy na dzieci

W swoich rozważaniach nad stanem natury zarówno wspomniani filozofowie polityczni – Hobbes i Rousseau – jak i biolodzy ewolucyjni – Huxley i Kropotkin – snuli przede wszystkim wyobrażenia na temat historycznego rozwoju ludzkich społeczności. Co ciekawe, z tej czwórki jedynie Kropotkin zauważył, że także przed nastaniem cywilizacji rolniczej ludzie żyli w grupach społecznych, a nie pojedynczo (swój słynny opis życia człowieka w stanie natury Hobbes rozpoczął od słowa „samotne" – po nim pojawiają się określenia „biedne, bez słońca, zwierzęce i krótkie").

Kropotkin słusznie przekonywał, że za jego poglądem przemawiają dowody archeologiczne – np. narzędzia kamienne odnajdywane są zawsze w dużych skupiskach. Można się więc domyślać, że także dawniej łowcy-zbieracze żyli w grupach i że kierowali się jakimś kodeksem postępowania akceptowanego w danej społeczności oraz okazywali życzliwość przynajmniej wobec członków swojej grupy (inaczej by się ona rozpadła) – wbrew temu, co wyobrażał sobie Hobbes. Warto jednak zauważyć, że na kwestię pochodzenia naszych złych i dobrych skłonności można spojrzeć jeszcze z innej strony – rozwoju osobniczego.

Możemy bowiem postawić sprawę w taki sposób: czy rodzimy się z zestawem cech, które czynią z nas małych aniołków, skłonnych pomagać innym – i dopiero później, gdy dorastamy, coś się w nas psuje? Czy może przychodzimy na świat jako mali egoiści, ale rodzice i społeczeństwo uczą nas poskramiać swoje zgubne żądze?

Dodajmy, że debata nad pochodzeniem naszych skłonności do zachowań moralnie chwalebnych i nagannych (zakorzenionych w instynktach rywalizacji i współpracy, wpojonych nam przez ewolucję) ma także wymiar teologiczny. Grzech pierworodny, upadek ludzkości, wizja raju jako miejsca pozbawionego współzawodnictwa i przemocy, konieczność odkupienia czy wyzwolenia się ↦

↦ z grzesznych uwarunkowań ciała – dotykamy tu kwestii, które są fundamentalne dla różnych religii.

Pewnie dlatego eksperyment Kiley Hamlin, Karen Wynn i Paula Blooma opisany w 2007 r. w „Nature" wzbudził tak wielkie zainteresowanie innych badaczy, filozofów i publicystów – wydawało się, że autorzy znaleźli sposób na to, by zbliżyć się do odpowiedzi na pytanie o to, ku czemu bardziej skłania nas natura: dobru czy złu. I była to odpowiedź, która mogła się nam podobać.

Optymistyczna odpowiedź

W badaniach uczestniczyło 28 niemowląt w wieku 6 oraz 10 miesięcy. W laboratorium, trzymane na kolanach przez swoje matki, oglądały animację, na której jedna postać (czerwona kulka z oczami) kilkakrotnie próbowała wdrapać się na wzniesienie, ale nie była w stanie tego zrobić. Następnie pojawiała się inna postać – żółty trójkąt lub niebieski kwadrat (każdy z animowanymi oczami) – która albo pomagała kulce dostać się na wzniesienie, albo jej w tym przeszkadzała. Niektórym dzieciom wyświetlono także scenę, w której pojawiała się postać neutralna – przesuwała się w górę wzniesienia lub w dół, ale nie wchodziła z nikim w interakcje.

Następnie dzieciom prezentowano jeden z trzech zestawów par figurek: postać pomagającą i przeszkadzającą; postać pomagającą i neutralną; lub postać przeszkadzającą i neutralną. Badacze obserwowali, po którą z tych figurek dzieci sięgną, co miało być wyrazem ich preferencji. Ogromna większość dzieci wybierała postaci pomagające, a nie przeszkadzające lub neutralne. Gdy miały do wyboru neutralną lub przeszkadzającą, sięgały po neutralną.

Badacze sprawdzali też reakcję niemowląt na kolejną scenę, w której to postać próbująca wspiąć się na górkę (czerwona kulka) wybiera, do kogo podejdzie: postaci przeszkadzającej czy tej pomagającej. Niemowlęta okazywały zaskoczenie, gdy czerwona kulka zbliżała się do postaci przeszkadzającej, a nie pomagającej – miarą tego zaskoczenia było dłuższe obserwowanie całej sceny (z innych badań wiadomo, że dzieci szybciej nudzą się oglądaniem tego, co jest zgodne z ich wiedzą lub przewidywaniami).

Autorzy badań zinterpretowali ten interesujący wynik ostrożnie. Nie napisali, że skoro kilkumiesięczne dzieci (niezdolne jeszcze do językowej komunikacji, a więc umiarkowanie wystawione na nasze pouczenia) preferują postaci pomagające, życzliwe czy prospołeczne od tych, które przeszkadzają lub szkodzą innym, to powinniśmy uznać, że wielka debata filozofii została rozwiązana – mamy wrodzone skłonności do czynienia dobra. Zauważyli tylko, że wyniki wspierają pogląd, zgodnie z którym biologiczną adaptacją (a więc czymś wrodzonym) jest sama nasza zdolność do oceniania zachowania innych osób jako społecznie pozytywnego lub negatywnego.

A to jeszcze nie rozstrzyga o tym, co wpływa na to, że niemowlęta oceniają zachowania prospołeczne pozytywnie, a antyspołeczne – negatywnie. Preferencja do zachowań prospołecznych mogłaby być wrodzona, ale także mogłaby wynikać z bardzo wczesnych doświadczeń dzieci. Na przykład z obserwacji, że ludzie w ich otoczeniu na ogół okazują sobie życzliwość.

Niemniej, trzy lata później ten sam zespół badaczy wykazał w podobnie skonstruowanym eksperymencie, że już trzymiesięczne niemowlęta wykazują awersję do zachowań antyspołecznych. Tak wczesne pojawienie się w rozwoju takiej preferencji silnie sugeruje, że ma ona jednak charakter wrodzony.

Przedwczesny triumf Rousseau

Oba wspomniane badania przeprowadzone przez Hamlin, Wynn i Blooma przywołane zostały w trzech tysiącach kolejnych publikacji naukowych – raportów z dalszych badań (wśród nich były np. takie, które pokazały, że niemowlęta wolą wchodzić w interakcje z postaciami życzliwymi, nawet jeśli czeka je za to mniejsza nagroda niż za wejście w interakcje z postaciami nieżyczliwymi), ale także i rozpraw filozoficznych dotyczących ewolucji moralności.

Autorzy tych rozpraw tak chętnie ogłaszali triumf poglądów Rousseau nad tymi Hobbesa, że... Wynn, Bloom i współpracownicy postanowili zareagować. W artykule zatytułowanym „Not Noble Savages After All: Limits to Early Altruism" (A jednak nie szlachetny dzikus: ograniczenia wczesnego altruizmu) z 2018 r. przekonywali, że choć dziecięcy altruizm i preferencje prospołeczne pojawiają się bardzo wcześnie w rozwoju (co sugeruje ich wrodzony charakter), to jednak są one dość selektywne. Dzieci wyraźnie preferują osoby, które były dla nich miłe, takim też chętniej same pomagają. Wolą ludzi, których znają, od obcych. Preferują też tych, którzy mówią ich rodzimym językiem albo przynależą do rasy, której przedstawicieli najczęściej spotykają. I co chyba najbardziej zaskakujące – niemowlęta są całkiem szczęśliwe, gdy widzą, że postać, która ma preferencje odmienne od nich samych (np. pokazuje, że lubi inne kolory) jest traktowana przez kolejną postać nieprzyjaźnie.

Ktoś mógłby powiedzieć, że takie stronnicze preferencje są jednak jakimś przejawem moralności – nawet jeśli nie jest to do końca moralność, której oczekiwalibyśmy od świętych. Rousseau i tak mylił się więc mniej niż Hobbes.

Jedno z ciekawszych pytań wyłaniających się z tych badań dotyczy tego, dlaczego w ogóle niektóre dzieci wybierają postaci antyspołeczne. Podczas wykładu w ramach Copernicus Festival w 2017 r. w Krakowie Karen Wynn mówiła, że niektóre dzieci przejawiają stabilną preferencję do postaci antyspołecznych. Skąd taka preferencja się bierze? Z wczesnych doświadczeń? Jest wrodzona? I, co pewnie najważniejsze, czy takie dzieci wyrosną w przyszłości na psychopatów?

Nieudana replikacja

Na te pytania nie udało się jeszcze odpowiedzieć, ale pojawiły się nowe dane, które mogą wpłynąć na całą debatę nad kształtowaniem się preferencji społecznych u niemowląt – a przez to także na debatę nad pochodzeniem moralności. Kilka miesięcy temu ukazał się raport z ogromnego badania przeprowadzonego przez Kelsey Luccę i współpracowników z 37 laboratoriów naukowych zlokalizowanych na pięciu kontynentach, w którym wzięło udział ponad tysiąc niemowląt. Celem tego przedsięwzięcia było odtworzenie oryginalnego badania Hamlin, Wynn i Blooma z 2007 r. na wielokrotnie większej populacji, wśród

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

dzieci pochodzących z różnych kultur. W nauce określa się to mianem replikacji – udana replikacja badań (uzyskanie tych samych wyników przy zastosowaniu tej samej procedury) wzmacnia nasze przekonanie, że dane zjawisko występuje w rzeczywistości.

I choć wcześniej wiele podobnych, lecz mniejszych eksperymentów również wskazywało na pojawiającą się u niemowląt preferencje do zachowań prospołecznych, to w tych największych badaniach ta preferencja się nie ujawniła. Okazało się, że niemal dokładnie połowa dzieci wybiera postać antyspołeczną, druga połowa – prospołeczną. Taki wynik oznacza, że dzieci sięgają po przypadkowe postaci – a więc o żadnej preferencji nie może być mowy.

Dr Michał Misiak z Uniwersytetu Wrocławskiego, który współorganizował badania, w rozmowie z „Tygodnikiem" przyznaje, że skłania się ku takiej interpretacji nowych wyników.

– Część badań psychologicznych po prostu się nie replikuje. Szczególnie dotkliwie odczuwamy to w psychologii społecznej. Choć nie twierdzę, że to konkretne badanie dowodzi, iż małe dzieci w ogóle nie potrafią odróżniać postaci prospołecznych od antyspołecznych, uważam, że konieczne jest zwiększenie skrupulatności metod stosowanych do badania tego zjawiska – mówi dr Misiak.

Prof. Mateusz Hohol z Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych UJ, który naukowo zajmuje się m.in. replikacją badań w psychologii i znany jest także z tych łamów, podkreśla, że zjawisko nieudanych replikacji jest powszechne.

– Obecny kryzys replikacyjny w psychologii wybuchł kilkanaście lat temu. 270 badaczy zrzeszonych w inicjatywie Open Science Collaboration opublikowało w 2015 r. na łamach „Science" raport, zgodnie z którym na 100 badań udało się uzyskać wyniki zbieżne z oryginałem w mniej niż 40 proc. Spośród subdyscyplin psychologii najgorzej było z powtórzeniem wyników z zakresu psychologii społecznej – mówi prof. Hohol. – Kryzys nie jest jednak jedynie wyzwaniem dla psychologii, ale szansą na głębszy namysł zarówno nad teoriami, jak i „kuchnią" badawczą – tym jak przeprowadza się eksperymenty, wykonuje się analizy statystyczne i raportuje ich wyniki. Ujawnienie słabości dyscypliny uwidoczniło zarazem wbudowane w nią mechanizmy samonaprawy – dodaje.

> Czy rodzimy się z zestawem cech, które czynią z nas małych aniołków, i dopiero później coś się w nas psuje? Czy może przychodzimy na świat jako mali egoiści, ale rodzice i społeczeństwo **uczą nas poskramiać swoje zgubne żądze?**

Na czym polegają pozytywne zmiany w praktykach badawczych?

– Badacze zaczęli upubliczniać informacje o tym, na czym będzie polegał eksperyment, jakie mają hipotezy i jak analizowane będą dane, na długo przed wejściem do laboratorium. Coraz powszechniejsze staje się dzielenie zebranymi danymi. Poprawiono standardy raportowania wyników analiz. Wreszcie, szczególnie istotne badania powtarzane są w skoordynowanych, wielozespołowych eksperymentach – tłumaczy prof. Hohol.

Nieudana replikacja badań naukowych może być zatem spowodowana tym, że przed laty praktyki badawcze były mniej rygorystyczne – i w danych zebranych na małych grupach badanych naukowcy dostrzegali wzorce, które nie występują w większej populacji. Przyczyny nieudanej replikacji równie dobrze mogą leżeć także gdzie indziej – możliwe, że zmieniła się rzeczywistość i w nowych warunkach dany efekt nie występuje lub nie da się go w ten sam sposób zidentyfikować.

Wina pandemii?

Intrygującą hipotezę postawiła w tym kontekście prof. Kiley Hamlin – główna autorka zarówno badań z 2007 r., jak i uczestniczka najnowszej replikacji. Zapytałem ją o to, czy sądzi, że prospołeczne preferencje u niemowląt nie są jednak zjawiskiem powszechnym, jak wydawało się na podstawie badań z 2007 r., czy może w ciągu ostatnich dwóch dekad doszło do zmiany społecznej, która wpłynęła na niemowlęta i osłabiła ich wrażliwość na pro- i antyspołeczne zachowania (pierwsze, co przyszło mi do głowy, to zwiększenie kontaktu niemowląt z urządzeniami elektronicznymi). Prof. Hamlin uważa, że odpowiedzialność może spadać na... pandemię covid-19. Nie miałaby ona jednak wpłynąć na preferencje dzieci, tylko na ich zdolność do jej ujawnienia w eksperymentach.

– Zauważyliśmy wraz z kolegami z innych zespołów, że wiele replikacji klasycznych eksperymentów wykonanych przed pandemią się nie udaje, gdy dzieci biorą w nich udział w laboratoriach – tłumaczy prof. Hamlin. – Prowadzimy także badania online, które dają dokładnie takie wyniki, jak badania przed pandemią. Uczestniczące w eksperymentach z domu niemowlęta wykazują prospołeczne preferencje i są skłonne pomagać innym. Jednak w laboratoriach obserwujemy gwałtowny spadek tych preferencji albo ich całkowity zanik – dodaje badaczka.

Zespół prof. Hamlin prowadzi długotrwałe badania nad tą samą populacją dzieci, więc będzie można zweryfikować, czy u tych, które doświadczyły pandemii i lockdownu, zmienią się wzorce rozwoju społecznego lub moralnego. Jednak pozostaje pytanie, dlaczego zmiana miałaby dotknąć dzieci, których w czasie pandemii jeszcze nie było na świecie.

– Nasza hipoteza głosi, że laboratorium jest dla niemowląt urodzonych po pandemii zbyt stresujące. Prawdopodobnie dlatego – co pokazują pewne dane – że obecnie niemowlęta mają rzadziej okazję spotykać nowe osoby i przebywać w nowym otoczeniu. Rodzice rzadziej zabierają je na zakupy czy bawią się z nimi na zewnątrz. Rzadziej mają okazję się przekonać, że obcy ludzie zwykle nie są kimś strasznym. Więc gdy przyjdą do laboratorium, to wszystko je rozprasza. Nie wiemy, czy ta hipoteza jest prawdziwa, ale wraz z badaczami z innych krajów, którzy mieli podobne obserwacje, pracujemy nad tym, by ją przetestować – mówi prof. Hamlin.

Badaczka przyznaje też, że jej zdaniem jeśli w przyszłości rodzice znowu zaczną częściej pokazywać niemowlętom obcych ludzi i miejsca, to replikacje eksperymentów laboratoryjnych zaczną się udawać. Jeśli ta hipoteza zostanie udowodniona, to potwierdzi się także, że są na świecie rzeczy, o których nie śniło się nawet najczęściej cytowanym filozofom.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

REKLAMA

Botanika
osiedle Niezapominajek

APARTAMENTY W PRESTIŻOWYM ZACISZU

www.osiedleniezapominajek.pl
tel. 12 311 88 00

WOJCIECH

Bonowicz: *Co jest potrzebne*

Trzeba działać – to także słyszę, jeżdżąc po Polsce. Ciekawe, że przez działanie rozumie się przede wszystkim akcje: protesty, listy, zbieranie podpisów. Praca intelektualna – analiza przyczyn, które doprowadziły do tego, co mamy, snucie scenariuszy na przyszłość, podsuwanie nowych idei i nowych punktów widzenia – za działanie uważana nie jest.

Niby nie ma się czemu dziwić: w świecie zdominowanym przez skrót każdy dłuższy wywód, każde niuansowanie musi budzić zniecierpliwienie. Tam, gdzie narzędziem uprawiania polityki stał się krzyk, spokojny ton uchodzi za przejaw słabości. Przyzwyczailiśmy się, że rozmowę zastępuje wymiana ciosów, oskarżeń, przysrywek. Czyż debaty przedwyborcze nie są tak skonstruowane, żeby pokazać, kto sprawniejszy w słownej szermierce? Skoro nagradzana jest sprawność, można mieć najgłupsze, najbardziej szkodliwe poglądy i debatę wygrać. I na odwrót: w serwisach informacyjnych żaden racjonalny, niekontrowersyjny pogląd się nie przebije. Poruszamy się wśród wrażeń, nie argumentów, i na podstawie wrażeń podejmujemy decyzje o naszej przyszłości.

Praca intelektualna tymczasem służy przede wszystkim formułowaniu argumentów. Do czego jednak są nam one potrzebne, skoro wygrywają wrażenia i krzyk? Myślę, że potrzebne są nam przede wszystkim „na dole", tam gdzie uprawia się politykę jeden na jeden, twarzą w twarz. Owszem, nie każdy chce słuchać argumentu. Czasem można odnieść wrażenie, że im więcej argumentów, tym o porozumienie trudniej. Ludzie przywiązują się do swoich wrażeń, my sami też zapewne mamy takie, do których jesteśmy silnie przywiązani. Wrażenia bardzo trudno poddać krytyce, co więcej – potężne maszyny pracują na rzecz ich utrwalania i trudno się tej pracy przeciwstawić. Niemniej kiedy już dojdzie do spotkania „na dole", kiedy ludzie choć trochę się wzajemnie na siebie otworzą, argumenty okazują się niezbędne.

Ważnym elementem pracy intelektualnej jest takie sformułowanie argumentu, które trafi w coś, co w drugim człowieku już jest. Oprócz wrażeń nasz umysł wypełniają przecież rozmaite oczekiwania, obawy i nadzieje. Osobiście wierzę, że jest w nas także oczekiwanie na prawdę, głód prawdy. To znamienne, że kiedy się rozmawia – tak „na dole" – z ludźmi o różnych poglądach, zawsze w pewnym momencie dochodzi do głosu tęsknota za tym, żeby „wiedzieć, jak naprawdę jest".
Większość ludzi, z którymi rozmowa jest możliwa, ma poczucie, że porusza się w świecie półprawd, złudzeń, celowych zniekształceń lub przynajmniej – że ich wiedza jest niepełna i niepewna. Owszem, nietrudno spotkać takich, którzy zdają się pozbawieni wątpliwości i na każdy temat „wiedzą swoje". Ci będą cię przekonywać, że jedyna prawda to pogląd, który wyznają. W tym też nie ma niczego dziwnego, bo człowiek zrobi wszystko, by być pewnym samego siebie. Niemniej i w takich przypadkach udaje się czasem znaleźć jakąś szczelinę – niekonsekwencję, opinię jawnie nietrafną – w tym pozornym monolicie. Każdy człowiek nosi w sobie jakieś „nie wiem". To „nie wiem" starają się zagospodarować spece od propagandy. A jednocześnie na tym „nie wiem" – w rzadkich chwilach, zgoda, ale dlatego tym bardziej cennych – można zbudować porozumienie między nami.

Nie mam nic przeciwko protestowaniu, pisaniu listów, zbieraniu podpisów. Przeciwnie, byłoby źle, gdyby nasze zaangażowanie sprowadzało się jedynie do komentowania tego, co robią inni. Często powtarzam myśl Timothy'ego Snydera, że musimy stać się bardziej bezpośredni, zaangażować nie tylko nasze umysły, ale także nasze ciała. Niemniej słyszę to, co słyszę: mniej gadania, więcej działania. Dość namysłu, dyskusji, bicia się w piersi, pora zrobić coś konkretnego. Jaką mam odpowiedź? Jakiś czas temu zmobilizowaliśmy się i zrobiliśmy coś konkretnego: zmieniliśmy władzę. I co? I zabrakło namysłu. Mam wrażenie, że kolejne ekipy rządzące lekceważą potencjał intelektualny, jaki stanowią u nas ludzie samodzielnie myślący. Jedne dlatego, że ludzie myślący samodzielnie im przeszkadzają, inne dlatego, że ludzi myślących samodzielnie nie szanują.

Człowiek samodzielnie myślący to nie taki, który „ma pogląd na każdy temat". Rzeczywiście, wokół jest sporo gadaniny, która tylko udaje myślenie. Nadzwyczaj łatwo mylimy jedno z drugim. Gadanina to nie wysiłek intelektualny. Ten ostatni musi być rzeczywiście wysiłkiem. Muszą w nim być obecne dwa istotne komponenty: poczucie odpowiedzialności i samokrytycyzm. W rzetelnym myśleniu błyskotliwość idzie w parze ze zdolnością do rewizji. Najwyższym przejawem odwagi nie jest wykrzyczeć, co się o kimś myśli, ale wystąpić przeciwko samemu sobie, własnej arogancji. Ponadto – to trzeci, może i najważniejszy komponent – myślenie nazywane samodzielnym zawsze jest myśleniem z kimś. Samodzielność to nie oddzielność.

Bronię takiego myślenia, bo w ostatecznym rozrachunku ono jest najbardziej wspólnototwórcze.

Dziękuję, Joasiu, za rozmowę, która sprowokowała mnie do spisania tych kilku uwag. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem.
Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

KOCHAJ ŻYCIE

Chłopiec z robotniczego Bradford stał się jednym z najbogatszych artystów na świecie. Wśród najczęściej zadawanych Google'owi pytań figuruje: „Ile domów ma David Hockney?". W Paryżu można sprawdzić, ile ma talentu.

DOROTA MALINA

Najnowsza wystawa Davida Hockneya w Fondation Louis Vuitton w Paryżu jest ogromna. W wielkim gmachu na obrzeżach Lasku Bulońskiego zgromadzono ponad czterysta obrazów jednego z najpłodniejszych i najdroższych współczesnych malarzy. Wydarzeniu towarzyszy kampania medialna i etykieta „wydarzenia roku", nic więc dziwnego, że przed budynkiem ustawiają się kolejki, a w środku panuje niewyobrażalny tłok.

Sam artysta w najlepszych muzeach nieraz już gościł – w 2017 r., na osiemdziesiąte urodziny, wielką retrospektywę zorganizowało mu Tate. Odwiedziło ją prawie 480 tysięcy osób, czyli najwięcej w historii londyńskiej galerii. Potem, w nieco okrojonej wersji pokazywano ją w Centre Pompidou i nowojorskim Met. Paryska wystawa „Hockney 25" jest jednak wyjątkowa. Artysta sam nadzorował nie tylko wybór dzieł, lecz także kolor ścian i scenariusz ekspozycji. W wywiadzie dla Polskiego Radia „nasz człowiek w fundacji", czyli kuratorka Magdalena Gemra, opowiadała o tym, jak malarz przez FaceTime'a z daleka śledził postęp prac, a tuż przed otwarciem przyjechał sprawdzić, czy wszystko gra. Również sprzęt, bo wystawa ma mocny komponent interaktywny.

Osiemdziesięciosiedmioletni Hockney imponuje żywotnością. Doskonale wciela w życie swoje motto: „Love Life". Nadal maluje, codziennie, choć pieniędzy ma tyle, że już dawno mógłby wygrzewać stare kości w którejś ze sportretowanych przez siebie kalifornijskich willi. Radośnie testuje nowe media, szaleje na tablecie, robi scenografie operowe i, razem z partnerem i asystentem Jean-Pierre'em Gonçalves de Limą, aktywnie uczestniczy w organizacji swoich wystaw.

„Malowanie daje mi większy haj niż seks i narkotyki" – deklaruje w wywiadach. A nam, zwiedzającym, udziela się wigor i radość soczystych kolorów i płaskich plam. I choć trudno nie zgodzić się z krytykami, że u Hockneya im później, tym nudniej, a apogeum osiągnął w latach 60. i 70., malując gejowskie akty („chłopców, którzy rzadko noszą majtki" – jak zgrabnie podsumował to Karol Sienkiewicz), to warto poobcować z Anglikiem w okrągłych okularkach, który od siedemdziesięciu lat tworzy, eksperymentuje, bada i studiuje. A do radosnych kolorowych płócien podpina przewrotną krytykę fotografii, perspektywy i innych zdobyczy współczesności.

Ciekawe czasy

O życiu Hockneya napisano już bardzo wiele. W bibliografii przedmiotu figurują zarówno rzetelne biografie, jak i beletryzowane wariacje na temat. Do pierwszej kategorii zalicza się dwutomowa, pełna twardych danych i zabawnych anegdot „David Hockney. The Biography" Christophera Simona Sykesa; reprezentantką drugiej jest francuska pisarka Catherine Cusset, która, choć nigdy nawet nie spotkała malarza, w „Vie de David Hockney" przez prawie dwieście stron spekuluje i wyobraża sobie, co czuł i myślał w poszczególnych momentach swojego długiego życia. W księgarni Fundacji Vuittona, oprócz grubego katalogu, zbiorów wywiadów z malarzem i poważnych książek analitycznych, nabyć można też dzieła mniej poważne – choć równie ważne – takie jak jego „Historia obrazów dla dzieci" (niedawno wydana po polsku), czy „David Hockney's dog days", album o pieskim życiu jego dwóch ukochanych jamników Stanleya i Boodgie'ego.

Tłem i determinantą jego losów była walka o równouprawnienie homoseksualistów. Zdaniem krytyków miała ona niemal bezpośrednie przełożenie na jego płótna. Artysta urodził się w Anglii, w której „pederastia" podlegała karze więzienia (zniesiono ją dopiero w 1967 r.), osobistego i artystycznego coming outu dokonywał w zmysłowej, rozgrzanej słońcem Kalifornii, potem przyszły bezludne pejzaże ery AIDS, a wreszcie kwiaty i wnętrza, które niekoniecznie reprezentują sielskość i spełnienie.

Wbrew wizerunkowi pociesznego dandysa w szelkach i kraciastym kaszkiecie, Hockney pozostaje buntownikiem – krytykuje fotografię, nie lubi perspektywy zbieżnej. Bada optykę u starych mistrzów – owocem studiów jest książka „Wiedza tajemna. Sekrety technik malarskich dawnych mistrzów" (a później film dokumentalny), w której wyłuszcza kontrowersyjną teorię, jakoby *camera lucida*, *camera obscura* i inne optyczne narzędzia ↦

© DAVID HOCKNEY. JEAN-PIERRE GONÇALVES DE LIMA

David Hockney, 27 lutego 2024 r.

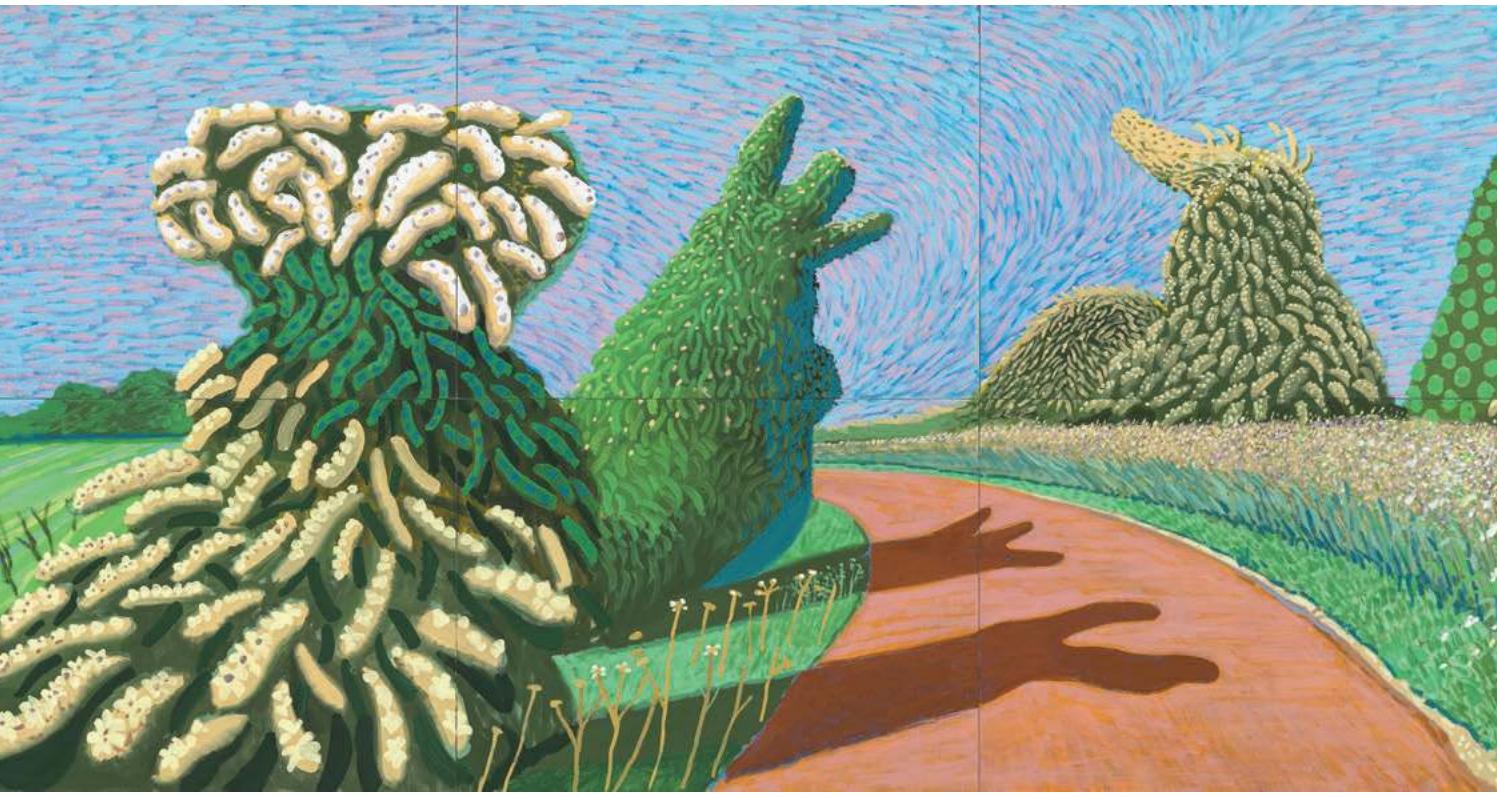

↦ rysownicze i malarskie pomagały artystom w malowaniu już od XV wieku. Historycy sztuki niekoniecznie się z nim zgadzają, ale trzeba przyznać, że Hockney z wyrafinowaniem i uwagą analizuje dzieła van Eycka, Caravaggia czy Ingres'a, do których zresztą odwołuje się w swoich pracach.

Patrząc na gołe pupy i kolorowe kwiaty, można by pomyśleć, że malarstwo Hockneya jest wdzięczne, ale płytkie jak baseny w Los Angeles. Nic z tych rzeczy. Jak sam zaznacza, to, że jest bezczelny i śmieszny, nie znaczy, że nie jest poważny.

Niewątpliwie jest też tytanem pracy. Etos wiktoriański, robotnicze korzenie i postępująca głuchota, która wykluczyła go z życia towarzyskiego, sprawiają, że mimo podeszłego wieku Hockney tworzy niezmordowanie. Nie przestał nawet w najmroczniejszym okresie życia, w swoim *annus horribilis*, kiedy w 2012 r. dostał lekkiego udaru, a kilka miesięcy później jego dwudziestotrzyletni asystent zginął tragicznie w pracowni, bo pod wpływem narkotyków wypił środek do udrażniania rur.

Przez jakiś czas Hockney był w stanie tylko szkicować węglem obrazki o nadejściu wiosny, które też można zobaczyć na wystawie. Wątpiącym udowodnią one, że uproszczone formy i nieco naiwne kształty to wybór artystyczny, a nie skrywana pod kolorowymi plamami nieudolność. Innymi słowy, Hockney potrafi świetnie rysować i nawet w czerni i bieli wspaniale oddać radość i światło.

Do dziś pracuje nieprzerwanie. Ponieważ nie jest już w stanie utrzymać palety, posługuje się głównie tabletem. Ma specjalną, opracowaną tylko dla siebie aplikację z kolorami. Co nie oznacza, że bezkrytycznie przyjmuje wszelką technologię – twierdzi na przykład, że fotografia nie oddaje prawdy o świecie, a najbliżej do niej rysunkowi. Mimo to wykorzystuje zdjęcia w kolażach.

Życie Hockneya jest tak bogate, długie i pełne sprzeczności, że nie wiadomo, jak je ugryźć. Zamiast chronologią posłużmy się (częściowo skorelowanym) kluczem miejsca. W końcu Hockney zawsze mocno inspiruje się pejzażem.

Yorkshire i Londyn

Kojarzony ze słoneczną Kalifornią, pochodzi z deszczowej, robotniczej północy Anglii. Urodził się w Bradford, gdzie krajobraz dominowały „szatańskie młyny" rewolucji przemysłowej, a dziś, obok galerii z pracami najsłynniejszego bradfordczyka, działa wielkie muzeum przemysłu. Nie pochodził z rodziny, która z entu-

© DAVID HOCKNEY, © JONATHAN WILKINSON

© DAVID HOCKNEY, © RICHARD SCHMIDT

© DAVID HOCKNEY, © ART GALLERY OF NEW SOUTH WALES / JENNI CARTER

David Hockney, powyżej: „Portrait of an Artist (Pool with Two Figures)", 1972, akryl na płótnie, 304,8 x 213,4 cm

Po lewej u góry: „May Blossom on the Roman Road", 2009, olej na płótnie, 487,7 x 182,9 cm

Po lewej na dole: „Winter Timber" 2009, olej na płótnie, 609,6 x 274,3 cm

zjazdem wspierałaby artystyczne aspiracje dzieci. Matka zajmowała się domem, ojciec pracował jako inspektor sanitarny, oboje chcieli, żeby syn znalazł sobie stabilną pracę, najlepiej w administracji publicznej. I kiedy już wyobrażamy sobie surowego pana z wąsem, dowiadujemy się, że Kenneth Hockney był wegetarianinem, zagorzałym pacyfistą i obdżektorem. Niewątpliwie wpoił Davidowi zarówno kult ciężkiej pracy, jak i niezależność myślenia (talent już miał). Do dziś Hockney nie zwykł czekać na inspirację – zakasuje rękawy i zabiera się do roboty. Nie ulega też modom – nie zachłysnął się abstrakcją ani minimalizmem, tylko metodycznie malował swoich „gołodupich chłopców" (wciąż Karol Sienkiewicz) i soczyste, kolorowe pejzaże.

Ponieważ w domu się nie przelewało, malował na każdym skrawku papieru, jaki udało mu się znaleźć. Mimo niechęci ojca poszedł do Bradford College of Art, a potem do londyńskiego Royal College of Art. To tam po raz pierwszy zetknął się z pop-artem, który mocno go inspirował. Syn inspektora sanitarnego z Bradford stał się częścią artystycznej awangardy.

Duch czasów mu sprzyjał. Powojenna Wielka Brytania była państwem opiekuńczym: darmowa opieka zdrowotna, stypendia dla najzdolniejszych. To wyrównywaniu szans zawdzięczamy Beatlesów, Stonesów, kino młodych gniewnych i obrazy L.S. Lowry'ego. No i właśnie Hockneya. Już w czasie studiów dzieciak z Bradford dostał możliwość wyjazdu do Nowego Jorku, gdzie zachłysnął się wolnością. Jeszcze przed dyplomem trafił pod skrzydła młodego wówczas marszanda Johna Kasmina. I to jemu zawdzięcza pierwsze intratne sprzedaże, które pozwoliły mu zrealizować amerykański sen.

Kalifornia

Po dyplomie, mimo że swingujący Londyn buzował kulturalnym fermentem i stopniowo się liberalizował, Hockney uznał, że więcej swobody, a na pewno więcej słońca znajdzie w Kalifornii (którą znał między innymi ze zdjęć w pornograficznych magazynach o panach dla panów). I nie chodziło tu o prawo, raczej o obyczaje. Ustawy zakazujące „sodomii" obowiązywały tam przecież dłużej niż w Anglii, bo aż do połowy lat 70. Wśród artystycznej bohemy Los Angeles panowała jednak znacznie większa tolerancja, z której Hockney radośnie korzystał. Najpierw mieszkał w artystycznych dzielnicach takich jak Venice Beach, potem, wraz z sukcesami finansowymi, przenosił się do bardziej luksusowych dzielnic willowych.

To tam powstały jego najsłynniejsze i najdroższe płótna. Ostre słońce, mocne barwy i burzliwe romanse stały się dla artysty źródłem inspiracji. W tym okresie porzucił prymitywizm na rzecz pop-artowego hiperrealizmu i namalował serię obrazów z basenami. Tyle że ten najcenniejszy „Portrait of an Artist (Pool with Two Figures)" przedstawia właściwie basen w Saint Tropez. Do dziś pozostaje najdroższym sprzedanym na aukcji dziełem sztuki żyjącego artysty. Akryl na płótnie, 2 na 3 m, żywe, plakatowe kolory. Zanurzona pod wodą postać w białych kąpielówkach (Hockney) i oglądający go z brzegu, ubrany w czerwoną marynarkę Peter Schlesinger, były kochanek i muza malarza. Dystans i smutek rozstania przerobione na sztukę. Sprzedane!

W listopadzie 2018 r. anonimowy nabywca kupił obraz na aukcji w Nowym Jorku za rekordową sumę 90,3 mln dolarów. W ten sposób Hockney znacznie przebił nieistniejącego już, „Balonowego psa" Jeffa Koonsa (58,4 mln dolarów). Jak wytłumaczyć tak ogromy sukces komercyjny? Zdaniem Anny Theiss obraz jest świetny formalnie, wykorzystuje nową jak na te czasy technikę akrylową, a te niewątpliwe zalety podbija znakomity „storytelling" o niespełnionej miłości. Tym, co na pewno winduję cenę, jest też ↦

© DAVID HOCKNEY, © FONDATION LOUIS VUITTON / MARC DOMAGE

Na wystawie „David Hockney 25", Paryż 2025 r.

↦ status Hockneya jako „jednego z największych żyjących malarzy".

Normandia i Paryż

Chłopiec z robotniczego Bradford stał się jednym z najbogatszych artystów na świecie. Wśród najczęściej zadawanych Google'owi pytań figuruje: „Ile domów ma David Hockney?". Odpowiedź: co najmniej pięć, w tym luksusowe wille w Malibu i Los Angeles, pracownie w Londynie i dom w Normandii. Teraz jest już lekko niedołężny i głuchy (nosi kolorowe aparaty słuchowe), więc ograniczył podróże. Ale wcześniej często się przenosił: tworzył w Chinach, Japonii, Libanie, Egipcie, Norwegii i we Francji.

To właśnie Francję wybrał na starość. Od 2019 r. mieszka w urokliwym drewnianym gospodarstwie w Beuvron-en-Auge w departamencie Calvados. W przyległej do domu cydrowni urządził sobie atelier. Normandia, jej spokój i przyroda, jak twierdzi, przywróciły mu twórczy wigor. To tu, w trakcie najgłębszej pandemii, malował wesołe, soczyste kwiaty. I pocieszał zalęknionych wirusem: „Pamiętaj, nie mogą odwołać wiosny". Zdanie to stało się mottem paryskiej wystawy.

Poszłam na nią sceptyczna, a wyszłam, po wielu godzinach, zadowolona. Nie ulega wątpliwości, że każdy znajdzie tu coś dla siebie. Historycy sztuki będą tropić nawiązania do Matisse'a i gry z Caravaggiem, zapaleni ogrodnicy podziwiać soczyste kolory kwiatów i rozległe korony drzew, wielbiciele sztuki queerowej zachwycą się pięknem smukłych ciał w kąpielówkach, a fani malarskich zabaw docenią sprytne *mise en abyme* (obrazy w obrazach o oglądaniu obrazów), a wśród nich emblematyczne „Play Within a Play Within a Play and Me with a Cigarette". Obraz ten wywołał zresztą sporą polemikę, bo ze względu na obecność papierosa afisz reklamujący wystawę Hockneya z jego reprodukcją usunięto z paryskiego metra.

Od 2007 r. we Francji obowiązuje ustawa zakazująca „bezpośredniej i pośredniej reklamy wyrobów tytoniowych". A wizerunek palącego artysty może zachęcać do palenia. Sam Hockney był wściekły, zwłaszcza że od 60 lat jest nieskrywanym apologetą papierosów, które, jak twierdzi, dobroczynnie działają na zdrowie psychiczne.

Hockneya da się analizować głęboko: w pustych kalifornijskich willach słyszeć echa Wietnamu, a w bezludnych pejzażach widzieć skutki AIDS. W odwrocie od ludzi i zanurzeniu się w świecie roślin też można upatrywać się symbolu. Ale nie trzeba. Wystarczy sycić się kolorami i formą. Widzowie cykają sobie *selfie* na tle wściekle kolorowych pejzaży i pozują do portretów w wypełnionych po sufit Kunstkamerach. Dla krytyków to pewnie eskapizm, który nie przystoi w ciężkich czasach. Kręcą też nosem na „iPad-art" i frenetyczną nadprodukcję dzieł Hockneya.

Ja nie byłabym taka surowa. Z kwiatów i drzew, nawet tych lekko kiczowatych, biją wigor, witalność i wola życia. Ostatnio zewsząd kiepskie wieści, więc może warto pamiętać, że nawet one nie mogą odwołać wiosny? A co dopiero lata.

© DOROTA MALINA

Wystawę **DAVID HOCKNEY 25** można oglądać w Fondation Louis Vuitton w Paryżu do 31 sierpnia 2025 r. Polecamy wcześniejszą rezerwację biletów na stronie www.fondationlouisvuitton.fr

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM **www.radiokrakow.pl**

Muzyka taka jak my

DARIUSZ KOSIŃSKI

MUZYKA | Festiwalowe lato rozpoczęło się na dobre w katowickiej Strefie Kultury imprezą, która daje prawdziwe poczucie wolności. Łącznie z wolnością wymknięcia się bądź odmowy uczestnictwa.

Między 19 a 22 czerwca, gdy na irańskim, izraelskim i ukraińskim niebie rakiety wypisywały kolejne realne puenty podniosłej opowieści o wielkiej wspólnocie, w Katowicach odbywało się radosne święto wielości – festiwal Tauron Nowa Muzyka (TNM). Zdaję sobie sprawę, że to zestawienie może wydać się szokujące, ale oddaje proporcje między monumentalnym aparatem wytwarzającym przekonanie o potrzebie jedności a rozproszonymi i miękkimi, nieco ukrytymi praktykami mnogości.

Rzeczywistość jest pięknie różnorodna w swoich przejawach. I choć nie da się stale żyć wielością, to choćby czasowe jej praktykowanie stanowi doświadczenie pozytywne i pożyteczne. Chroni przed rosnącymi w siłę bojowymi politykami i pedagogikami jedności, których nieuchronnymi owocami są wojna, zniszczenie i śmierć.

Położenie ma znaczenie

Tegoroczna edycja festiwalu Tauron Nowa Muzyka była już dwudziestą, jubileuszową. Po raz pierwszy zorganizowano festiwal w roku 2006, w dawnym szybie katowickiej kopalni „Wieczorek", przebudowanym na galerię. Od początku imprezie przyświecała idea oparta na dwóch filarach: prezentacji innowacyjnej muzyki wymykającej się jednoznacznym definicjom i promowanym masowo konwencjom popularności, oraz lokowaniu festiwalu w miejscach naznaczonych śląską historią przemysłową.

Nic dziwnego, że gdy w roku 2015 na terenach dawnej kopalni „Katowice" otwarto nową siedzibę Muzeum Śląskiego, tam właśnie przeniósł się festiwal. Stopniowo objął on całą katowicką Strefę Kultury, łącznie z ogromnym gmachem Międzynarodowego Centrum Kongresowego, a nawet siedzibą Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. W rezultacie tej ekspansji TNM od kilku lat dysponuje sześcioma, a nawet siedmioma scenami rozrzuconymi na rozległym terenie znajdującym się w samym centrum Katowic, w miejscu wręcz definiującym nową, poprzemysłową tożsamość.

Lokalizacja i topografia festiwalu mają ogromne znaczenie praktyczne i przyczyniają się do wytwarzania bardzo specyficznych praktyk jego uczestników. By dobrze to zrozumieć, warto go zestawić z takimi modelowymi imprezami muzycznymi, jak Jarocin czy Pol'and'Rock Festival (dawny Przystanek Woodstock).

Te „rockowiska" z zasady odbywają się poza wielkimi ośrodkami, na polach oddalonych od siedzib ludzkich. By wziąć w nich udział, trzeba zerwać z powszednim życiem i stworzyć wyjątkową sytuację świątecznej i alternatywnej wspólnoty, która stanowi deklarowany cel ich twórców i uczestników, apoteozowany jako wielka wartość. Choć w obrębie wielotysięcznej „festiwalowej rodziny" działa cała sieć napięć i mechanizmów konkurencji, a różnorodność oczekiwań i pragnień skutkuje pojawianiem się kolejnych organizujących je ośrodków, to nadal celebruje się tu jedność ponad podziałami. Ikoną tych wydarzeń jest zaś zdjęcie tłumów wspólnie bawiących się przed ogromną sceną główną.

Zabawy w podgrupach

Na TNM takiego zdjęcia zrobić się nie da. Ze względu na ukształtowanie terenu nigdzie i nigdy na tym festiwalu nie ma możliwości zgromadzenia wszystkich jego uczestników w jednym, dającym się ogarnąć spojrzeniem miejscu. Katowicka Strefa Kultury to zasadniczo wielki miejski park, podzielony na liczne podstrefy i subprzestrzenie. Trzy największe festiwalowe sceny znajdują się w budynkach (dwie w MCK, jedna w głównej sali NOSPR), a w przestrzeni otwartej nie ma żadnej sceny centralnej – plenerowe miejsca występów są zasadniczo ulokowane na obrzeżach terenu, którego środek zajmuje strefa gastronomiczno-towarzyska.

Dokładnie tak: centrum wydarzenia będącego festiwalem muzycznym wypełnia przestrzeń imprezowa niezorientowana na żaden główny punkt. Owszem, tuż obok tej strefy jest scena nazwana znamiennie „tajemną" (Secret Stage), ale bez wielkiego ryzyka powiedzieć można, że pełni ona funkcję towarzyszącą rozmowom i „zabawom w podgrupach", na które niemal natychmiast dzieli się festiwalowa publiczność. Jeśli dodać do tego, że mniejsze oficjalne sceny niemal nie różnią się od kilku stanowisk didżejskich zorganizowanych przy poszczególnych strefach sponsorskich i komercyjnych, to otrzymamy zarys tej dynamicznej, policentrycznej konstelacji, jaką tworzy TNM.

Nie bez znaczenia jest też i to, że do miejskiego parku zamienionego na wielosalowy klub muzyczny można z centrum miasta dojść piechotą. Wielu uczestników w trakcie festiwalowych nocy wychodzi na czas jakiś do okolicznych sklepów, lokali, a nawet do pobliskich hoteli, w których nocują, by potem wrócić na teren i do programu wydarzenia.

Oznacza to, że wielość praktyk festiwalowych obejmuje i takie, które *de facto* oznaczają wymknięcie się temu, co przygotowali organizatorzy. To wbrew pozorom bardzo ważny i wyjątkowy element. Nawet na celebrującym liberalną wielość festiwalu Open'er nie da się uzyskać takiej swobody, ze względu na odległości i czas konieczny na dotarcie do oddalonego od centrum Gdyni miejsca festiwalu.

W efekcie czasem zniewolenie przez cudze zasady i wybory odczuwa się wręcz boleśnie. Na TNM poczucie wolności, łącznie z wolnością wymknięcia się lub całkowitego wyjścia możliwego w każdej chwili, jest wręcz dominujące i ma decydujący wpływ na swoisty luz panujący na tej imprezie.

Ela Minus i Szczyl na plus

Równie silne jest poczucie różnorodności muzycznej. Formuła „nowa muzyka", precyzowana w dawnych autorskich opisach festiwalu jako „pogranicze jazzu, elektroniki i tanecznych rytmów", ↦

↦ w ostatnich latach obejmuje niezwykle szeroką panoramę zjawisk.

Jeśli na jej jednym biegunie postawić wymagające skupienia koncerty współczesnej muzyki eksperymentalnej odbywającej się w filharmonicznych wnętrzach NOSPR, a na drugim oparte na mocnych i powtarzalnych bitach didżejskie sety służące niemal wyłącznie do transowego tańca, to jeszcze nie będzie to wystarczające.

Poza tak rozrysowaną skalą znajdą się wszak występy zespołów indie-rockowych (w tym roku TV On the Radio), popowych piosenkarek, raperów i hip-hopowców. Na dodatek w programie TNM prym wiodą osoby i zespoły zupełnie nieprzejmujące się granicami gatunków i czystością kategorii opisowych. Konia z rzędem temu, kto bez dziwacznej ekwilibrystyki słownej opisze na przykład muzykę prezentowaną przez Elę Minus, pochodzącą z Kolumbii wykonawczynię, której występ był dla mnie jedną z największych niespodzianek tegorocznego festiwalu.

Elektronika – tak, oczywiście. Ale bez użycia kluczowego w wielu opisach zwrotu „łączona z" (w tym przypadku popem, elementami rapu, techno, dance i czego tam jeszcze, łącznie z echami muzyki latynoskiej) nie da się nawet przybliżyć do tego, czym był ten znakomity koncert.

Wykonawcy dodatkowo utrudniają to zadanie, przygotowując często na festiwal specjalne wersje swojej „normalnej" twórczości. Pamiętam, jakie wrażenie wywarł na mnie w roku 2022 występ Szczyla z rockowym składem muzycznym. Takich ewenementów jest w historii TNM o wiele więcej, co oczywiście wynika w dużej mierze z charakteru znacznej części prezentowanej tu muzyki, opartej wszak na remiksach i swobodnie posługującej się wariacjami i improwizacjami.

To trans, bez słów

Słuchając kolejnych setów, coraz lepiej rozumie się kulturę, w której oryginalność i kreatywność nie odwołują się do (fałszywego w dużej mierze) wyobrażenia o całkowitej nowości tego, co się tworzy, ale do inwencji w przetwarzaniu, kombinowaniu i komponowaniu wciąż nowych zestawień, sprawiających, że znane brzmi dźwiękami, rytmami i tonacjami, o jakie by się go nie podejrzewało.

STANISŁAW WADAS / MATERIAŁY PRASOWE ORGANIZATORA

Tauron Nowa Muzyka – publiczność na koncercie Eli Minus. Katowice, 20 czerwca 2025 r.

Dobry festiwal w cenie karnetu zapewnia doświadczenie wspólnoty zachowującej mnogość i wielość dzięki rezygnacji z jakichkolwiek warunków przynależności. Próbowaliście?

Gdybym miał w całej tej różnorodności szukać jakiegoś elementu wspólnego, to zgodnie z moim generalnym nastawieniem dostrzegałbym go w tym, co określa się – wciąż dla wielu obcym i zbyt „uczonym" – przymiotnikiem „performatywny".

Słuchając występów tak odmiennych jak koncert izraelskiego pianisty Yehezkela Raza, politycznie krytyczny, silnie teatralizowany show kenijskiego artysty o pseudonimie Kabeaushé czy powalający wręcz mocą rytmu i energii set Underworld, głównej gwiazdy TNM 2025, miałem wrażenie, że wszyscy oni nie chcą, bym pozostał jedynie słuchaczem, ale starają się mnie wciągnąć w całościowe, organiczne doświadczanie i przeżywanie muzyki, będące odmiennym sposobem percypowania rzeczywistości.

To muzyczne poznanie nie odbywa się przez znaki i emocje. Odbywa się przez wcielone, zmysłowe i energetyczne doświadczenie bezpośrednie. Najsilniej i najprościej doznać go można, gdy przesterowany bas uderza w splot słoneczny, a zintegrowany z jasnym światłem rytm wprowadza tańczące ciała w oczekiwany trans. Ale można go doświadczyć także w trakcie rozlewających się kontemplacyjnie muzycznych medytacji elektronicznych i akustycznych, nawet tak wymagających jak te, które w tym roku zaproponowała szwedzka kompozytorka Ellen Arkbro.

Performatywność „nowej muzyki" dąży do zdetronizowania pracującej w nas cały czas maszyny mózgowej, deszyfrującej i przerabiającej doświadczenie bezpośrednie na słowa. Nie do jej zatrzymania (bo to niemożliwe), ale do maksymalnego zrównania zapewnianego przez nią poznania z innym, którego źródłem są zmysły, cielesność i organiczność. „Nowej muzyki" nie zadowala słuchanie (nawet najbardziej uważne), chce być wcielana i przeżywana w największej możliwej pełni.

Rób, co chcesz

Można w tym momencie zacząć się obawiać, że wielość i swoboda wyboru, których świętowanie widzę jako istotną wartość katowickiego festiwalu, są zagrożone przez to, co stanowi jego podstawę. Dążenie do maksymalnej performatywnej

MICPAW // MATERIAŁY PRASOWE ORGANIZATORA

Tauron Nowa Muzyka – koncert Richiego Hawtina. Katowice, 21 czerwca 2025 r.

sprawczości oznacza wszak pragnienie przejęcia kontroli, całkowitego wciągnięcia publiczności w świat rytmów, bitów, dźwięków i hałasów. Jak wiadomo nie od dziś, stan „transowego" uniesienia jest mocno ambiwalentny – łączy się z ekstazą, ale i utratą panowania nad sobą, co zwykle oznacza poddanie się cudzej woli i cudzym pragnieniom.

Zabezpieczeniem przeciwko temu niebezpieczeństwu jest na TNM właśnie różnorodność i brak narzuconego, obowiązującego wzorca zachowań. Nawet takiego, jaki wydaje się wręcz oczywisty dla festiwalu muzycznego: że osoby, które zdecydowały się w nim uczestniczyć, będą słuchać tworzących go występów. Pamiętam dobrze, jak w czasie pierwszych wizyt na katowickim festiwalu zdziwiło mnie, że w trakcie koncertów największych gwiazd tak wiele osób w ogóle nie wydaje się nimi interesować.

Nawet w tym roku, choć Underworld niemal wypełnił największą festiwalową salę, wydzieloną w ogromnej przestrzeni Międzynarodowego Centrum Kongresowego, to na zewnątrz nadal pozostał spory tłumek spokojnie raczący się piwem, wesoło rozmawiający i nie sprawiający wrażenia, że kulminacja festiwalu, występ oczekiwanego „headlinera", była dla nich specjalnie interesującym wydarzeniem.

W racjonalnym i pragmatycznym pojmowaniu sensu uczestnictwa w festiwalu niemal nie mieści się to, że można kupić nietani wszak karnet, a następnie omijać największe atrakcje programu muzycznego. Ale swobodna akceptacja wielości i różnorodności będąca podstawą TNM nie wyklucza ani nie odbiera znaczenia i takim postawom.

Bez zobowiązań

Na katowickim festiwalu spotykają się i współistnieją postawy skrajnie różne, zwykle niemal się wykluczające i zwalczające. Dobrze to widać w czasie koncertów w sali NOSPR. Statusowo prestiżowa przestrzeń, narzucająca swym wyrafinowaniem specjalne konwencje zachowań, zostaje na tę jedną „noc Walpurgi" opanowana przez różnorodny tłum. Konwencje i konwenanse filharmoniczne neguje nie tyle jego wygląd, ile zachowania, obejmujące (zgodnie z regułami festiwalowymi) swobodne wchodzenie i wychodzenie w trakcie koncertu. Ba, są ludzie, którzy wchodzą do sali NOSPR nie wiedząc, co to za przestrzeń. Taka obrazoburcza wręcz negacja kulturowego statusu sąsiaduje z pełną oddania postawą świadomych melomanów i (rzadkimi co prawda, ale jednak zdarzającymi się) pokazami kulturowego snobizmu.

I choć obsługa sali sprawia wrażenie nieco zszokowanej, to nie protestuje, nie zamyka drzwi, nie ucisza. Nawet jeśli kroki wchodzących i wychodzących przeszkadzają tym, którzy słuchają w skupieniu, to w pewnym momencie akceptacja tych dodatkowych dźwięków pozwala na nadanie muzyce nowego znaczenia. Uwalnia ją spod dyktatury własnego monopolu, otwiera zamkniętą przestrzeń audiofilskiego rezerwatu i czyni tym, czym wszak zawsze chciała być – częścią żyjącego świata.

W myśli współczesnej, na przykład u Giorgia Agambena czy Jeana-Luca Nancy'ego, ważną rolę odgrywają projekty „nowej wspólnoty", nie opartej na polityce jedności, przymusie dzielenia tych samych przekonań, akceptacji tych samych zasad czy robienia razem tego samego. Mówiąc najogólniej, zakładają one możliwość powołania wspólnoty zachowującej mnogość i wielość dzięki rezygnacji z jakichkolwiek warunków przynależności.

Nie sądzę wprawdzie, by było to celem organizatorów festiwalu, ale przez specyfikę zapraszanych artystów i wyjątkowość miejsca powołali sytuację, w której za cenę karnetu można w skali mikro doświadczyć „wspólnoty, która nadchodzi". Czy ostatecznie nadejdzie? Nie wiadomo.

Rakiety lecą i nad nami wszystkimi wisi groźba jedności w walce na śmierć i życie. Przeciwstawianie jej dni z muzyką i mnogością wydać się może słabe, ale nie raz już okazywało się, że słabość ma niespodziewanie wielką moc.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

K. GRABOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Małgorzata Kożuchowska w serialu „Aniela", reż. Jakub Piątek, Kuba Czekaj, 2025 r.

Aniela idzie w lud

JAKUB MAJMUREK

POLSKI SERIAL | Małgorzata Kożuchowska w „Anieli" przypomina o swoim niezwykłym aktorskim potencjale. Cały serial opiera się na jej roli. Bez niej by go nie było.

Alfred Hitchcock mawiał, że film powinien zaczynać się od trzęsienia ziemi, a potem napięcie powinno stopniowo rosnąć. Aniela, tytułowa bohaterka nowego serialu na podstawie scenariusza Pawła Demirskiego (Netflix), przeżywa na początku swojej historii coś znacznie bardziej dramatycznego niż trzęsienie ziemi: spod nóg usuwa się jej społeczny, bytowy, klasowy grunt. Mąż, zamożny prawnik, zapewniający jej życie wśród elity, zostawia Anielę dla swojej dawnej szkolnej miłości. Gdy porzucona żona dowiaduje się o decyzji małżonka, rani go nożem. Choć nie trafia za to do więzienia, w wyniku rozwodu zostaje bez grosza przy duszy, z luksusowej hipernowoczesnej rezydencji trafia do kawalerki w blokowisku i do pracy w liceum gastronomicznym.

Po drugiej stronie Wisły

Dla kobiety przywykłej do stołecznego luksusu, restauracji z gwiazdkami Michelina i sportowego samochodu świat po drugiej stronie Wisły, w tej gorszej Warszawie, na Pradze, jest równie niesamowity, jak ten, który Alicja spotkała po drugiej stronie lustra w powieści Lewisa Carrolla.

Zaludniające ten świat postaci – Czeczenka w chuście sprzątająca domy bogaczy na lewym brzegu rzeki, gangsterzy i osiedlowe Sebixy, młodzi mężczyźni w sportowej odzieży aspirujący do gangsterskiego świata, ich twarde siostry walczące o szacunek na dzielni, lokalna bohaterka, której udało się wyrwać z biedy nagrywając hip-hop, zabiedzeni pracownicy budżetówki – są dla Anieli (w tej roli Małgorzata Kożuchowska), przynajmniej na początku, jak członkowie egzotycznego plemienia. Wydają się równie odlegli i obcy jak przedstawiciele rdzennych ludów Syberii mogli wydawać się polskim zesłańcom trafiającym z mazowieckiego dworku w głąb azjatyckiej części Rosji po powstaniu styczniowym.

„Aniela" jest chyba pierwszym polskim serialem, który w centrum narracji, jako swój główny problem, tak wyraźnie stawia klasę społeczną, narastające dziś w Polsce wokół klasowych i statusowych różnic fantazje i emocje: nieufność, zazdrość, pogardę, resentyment. Nie jest to nowy temat w twórczości Pawła Demirskiego, pojawiał się w jego najbardziej znanych sztukach. W serialu wraca on w innym medium, zachowując swoją dawną drapieżność, społeczny i językowy słuch, stanowiące zawsze największą siłę Demirskiego jako dramaturga.

W „Anieli" otrzymujemy wykrzywiony, miejscami bardzo inteligentnie złośliwy obraz elity, która zakumulowała już na tyle dużo kapitału finansowego, że może zatroszczyć się także o ten kulturowy. Aniela, zanim trafiła na prawy brzeg Wisły, próbowała przy pomocy pieniędzy męża budować kolejne kulturalne inicjatywy, od księgarni po galerię sztuki współczesnej.

Akcja serialu zawiązuje się na organizowanym przez bohaterkę wernisażu, gdzie artystka objaśnia bogatym znajomym Anieli znaczenie swojej pracy: instalacji zrobionej z tabletek, które musiała brać w związku ze swoimi różnymi kryzysami zdrowia psychicznego. Elita z „Anieli" doskonale zdaje sobie sprawę z jego znaczenia, zinternalizowała język terapeutyczny, podobnie jak ten związany ze społecznym równouprawnieniem kobiet, prawami mniejszości, prawami zwierząt czy ekologią. Córka Anieli nie chce wracać samolotem z wypadu na narty w Alpy, bo troszczy się o ślad węglowy, matka przekonuje ją, że może polecieć, bo przecież jej narty zostały wyprodukowane w niskoemisyjny sposób.

Demirski pokazuje w kilku świetnie napisanych scenach, jak podobne,

teoretycznie progresywne i emancypacyjne języki stają się dziś w Polsce narzędziem społecznej dystynkcji, sygnalizowania statusu, dyscyplinowania tych na dole. Elita bardzo sprytnie potrafi też zawłaszczać język i kulturę klasy ludowej, współczesnej ulicy, taką jak hip-hop. Wspólnik męża Anieli, prawnik aktywny na polu deweloperki, Marecki, ma syna robiącego karierę jako gwiazda rapu o pseudonimie Banan – nietrudno zgadnąć, do kogo Demirski robi tu aluzje.

„Aniela" z tymi tematami idealnie trafia w swój czas. Wszystkie emocje wokół klasy i statusu, jakie przedstawia serial, wybrzmiały przecież w trakcie ostatniej kampanii prezydenckiej, zwłaszcza w drugiej turze. Obie kampanie starały się zmienić konkurenta w klasową karykaturę: z jednej strony nieznającego prawdziwej Polski „bążura" z warszawki, z drugiej dresa i gangusa z półświatka; z jednej strony kandydata z Piwnicy pod Baranami i seminarium profesora Geremka, z drugiej z blokowisk i kibolskich ustawek.

„Aniela" wolna jest od bezpośrednich politycznych aluzji, ale widz oglądający serial chwilę po pełnej emocji kampanii zrozumie bez problemu, że bohaterka przenosi się ze świata społecznie bliskiego prezydentowi Warszawy do tego, z którego wyrwał się Nawrocki. Emocje bohaterów tej „gorszej" strony Wisły, jakie pokazuje serial – gniew, aspiracje, by należeć do „lepszego" świata, poczucie, że mimo sukcesu i pieniędzy nigdy nie uda się zostawić za sobą pochodzenia naznaczonego piętnem „niższości" – są też częścią złożonej odpowiedzi na pytanie o to, „co się właściwie stało w Polsce 1 czerwca?".

Tekst udanie ożył

To, co napisał Demirski, trafiło w ręce dwóch reżyserów: Jakuba Piątka i Kuby Czekaja. Piątek całkiem udanie zadebiutował w pełnym metrażu filmem „Prime Time" (2021) – przedstawiającym młodego człowieka, który w sylwestra 1999 r. dokonuje wtargnięcia do telewizyjnego studia z bronią w ręku, bierze prezenterkę jako zakładniczkę i żąda wejścia na wizję w czasie największej oglądalności. Piątek stworzył tam kameralne, rozgrywające się w jednej przestrzeni, rozpisane na kilka aktorów widowisko, łączące thriller z dramatem psychologicznym, a oba te gatunki z rozliczeniami lat 90. i transformacji.

Piątek nakręcił pierwsze cztery odcinki „Anieli" i w dużej mierze ustawił estetycznie serial – znacznie mniej widać w nim odrealniony, oniryczny styl kina Czekaja – wykorzystując podobne chwyty, jakie doskonale zagrały w jego kinowym debiucie. Piątek ma wielką umiejętność uruchamiania aktorów, wydobywania z nich maksimum możliwości. „Aniela" przypomina nam – o czym oglądając rodzimą serialową produkcję czasem można zapomnieć – jak świetnych mamy w Polsce aktorów i co mogą zrobić, jeśli pozwoli się im pracować na dobrym materiale z niebojącym się odważnych posunięć reżyserem. To dzięki nim tekst Demirskiego ożywa i oddycha na ekranie.

Największym zaskoczeniem jest Małgorzata Kożuchowska w tytułowej roli. Aktorka latami sklejona z rolą Hanki Mostowiak, potem marnująca się w produkcjach Patryka Vegi i Michała Węgrzyna – na czele z rolą żony tytułowego bohatera w „Gierku" – przypomina tu o swoim niezwykłym aktorskim potencjale. Cały serial opiera się na jej roli, to wokół niej skupia się narracja, Aniela wielokrotnie przełamuje „czwartą ścianę", zwraca się bezpośrednio do widza i kamery. Gdyby Kożuchowska nie poradziła sobie z zadaniem, gdyby nie stworzyła na ekranie bohaterki zdolnej od pierwszej do ostatniej minuty przykuć uwagi widowni, to nie byłoby serialu.

Nieprzekonująca nadzieja

A jednocześnie zabrakło kilku elementów, które pozwoliłyby uznać „Anielę" za dzieło spełnione, kompletne. Demirski ma świetny słuch, umiejętność konstruowania dialogów, postaci i scen, ale gorzej radzi sobie z konstrukcją fabularną całego sezonu. Całość jest przesadnie rozciągnięta – historia zyskałaby, gdybyśmy przyspieszyli tempo i zamiast ośmiu odcinków dostali sześć. Dwa przedostatnie niewiele wnoszą fabularnie i w bardzo męczący sposób prowadzą do bardziej dynamicznego finału.

Wraca też ten sam problem, jaki pojawia się w sztukach Demirskiego – jak przekonująco pokazać wyjście z klasowego konfliktu, budowanie nieoczywistych sojuszy przekraczających podziały podsycane w interesie tych, którzy realnie posiadają władzę? W sztuce „Tęczowa trybuna" mieliśmy pytanie o to, czy możliwe jest przekroczenie podziału między środowiskiem kibiców i społecznością LGBT+ – grupami na początku poprzedniej dekady, jak postrzegał to autor, demonizowanymi przez władzę z różnych powodów. W serialu „Artyści" – wizję sojuszu kibiców i wspólnoty teatralnej przeciw neoliberalnym władzom miejskim.

W „Anieli" tytułowa bohaterka ostatecznie wybiera prawą stronę Wisły, lojalność wobec nowej społeczności, dla dobra której postanawia wykorzystać swoje umiejętności, kontakty, kapitał kulturowy. Przedstawicielka warszawki z obsesją na punkcie statusu zmienia się więc ostatecznie w polską inteligentkę idącą w lud, jak z „Rodowodów niepokornych" albo prozy Żeromskiego.

Ta wizja jest sympatyczna, podnosząca na duchu. W ostatnim odcinku, dopełniającym przemianę bohaterki, nie brakuje wzruszających scen. Ale jednocześnie to rozwiązanie konfliktu, jakie przedstawia „Aniela", pozostawia sceptycznym, nie jest w stanie nas zaangażować, podobnie jak wcześniejsza złośliwa satyra na elity wydaje się po prostu naiwne.

W Polsce nie tylko w polityce bardzo trudno nam dziś – niezależnie, po której stronie sporu się znajdujemy – uwierzyć w jakieś pozytywne zakończenie, trudno przedstawić je nawet przekonująco w sztuce. „Aniela" przy wszystkich swoich zaletach nie przełamuje niestety tego impasu. ©

POŻEGNANIE

Naszemu koledze

Markowi Bednarzowi

składamy wyrazy serdecznego współczucia w związku ze śmiercią

Dziadka

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"
i Fundacji Tygodnika Powszechnego

▪ *Van Morrison*, **REMEMBERING NOW**, *Exile/Virgin 2025*

Ależ tak, oczywiście: wszystko, co najważniejsze, nagrał 50 lat temu i dawniej, nie tylko w czasach albumów „Astral Weeks" czy „Moondance", bo „Glorii", zaśpiewanej jeszcze z zespołem Them, stuknął szósty krzyżyk. Za dwa miesiące skończy 80 lat, „sir" przed nazwiskiem nosi od dekady, słowem: nic już nie musi, a przecież nagrywa i koncertuje regularnie. Po co? Ano choćby dla przyjemności – własnej i fanów. Albo po to, by powspominać. Ostatnia płyta Vana Morrisona w warstwie tekstowej odniesień do przeszłości przynosi co niemiara, ale jest w tym poczucie, że nie otwieramy zakurzonej skrzyni na strychu. W tytule „Remembering Now" zwraca uwagę słowo „teraz" – jakby historie, które opowiada Van Morrison, wydarzały się dziś, a nie przed kilkudziesięcioma laty. Zestawiany czasem z Bobem Dylanem (choć sam składa hołd Rayowi Charlesowi – wprost i w warstwie muzycznej, bo dużo tu elektrycznego fortepianu i organów Hammonda), artysta nie stracił głosu, a na saksofonie frazuje jak chłopak z ulicy północnoirlandzkiego miasta. Jego nowe utwory straciły szczęśliwie paranoiczny wymiar okresu covidowego, kiedy nagrywał protest songi pełne spiskowych teorii. Na najlepszej od lat autorskiej płycie, oprócz „now", wybrzmiewa jeszcze „equilibrium" – równowaga między (jak głosi tytuł jednej z piosenek) „Memories and Visions". Równowaga zaiste mistrzowska. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

▪ *Anna Poszepczyńska*, **MÓJ DALEKI BLISKI**, *Timof Comics*

Zawodowe bolączki Mai przypadają dziś w udziale rzeszy młodych dorosłych, stających przed najnowszymi wyzwaniami współczesności. 25-latka z komiksu Anny Poszepczyńskiej pracuje w agencji reklamowej wyrwanej wprost z memów – całe dnie poświęca na retuszowaniu zdjęć komicznie ponętnych modelek i modeli. Jej szef jest przekonany, że seks zawsze się sprzeda. Dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę, ale trudno jej z tym empatyzować, ponieważ jest osobą aseksualną. W „Moim Dalekim Bliskim" Poszepczyńska przybliża codzienność „asów", akcentując niuanse, które często umykają w dyskusji o „czwartej orientacji". Bycie aseksualnym nie wyklucza potrzeby bliskości. Mai zawieranie nowych znajomości od zawsze przychodziło z trudem. Gdy pewnego dnia na forum miłośników fizyki poznaje Aichiego, podobnego jej chłopaka z drugiego końca świata, życie dziewczyny nabiera rumieńców. Znaczną część „Mojego Dalekiego Bliskiego" stanowi klasyczny, utrzymany w webkomiksowej estetyce romans, tematyzujący trudy związków na odległość. Ożywczy jest tu punkt widzenia osoby aseksualnej oraz poruszający zwrot akcji, który każe czytać komiks Poszepczyńskiej nie tyle jako modelowy przykład literatury new adult, ile komentarz na temat wpływu technologii (w tym AI) na relacje międzyludzkie oraz bliskości, której nie da się zapisać w systemie binarnym.
© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE

▪ **WOJNA**, *reż. Alex Garland, Ray Mendoza, Prime Video*

Alex Garland konsekwentnie trzyma się swojej zasady: jeśli robić filmy, to takie, które polaryzują widownię. Tym razem brytyjski twórca połączył siły z weteranem Rayem Mendozą, żeby stworzyć tak kameralną opowieść, jak to tylko możliwe. W praktyce znaczy to, że przez większość filmu nie ruszamy się z pewnego ciasnego domu i z bliska obserwujemy osaczenie amerykańskich żołnierzy. Nad skrupulatnością rekonstrukcji czuwał Mendoza, który brał udział w misji w Iraku i chciał jak najwierniej odwzorować swoje doświadczenie z plutonu Navy SEALs. Ma to swoje pozytywne i negatywne konsekwencje. Z jednej strony dostajemy niezwykle sugestywny, naturalistyczny i krytyczny wgląd w piekło wojny. Z drugiej – przez większość czasu skupiamy się na perspektywie najeźdźcy. Co prawda duet reżyserski delikatnie przypomina o racjach strony atakowanej (najbardziej dotknęła mnie scena, w której amerykańscy żołnierze znikają z kadru), ale trzeba nieco dobrej woli, żeby wyłuskać te niuanse z efektownego spektaklu audiowizualnego. Bo jeśli chodzi o środki artystyczne, Garland znów potwierdza swoją klasę. To autorskie kino wojenne, w którym groza zapisana jest w precyzyjnych drgnięciach kamery i czujnie rejestrowanej kakofonii walk. Oglądać koniecznie – pod warunkiem, że krytycznie. © IGOR KIERKOSZ

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

WEEKEND Z SENSEM

Eseje, reportaże i analizy, które uczynią Twoje wolne dni spokojniejszymi, ciekawszymi i pełnymi dobrych myśli.

Prowadzi **PIOTR MUCHARSKI**

dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/newsletter

MARCIN WOLNY / CONRAD FESTIVAL / FTP

17. NADZIEJA RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 — 26.X.2025
KRAKÓW

Baśń przenicowana

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Emilie Blichfeldt stworzyła mocno przegiętą baśń dla widzów dorosłych. Najbardziej pożyteczna mogłaby się okazać dla dorastających dziewczynek, które dzisiaj o wiele łatwiej identyfikują się z brzydką córką macochy aniżeli z królową balu.

Dawno, dawno temu żyła sobie śliczna królewna/sierotka/dziewczynka..." – z taką postacią od razu łatwo się zidentyfikować. Zwłaszcza że w tak rozpoczynających się historiach to, co brzydkie na zewnątrz, bywa zazwyczaj szpetne i w środku. Baśnie, czyli uszlachetnione przekazy ludowe, przyzwyczaiły nas do tego rodzaju powierzchownych utożsamień, dlatego nawet bestia musi na koniec przemienić się w pięknego królewicza, a brzydkie kaczątko w łabędzia. Obraz złej czarownicy zaś – jako starszej, karykaturalnie zohydzonej kobiety – zrobił wiele dla utrwalenia stereotypów związanych równocześnie z wiekiem i płcią. To jednak nic w porównaniu z wtłaczanymi nam do głów od wczesnego dzieciństwa wizerunkami najurodziwszych królewien, przejętymi przez popkulturę, przemysł zabawkarski i oczywiście przez branżę urodową.

A wszystko zaczęło się od baśni. Amerykański psychoanalityk Bruno Bettelheim nazywał ją elementarzem, z którego dziecko uczy się czytać we własnym umyśle. Dziś coraz częściej dostrzega się w tych tekstach nie tylko to, co „cudowne i pożyteczne", pomagające w przepracowaniu treści głęboko nieświadomych, lecz także ukryte w nich przekazy toksyczne. I nie chodzi o dosłowne okrucieństwo tak charakterystyczne dla opowieści braci Grimm. Film „Brzydka siostra" bierze na warsztat jedną z najstarszych (jej wątki sięgają co najmniej starożytnych Chin), czyli „Kopciuszka", ażeby wywrócić na nice zawarte w niej przesłanie i przede wszystkim główny motyw, jakim jest siostrzana rywalizacja. Młoda reżyserka Emilie Blichfeldt stworzyła tu mocno przegiętą baśń dla widzów dorosłych, choć pewnie najbardziej pożyteczna mogłaby się okazać dla dorastających dziewczynek, które dzisiaj, na ogół po cichu, o wiele łatwiej identyfikują się z brzydką córką macochy aniżeli z królową balu.

Dlatego główną bohaterką filmu nie jest urodziwa Agnes (Thea Sofie Loch Naess), po śmierci ojca zdegradowana do rangi domowego popychadła, lecz jej przyrodnia siostra Elwira (w tej roli świetna Lea Myren) – z aparatem na zębach i mało twarzową fryzurą, niemieszcząca się w wytwornych sukniach. Za to wykarmiona romantycznymi mrzonkami o księciu, podsycanymi przez matkę (Ane Dahl Torp), której marzy się społeczno-ekonomiczny awans. W tym celu posyła pierworodną do szkoły tańca i dziewczęcej etykiety, pod okiem surowej madame Wandy (gra ją Katarzyna Herman). Ale w scenerię wyobrażonego królestwa i umownego wieku XIX reżyserka wpuszcza znienacka ostry naturalizm. Widzimy, jak gnije ciało zmarłego ojca Agnes, ponieważ zła macocha zwleka z pochówkiem; jak opłacony przez nią sadystyczny konował poprawia, prawie bez znieczulenia, niestandardową urodę Elwiry, a połknięte przez nią jajo tasiemca robi z tej baśni burczącą parodię body horroru. Wszystko, co tak skrupulatnie w warstwie obyczajowo-fizjologicznej ocenzurowali Grimmowie i Charles Perrault (to z jego koncepcji „brzydkich sióstr" czerpał scenariusz), nie mówiąc o dawnym Disneyu, Blichfeldt pokazuje w maksymalnym zbliżeniu, podobnie jak ognisty romans pięknej Agnes ze stajennym. Efekty bywają zgoła pornograficzne bądź po prostu obrzydliwe, lecz sporo przy tym prowokacyjnej zabawy. Nie tyle w duchu nowych kreskówek przepisujących klasyczne baśnie pod dyktando kultury *woke*, co raczej na modłę „Substancji" Coralie Fargeat, ironicznej i brawurowej przeróbki „Królewny Śnieżki".

Nie przypadkiem w gronie filmowych idoli reżyserki znajdują się David Cronenberg, David Lynch i Walerian Borowczyk, na różne sposoby badający mroki ludzkiej seksualności i dominującej kultury. A pośród idolek są Claire Denis, Agnès Varda, Lynne Ramsay czy Catherine Breillat – twórczynie, których kino tak bardzo jest z ciała i o ciele, zwłaszcza tym kobiecym. „Brzydka siostra" opowiada więc o jego tresurze w imię niedościgłego ideału i o morderczej konkurencji ciał, kalając baśniowy kostium rubasznym humorem, elektronicznym brzmieniem

MATERIAŁY PRASOWE BEST FILM

BRZYDKA SIOSTRA
(Den stygge stesøsteren) – reż. Emilie Blichfeldt. Prod. Norwegia/Polska/ /Dania/Rumunia/ /Szwecja 2025. Dystryb. Best Film. W kinach od 4 lipca.

Emilie Blichfeldt jest norweską reżyserką i scenarzystką. W tym roku na festiwalu Sundance zadebiutowała filmem „Brzydka siostra", który znalazł się również w konkursie Mastercard Off Camera. Współprodukowała go polska firma Lava Films, a zdjęcia powstawały m.in. w opactwie cystersów w Lubiążu i na zamku w Gołuchowie, ze znaczącym udziałem polskiej ekipy i obsady.

Na zdjęciu: Ane Dahl Torp i Lea Myren w filmie „Brzydka siostra"

w stylu lat 80. i ludzkimi wydzielinami. Nie to jest jednak wywrotowe. Blichfeldt eksperymentuje z „Kopciuszkiem" nieoczekiwanie stawiając na młodszą z „brzydkich sióstr", Almę (Flo Fagerli), dopiero wkraczającą w kobiecość. Sam zaś Kopciuszek okazuje się postacią mocno kontrowersyjną – i wcale nie dlatego, że wyłamuje się ze stereotypu moralnej i seksualnej niewinności, przez wieki przypisywanej tej postaci.

Wspomniany Bettelheim poszukiwał w baśni o cnotliwej pasierbicy wiadomych figur freudowskich: fantazji edypalnych, lęków kastracyjnych, postaci dobrej i złej matki, które mają do spełnienia ważną funkcję w indywidualnym rozwoju. Prawie pół wieku od wydania jego pracy „Cudowne i pożyteczne" Emilie Blichfeldt odziera starą baśń z tabu czy *decorum*. Szaleńcza zazdrość Elwiry i marzenia o księciu nie skończą się na samookaleczeniu, a zwycięstwo Agnes nad „brzydkimi siostrami" nie będzie triumfem dziewczęcej cnoty. Słowem: Kopciuszek niewiele ma już wspólnego z czystym pięknem. Na dodatek książę Julian (Isac Calmroth) bardziej przypomina zepsutego bananowego dzieciaka niż uosobienie dziewczęcych marzeń. I pozostaje postacią mocno epizodyczną na tle zapasów kobiecych, w których przez wieki był upragnionym trofeum lub żelaznym punktem odniesienia.

Aktorka Lea Myren swoją fizycznością poddawaną nieustannej przemianie opowiada historię dość oczywistą w czasach upiększających substancji, cudownych skalpeli i nadużywania ozempicu. Nie ma w „Brzydkiej siostrze" tej dwuznaczności, jaką miał na przykład pokazywany niedawno na Krakowskim Festiwalu Filmowym dokument „A niech tę zmarszczkę szlag trafi!". Libański artysta wizualny Omar Mismar sfilmował salon piękności w poranionym wojnami Bejrucie, gdzie poddawanie się botoksowym torturom niekoniecznie podszyte jest próżnością; często bywa reakcją na różnego rodzaju zranienia. Norweska reżyserka w swojej antybaśni uprawia dużo bardziej bezpardonową krytykę społeczną, ale nawet kiedy epatuje wyciskaniem wągrów, jednocześnie jakoś empatyzuje ze swoją bohaterką, którą rzekoma przegrana na loterii genowej i bezlitosny system wartościowania popchnęły ku dzikiej desperacji. To właśnie ustawiana w ostatnim rzędzie, mało reprezentacyjna i wiecznie poniżana Elwira robi zbiorową psychoanalizę naszym czasom. ©

Lektor:
Hymn na cześć Wyspy

▪ *Szymon Drobniak*
GĘSI ODPOCZYWAJĄ NA GOTLANDII
Fotografie Magdalena Wutkowska. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, ss. 280.

Z RADOŚCIĄ OBSERWUJĘ, JAK PIĘKNIE ROZWIJA SIĘ U NAS ten szczególny gatunek literatury, którego podstawą jest uważna i podbudowana solidną wiedzą obserwacja natury i jej relacji z człowiekiem. Że do tego potrzebny także talent literacki, dodawać nie trzeba. Mistrzami gatunku są dla mnie Stanisław Łubieński i Michał Książek (wielorakie zasługi publicystyki Adama Wajraka to jeszcze inna historia).

Szymon Drobniak, rocznik 1984, znany z działu naukowego „Tygodnika" biolog i ornitolog, wydał książkę, która nie jest ani pracą popularnonaukową, ani przewodnikiem – choć każdemu, kto wybierałby się na największą szwedzką wyspę, ją polecam. To raczej wyznanie miłosne do Gotlandii, która dla autora stała się drugim domem, choć najpierw była tylko terenem badań nad populacją muchołówek... Smakowity przekładaniec, na który składają się zarówno dzieje wyspy (od geologicznych prapoczątków), jak i jej przyroda, fauna i flora (piękny opis budzenia się lasu i jego szybkich przemian kolorystycznych). Zabytki (blisko setka średniowiecznych kościołów parafialnych!), obyczaje mieszkańców z uwzględnieniem kuchni, obrazki z życia ptasiarzy i poszukiwaczy storczyków. Także – powikłana i nieznana u nas historia grupy Szwedów, którzy szukali szczęścia w carskiej Rosji, a ich potomkowie trafili na Gotlandię. No i Fårö, wyspa Ingmara Bergmana, oddzielona od Gotlandii tylko cieśniną – niesamowite, ostre światło Fårö odnajduje autor w filmach wielkiego reżysera.

Wyznanie miłosne – ale bez idealizacji. Drobniak wspomina też o ciemnych stronach gotlandzkiej historii, o konflikcie między kupcami z Visby a rolnikami z głębi wyspy, i rzezi, której ślady odnaleźli archeolodzy, a także o zagrożeniach, jakie niesie masowa turystyka, i lęku przed wojną, który obudziły na nowo choćby rosyjskie działania na Bałtyku. Miłość to jednak miłość. „Wiem – pisze autor pod koniec książki – że historia Gotlandii to odpieranie ataków z daleka i z bliska, poskramianie i zarazem pielęgnowanie swojej obcości i odmienności. (...) Nic jednak nie poradzę, że w ten październikowy dzień trudno jest mi uwierzyć w jakąkolwiek złą myśl wymierzoną w wyspę. Przypłynąwszy tu, przekroczyłem niewyczuwalny horyzont zdarzeń – patrzę teraz na niego od środka. Ja i Wyspa zniknęliśmy z zewnętrznego świata". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Na bogato

Weź duży płat sztokfisza ze skórą i mocz go dwa lub trzy dni, co najmniej raz na dzień wymieniając wodę. Będzie go coraz bardziej czuć w domu, ale to jeszcze nic. Odwagi. Przecież to legendarny powiew z dalekiej rybackiej wioski w Norwegii. Kiedy już zacznie być na tyle miękki, żeby dało się go wygodnie kroić i wyginać, potnij ostrożnie na plastry szerokości dwóch palców. Jednocześnie na dużej patelni rozgrzej na oliwie drobno siekaną cebulę, na to rzuć kilka opłukanych z soli sardeli, rozgnieć drewnianą łyżką i duś tak długo, aż się wszystko rozpadnie. Śmierdzi coraz bardziej? Śmiało, jesteśmy już blisko brzegu, z dalekich fiordów wpływamy na zielonkawą wenecką lagunę, w świetle zachodu widać setkę krzywych dzwonnic, tkwią jak szpilki powsadzane przez szalonego krawca w różowoszarą materię odbitego od wody marmuru. Kawałki sztokfisza posmaruj odrobiną papki z sardeli, złóż na pół. Na dno patelni wylej resztę tejże papki, potem ułóż sztokfisza na sztorc ciasno obok siebie (patelnia nie może być więc za duża), oprósz mąką, zalej mlekiem, żeby prawie przykryło, dopełnij oliwą, ale szczodrze, wstaw na maleńki ogień i przykryj, zostawiając szparkę dla ulatującej pary. Wyjdź na spacer albo do sąsiadów, bo teraz zacznie naprawdę srogo śmierdzieć. Po pięciu godzinach będziesz mógł ostrożnie powyjmować na talerze kawałki ryby, oprószyć solidnie siekaną natką i podać lśniące od tłuszczu. Może ktoś z gości się odważy.

No cóż, ukłony pełne nie całkiem szczerego szacunku wobec lokalnej tradycji i „ducha miejsca" nie powinny być bezbolesne. Zwłaszcza gdy ten *genius loci*, jak w przypadku Wenecji, to podejrzany typ w kaftanie cuchnącym, jakby chodził kraść resztki na targu rybnym, po kieszeniach ma pełno cebuli i czosnku, a u pasa dynda mu bańka z oliwą, w której gotów jest usmażyć wszystko, co mu wpadnie w ręce. Tylko dla kogoś urodzonego tam lub w pobliskich miastach i karmionego od dziecka opisanym wyżej *baccala' alla vicentina* jest to wyjątkowe w swojej złożoności i wytęsknione danie świąteczne. Inni, np. goście hucznego trzydniowego wesela, jakie Jeff Bezos wyprawił w Wenecji, musieli się nacierpieć, zwłaszcza że reszta jadłospisu finałowego bankietu też była „lokalna". A więc jeszcze więcej ryb, duszone mątwy i smażona w cebuli wątróbka. Nie bardzo to dobre na upał.

GRAŻYNA MAKARA

GUGLIELMO MANGIAPANE / REUTERS / FORUM

Obszerne wnętrza Arsenału, czyli niegdysiejszej stoczni wojennej zapewniającej dawnej Republice narzędzia panowania, podboju i grabieży, gdzie ulokowano bal z uwagi na ochronę przed gapiami, chłodziła klimatyzacja, ale najcieplejsza pora roku i tak działa na człowieka. Co zresztą uwzględniał bieliźniano-piżamowy *dress code* imprezy. W jaki sposób sukienka warta tyle, co wszystkie wasze stroje od kołyski po grób, może udawać piżamę, to sobie sami oceńcie. Ja się nie znam na strojach, gapię się w talerz. Dlatego powiem tylko, że poprzedniego dnia, podczas obrzędu zaślubin, stroje były co prawda formalne, ale za to wydana potem uczta z fajerwerkami była znacznie bardziej stosowna do klimatu, ściągnięto bowiem spod Wezuwiusza modnego *pizzaiolo* (ale takiego, który, pomimo sławy, szanuje prawidła placka z sosem) oraz trzygwiazdkowego kucharza z Sorrento, który podał m.in. lekkie *spaghetti alla Nerano*, czym zajmiemy się za chwilę. Tort – no cóż, status zobowiązuje, więc Bezos i Sanchez nie mogli zamówić czegoś smacznego, musiała to być wielometrowa konstrukcja od paryskiego kreatora tortowego Bastiena Blanc-Tailleura, który sam mówi o sobie, że tworzy „jadalną *haute-couture*". Jadalną, hmm, cukrowo-białkowy stiuk na pewno nie jest trujący i może na tym poprzestańmy. Też jako trzylatek lubiłem lizać lukier.

Było tak podobno, bo wszystko to wiemy tylko z przecieków albo podglądactwa. Fakt, że wielcy tego świata każdą swoją czynność czują się zmuszeni przepuścić przez szkło

Jeff Bezos z żoną Lauren Sanchez Bezos podczas trzeciego dnia uroczystości weselnych. Wenecja, 28 czerwca 2025 r.

powiększające pychy, to rzecz absolutnie nienowa, wręcz oczywista. Życie na pokaz i z naddatkiem pozostawiło nam do podziwiania niejeden wielki pałac i rozliczne piękne artefakty. A niejednemu wielkiemu artyście zapewniło godziwy zarobek. Wenecja, podobnie jak każde inne ważne miasto, widziała nie takie orszaki, parady, bale i wiwaty. Otwarta ze zdumienia gęba gawiedzi była jednym z warunków koniecznych dla podtrzymania statusu. Plebsu potem na pokoje się nie zapraszało, ale mógł się naoglądać do syta, a i też potem podjeść. Jadłospisy takich królewskich i książęcych uczt przewidywały ilość jedzenia kilkakrotnie przekraczającą możliwości nawet największego żarłoka.

Kiedy się weźmie jedną z modelowych i najbardziej drobiazgowych relacji z wielkiej renesansowej uczty – sporządzony przez Cristofora Messisbugo opis wesela księcia Ercole d'Este w Ferrarze z 1529 r., a był to ród znaczący, jakich mało, pan młody żenił się z córką króla Francji – to faktycznie brzuch boli od lektury listy dań, ich obscenicznej obfitości i sutości. Lecz teatralny, a więc i społeczny aspekt imprezy zapewniał jakąś moralną przeciwwagę. Nasi dzisiejsi książęta urządzają sobie jednak teatr bez widzów, chcą, żebyśmy ich troszkę podglądali, ale z bardzo daleka. Wydać 30 milionów dolarów na wesele, na to ich stać, ale zafundować ludowi korowód na ulicach z tańcem, błaznami i tresowaną żyrafą, to już nie. Składamy więc do kupy z urywków obraz wiecznego świętowania i nie dziwota, że często nam się myli, czy ten na czele to pajac, czy też książę. I w sumie nie wiemy dokładnie, czego im mamy zazdrościć.

Spaghetti alla Nerano

Nie zazdrośćmy. Takie samo spaghetti alla Nerano możemy zrobić sobie w domu, bo akurat jest teraz pora na małe jędrne cukinie – muszą być takie o przekroju maksymalnie 1 cm.

SKŁADNIKI: 300 g spaghetti
750 g malutkiej cukinii
200 g sera Provolone (lub podobnego, np. kaszkawału) grubo startego
▪ oliwa ▪ bazylia ▪ sól ▪ pieprz ▪ czosnek

PIXELPULSE CREATIVE / ADOBE STOCK

Kroimy cukinie na cieniutkie talarki, w głębokiej patelni rozgrzewamy grubą warstwę oliwy, rozgrzewamy ją do 150 stopni, smażymy cukinię partiami – tak żeby nie obniżyć temperatury – aż się każdy talarek mocno ozłoci (ok. 5 minut). Zdejmujemy na talerz wyłożony ręcznikami papierowymi, solimy, doprawiamy bazylią. Przekładamy potem na dużą patelnię, na której podgrzaliśmy parę łyżek oliwy z ząbkiem czosnku, dolewamy kilka łyżek wrzątku ze skrobią z garnka, w którym zaczęliśmy równolegle gotować makaron. Trzeba go odcedzić bardzo wcześnie, po ok. 7 minutach. Przerzucamy go na patelnię, podlewamy chochelką wody z garnka, kończymy gotowanie w ten sposób, mieszając i ewentualnie dodając jeszcze trochę wody. Wyłączamy ogień, dodajemy połowę sera, bardzo intensywnie mieszamy, żeby powstał kremowy sos. Dodajemy resztę sera (jego druga część może być zastąpiona parmezanem). Na wydaniu ozdabiamy bazylią i oprószamy pieprzem. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

PSYCHE

KANAŁ ULGI

LECH DYBLIK, AKTOR:

Kiedy przygotowywałem się do grania na ulicy, wstydziłem się. Pod koniec pandemii pojechałem z gitarą do Krynicy. Tam żywego ducha nie było, sanatoria pozamykane. Czerpałem przyjemność z tego, że siedzę sam na ulicy i śpiewam.

ZDJĘCIA: GRAŻYNA MAKARA

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Ten dom w sercu Łemkowszczyzny to jest Pana miejsce na ziemi?

LECH DYBLIK: Jak w pandemii strażacy jeździli nyską i przez głośniki mówili, by nie wychodzić z domu, to wszyscy się z tego śmiali. Strefa istniejąca jakby poza państwem. Jasne, że działa policja i urząd gminy, ale rzadko kto tu zagląda.

To ważne, by nikt nie zaglądał?

Zdarza się, że sąsiedzi zachodzą. Traktują mnie jak swojego i kiedy się zapominają, to mówią do mnie po łemkowsku. Nie utrzymuję jednak kontaktów towarzyskich z koleżankami i kolegami z pracy. Choć ich lubię, jak nadarzy się okazja, to chwilę razem posiedzimy i pogadamy. Ale do nikogo nie dzwonię, zapisanych numerów telefonów mam zaledwie kilka. Telewizora nie posiadam, na festiwale nie jeżdżę, na premiery nie chodzę, tylko czasami w umowie jest zapis, że coś muszę zrobić, więc jak to egzekwują, to się pojawiam, gdzie trzeba. Tyle że rzadko.

Dlaczego tak?

Mniej napięć, a więcej spokoju? Jestem człowiekiem do wynajęcia, ale sam decyduję, co będę robił i z kim pracował. Żyję na moich zasadach.

A sam ten dom?

Przypadkowo trafiłem na ruinę z zapadniętym dachem i niemal nieprzejezdną drogą. Nikt nie chciał kupić. Kiedy zobaczyłem ten widok, powiedziałem do żony: to jest to.

Widzę wzgórza i lasy.

W dole, w kotlinie położona jest wieś z ograniczonym horyzontem. Wyjeżdża się na górę i raptem takie coś! Najpierw bywałem tu co wakacje, z czasem – coraz częściej. Wszystko nabrało dodatkowego sensu, kiedy moje dzieci zamieszkały w tym domu. A niektórzy koledzy stawiają sobie pomnik życia: budują dom z basenem w środku, a potem okazuje się, że nie ma tam kto mieszkać.

Co Pan robi, jak tu już jest?

Pierwsze trzy dni nie robię nic.

Jak to się robi?

Herbatę się pije, szwenda się...

Wycieczki?

Eeee, nie. Wycieczki? Jak tu się mieszka, to się nie chodzi na wycieczki. Na czwarty dzień, jak już coś mam do zrobienia, zaczynam się zastanawiać.

Nad czym?

Choćby nad piosenkami, płytami. Myśleniu sprzyjają też podróże samochodem, sporo po Polsce jeżdżę z moimi recitalami. Za kierownicą mam spokój, czas dla siebie. Sam występ trwa półtorej godziny, ale w robocie jestem dłużej.

Bo?

Stosuję technikę, w której chodzi o to, żeby cały czas być uprzejmym. Naoglądałem się dość moich kolegów, którzy odmawiają dawania autografów. Jak mnie ktoś pyta: „Panie Lechu, czy można zrobić z panem zdjęcie?", to szczerze mówię: „To ja błagam".

Szczerze?

Szczerze, bo już umiem traktować ludzi przypadkowo spotkanych jak dobrych znajomych.

Kiedy Pan się tego nauczył?

Stoi za mną alkoholizm. Jeżeli człowiek uczciwie odrabia tę lekcję, to w pewnym momencie sam nasunie mu się wniosek, że nie jest najważniejszy na

Lech Dyblik. Beskid Niski, 8 czerwca 2025 r.

świecie. Wtedy i rozum wraca. Nie tak od razu. Lecz z chwilą, kiedy zaczyna się żyć świadomie, pojawia się potrzeba posiadania kodeksu moralnego.

I?

Okazuje się, że powszechnie go nie ma. Jeżeli jakiś jest, to z jednym tylko punktem: „ja tak chcę". Czyli poziom dość przedszkolny. To też szerszy problem współczesności. Neguje się rolę Kościoła, Boga, religii, ale w zamian nie proponuje się niczego, za wyjątkiem tego właśnie przeświadczenia o byciu najważniejszym na świecie. To narcystyczne przekonanie oparte na tym, że jestem bohaterem swojego życia i nic innego się nie liczy.

Pan od tego jest wolny?

Dawniej myślałem, że jestem najprzystojniejszy, najzdolniejszy i najinteligentniejszy. Pogardzałem ludźmi, uważałem, że nie dorastają mi do pięt, że to żadni partnerzy. I raptem ci ludzie zaczęli wypełniać moje życie – przysłuchiwałem im się, przyglądałem, myślałem o nich. Odkrywałem, że są inni, a ja nie jestem pępkiem świata.

Jakie to uczucie?

Ulga. Już nic nie nikomu muszę udowadniać. Tyle, co mam, jest w porządku.

Życie bez oczekiwań?

Jestem aktorem. Marzeniem każdego z nas jest być najważniejszym na świecie. Niektórzy marzą o karierze ogólnopolskiej, ale ja marzyłem o ogólnoświatowej. By to osiągnąć, nie szedłem na żadne kompromisy. Ale nie dostawałem dużych ról, grałem jakieś ogony. Nie mogłem zrozumieć, czego świat o mnie nie wie. Skończyłem w Krakowie świetną Szkołę Teatralną, dostałem angaż w Teatrze Narodowym w Warszawie. Byłem szczęśliwy, że właśnie w tym teatrze będę pracował, lecz okazało się, że nie czułem się tam dobrze. Frustracja narastała. Pewnego dnia poszedłem do dyrektora, powiedziałem: „Weź mnie pan skreśl". On na to: „Panie Dyblik, pan żeś zwariował? Co pan będzie robił?".

No i z czego będzie Pan żył?

Z tym nie było problemów; mimo że nie mam tradycji rodzinnych, to dość dobrze radziłem sobie w biznesie podziemnym. Jeszcze za czasów studenckich zacząłem prowadzić wytwórnię sztucznej biżuterii. Koledzy, co mało zarabiali, pracowali dla mnie. A w latach 90. założyłem firmę odzieżową. Mieszkałem w Łodzi, więc siłą rzeczy... Ze szwagrem prowadziliśmy tę firmę 17 lat, szyliśmy ładne ciuchy w stylu lat 70., kupowały je bogate panie.

W pewnym momencie zorientowałem się, że choć próbowałem być aktorem, to skoro nie wyszło, żadnego dramatu nie ma... A wcześniej bałem się, że to będzie koniec świata.

Nie był?

↦

↦ Nie. Ale aktorstwo wróciło do mnie z czasem i na spokojnie. Tutaj epizod, tam epizod. Okazało się, że mogę utrzymać z tego rodzinę. A na dodatek mnie cieszy, bo już wiem, jak drugi plan jest wymagający.

Ambicje zostały zaspokojone?

Pojawiło się dużo innych ciekawych rzeczy, pozaaktorskich. Zacząłem spotykać się z ludźmi w więzieniach, grać im piosenki, rozmawiać. Przekrój społeczeństwa w więzieniu jest szeroki: od recydywistów, którzy nie wykonują nad sobą żadnej pracy, pobyt za kratami traktując jako element biznesu, po tych, którzy zmieniają się na lepsze. Kiedyś byłem w kryminale w Pińczowie. Kierownik penitencjarny powiedział, że to spotkanie jest wychowawczym eksperymentem. Że widownią będą dożywocia i ćwiartki, czyli 25 lat odsiadki, wyroki za zabójstwa. Na sali było kilkunastu mężczyzn, patrzyłem na inteligentne twarze, chyba dużo rozumiejące. Panowało pełne skupienie.

Jak to się skończyło?

Jeden z tych gości, bez ręki, spytał klawisza, czy może wręczyć mi prezent. Dał mi ikonę Chrystusa Pantokratora, tego, co tak świdruje oczyma. Sam ją napisał, tą jedną ręką. Cała reszta towarzystwa wstała. Była w tym powaga, żadnych braw, śmieszkowania. Wtedy rozpłakałem się. Dotarło do mnie, że muszę być ostrożny w osądzaniu ludzi, nawet jeśli to mordercy.

Więzienia kobiece?

Kiedyś w Krzywańcu podeszła do mnie więźniarka o babciowatym wyglądzie, z trwałą na głowie i mówi: „Mój mąż, którego zabiłam, dużo mi o panu opowiadał!". Okazało się, że był moim kolegą z podstawówki. I kolejna refleksja: za tymi pancerzami z ondulacji mogą się kryć historie o przemocy domowej, której żona nie była już w stanie znieść.

Co Pan tym ludziom mówi?

Że coś da się zrobić, nawet jak się jest w czarnej dupie. Rzecz jasna, pojawia się wtedy pytanie: jak?

Więc jak?

Mówię o swoim piciu i drodze do niepicia. W ogóle to chętnie wracam do kryminałów, gdzie są prowadzone terapie odwykowe, np. w Uhercach Mineralnych jest znakomity zespół terapeutów.

Co jeszcze Pan mówi?

O swoim powrocie do Kościoła, o wierze, które mi pomaga w życiu. Że szczęścia się nie szuka, że ono jest w nas, tylko trzeba to dostrzec i docenić. To kwestia ukrócenia niebotycznych oczekiwań. Byłem gościem, który miał poczucie, że jego życie jest pozbawione kompletnie sensu, pojawiały się myśli samobójcze. I raptem okazało się, że moje życie ma ogromny sens i każdy człowiek ma prawo dojść do tego wniosku.

Taki wniosek w więzieniu?

Miejsce jest bez znaczenia. Taka historia: grałem w filmie, którego zdjęcia były kręcone na Ukrainie. Mieszkaliśmy przy granicy białoruskiej, w domu noclegowym dla załóg konduktorskich. Kiedyś ci konduktorzy przywieźli z granicy gościa, który nie miał właściwego paszportu. A ponieważ w moim pokoju było wolne łóżko, więc mi go zakwaterowali. Wracam w nocy ze zdjęć, pani mówi, że tam ktoś śpi. Trochę się zdziwiłem, ale też rozumiem: był facet cofnięty z granicy, trzeba go było gdzieś położyć.

I co Pan zrobił?

Najpierw zrobiłem mu kawę. Trochę był młodszy ode mnie, siedzieliśmy i gadaliśmy o życiu. On jechał z Doniecka do Petersburga do pracy na budowie. Ja mu opowiadałem o tych szalonych latach 80., jakie wspaniałe interesy robiłem na biżuterii. I wyrwało mi się sformułowanie, że świetnie zarabiałem, ale tych pieniędzy to miałem za dużo. Ciężko na mnie spojrzał i powiedział, że nigdy nie jest za dużo pieniędzy. Dotarło do mnie...

Spory odsetek ludzkości pod tym poglądem się podpisze.

Ogromnym uzależnieniem, nie dość opisanym medycznie, jest uzależnienie od pieniędzy, które staje się przyczyną wielu nieszczęść. W kryminale wyroki odsiadują ludzie, którzy chcieli zdobyć pieniądze za wszelką cenę.

Ciekawi mnie to Pana granie na ulicy.

W Szkole Teatralnej miałem ledwie tróję z piosenki, co mnie bolało. Ponieważ widziałem siebie na estradzie, zacząłem uczyć się grać na gitarze. Grubo po trzydziestce, a nawet bliżej czterdziestki. Zacząłem się też uczyć języków. W tym rosyjskiego, bo jako polski patriota w szkole się go nie nauczyłem.

Dlaczego właśnie rosyjskiego?

Piękny język, za którym stoi wielka literatura. Mimo tego, że istnieją świetne przekłady, czytana w oryginale klasyka rosyjska to rewelacja. Odkryłem w ten sposób, jakim Dostojewski jest subtelnym narratorem, a jego język jest elegancki, kunsztowny.

To samo odkrył Pan w rosyjskich pieśniach?

To piękna, poruszająca poezja. Dużo w tym siedzi. Życia, człowieczeństwa. Kiedyś chłopak z dziewczyną stali ze 20 minut i słuchali, jak śpiewam. Chłopak coś tej pannie na ucho tłumaczył, a ona w pewnym momencie powiedziała: „Proszę pana, ani słowa nie rozumiem, ale oderwać się nie mogę".

Ale dlaczego śpiewa Pan na ulicy?

Dlatego, że to jest nielogiczne. Jak wszyscy chórem mówią, że coś jest nielogiczne, to ja się tam natychmiast pcham. Logikę zaraz w tym przecież znajdę. Mam naturę rebelianta.

To coś daje w showbiznesie?

Uświadomiłem sobie, że tam zawsze istnieje jakaś liga, liderzy i spadkowicze. Ci, którzy są niżej, pretendują do tego, by być na szczycie, a ci na szczycie pilnują, by nie spaść niżej. Szybko zrozumiałem, że też gram w lidze, ale jestem w niej sam, więc siłą rzeczy – na szczycie. No i nie mniej ważne: żadnej konkurencji.

Sprytnie.

Kiedy przygotowywałem się do grania na ulicy, wstydziłem się, choć wiedziałem, że nikt mnie nie usłyszy. Pod koniec pandemii pojechałem z gitarą do Krynicy. Tam żywego ducha nie było, sanatoria pozamykane. Czerpałem przyjemność z tego, że siedzę sam na ulicy i śpiewam. Wtedy zdarzyła się taka sytuacja: szedł facet, rozmawiał przez telefon. Minął mnie, wrócił za chwilę i rzucił do futerału 100 złotych. Pytam: „A co to jest?". On na to: „Bo ja z zespołu Wojtka Karolaka jestem. On przez telefon usłyszał, jak pan gra i po-

LECH DYBLIK (ur. 1956) jest aktorem i pieśniarzem. Zagrał drugoplanowe role w wielu filmach m.in. „Krollu" Pasikowskiego, „Ogniem i mieczem" Hoffmana, „Zemście" Wajdy, „Weselu", „Domu złym", „Wołyniu" i „Pod Mocnym Aniołem" Smarzowskiego i kilku serialach. Wydał też płyty m.in. „Ech, te drogi", „Bandycka dusza", „W miasteczku Tarusa". Na zdjęciu w Beskidzie Niskim, 8 czerwca 2025 r.

wiedział: daj mu stówę". Miałem nadzieję, że będzie jeszcze okazja, żeby Wojtkowi się zrewanżować, ale, niestety, umarł chłop wcześniej.

Grał Pan na ulicy, jak Rosja napadła na Ukrainę?

Przestałem. Uznałem, że nie ma co ludzi drażnić tym językiem. W języku rosyjskim jest powiedzenie: „Muchi oddielna, kotlety oddielna". Nie należy mieszać różnych rzeczywistości, więc podjąłem decyzję, że nie będę śpiewał na ulicy. Teraz mnie korci, by już zacząć, muszę się do tego zebrać. Mam parę miejsc w Polsce, gdzie lubię i mogę to zrobić.

Uzdrowiska?

To dobre miejsca do grania na ulicy. Ludzie mają do południa zabiegi, a później szwendają się, nigdzie się nie spieszą. Tak się nudzą, że gotowi są słuchać nawet piosenek po rosyjsku. Moja publiczność to uniwersytety trzeciego wieku, koła gospodyń wiejskich i działkowcy. Czasami opowiadają mi historię swojego życia. W ludziach jest ogromna potrzeba mówienia o ważnych dla nich sprawach.

Coś jednak mi tu nie gra...

Co?

Ta Pańska pochwała szczęścia. Tyle utrat za życia doświadczamy: są choroby i śmierci. Jak to wszystko pogodzić ze szczęściem?

Nie ma we mnie buntu przeciwko starzeniu się.

Mam w to uwierzyć?

Mnie otuchy dodaje myśl, że jak umrę, to moje dzieci powiedzą, że stary był w porządku. Z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę przypuszczać, że zgliszcza po mnie nie zostaną. Kiedyś tego właśnie się bałem.

Czyli siła w rodzinie?

Cieszy mnie uśmiech na twarzach moich córek. I telefony z życzeniami w Dzień Ojca. Nie zawsze tak było. Kiedyś słowo „ojciec" wzbudzało we mnie przerażenie, bo przypominało, że mam obowiązki, że powinienem wziąć odpowiedzialność. Już nie piłem, trzeźwiałem, ale nadal nie umiałem dogadać się z własnymi dziećmi. One nawet nie mówiły do mnie „tato", tylko zwracały się po imieniu. Kiedyś wszedłem do kościoła i udałem się do spowiedzi, po dwudziestu latach. W konfesjonale siedział ojciec Klemens.

I co powiedział?

Najpierw usłyszałem śmiech, dalej słowa: „Dwadzieścia lat, chłopie – spowiedź życia. To trzeba porządnie zrobić". Spowiadałem się ponad dwie godziny. Po rozgrzeszeniu ojciec Klemens powiedział: „A teraz, bracie, zobaczysz, jak bardzo i jak szybko zmieni się twoje życie". A ja mu na to: „Pogratulować entuzjazmu". Ale zacząłem się modlić, chodzić do kościoła. A w domu próbowałem rozmawiać, nie warczeć. Początkowo nie było to łatwe. Ale w pewnym momencie moje dzieci zaczęły mówić do mnie „tato".

Wartość sama w sobie.

Kiedyś ze Strasburgerem jem śniadanie w hotelu. Mówię Karolowi, że na weekend jadę do Niemiec. On pyta po co, a ja na to, że będę głosił rekolekcje dla małżeństw. Zaniemówił, a po chwili pyta: „To kim ty jesteś?". Ja na to, że profesorem rozwoju duchowego.

No, w sumie...

W małżeństwie narobiłem dużo gnoju, więc naprawdę jestem specjalistą.

Pan na tych rekolekcjach mówi, jak ten gnój wyglądał i co robić, by z niego wyjść?

Poważnym argumentem jest to, że z żoną jestem od 45 lat i im dalej w las, tym jest ciekawej. Wszystkim tym, którym chodzą po głowie głupie myśli, mówię: poczekać. Kiedyś odkryłem ze zdziwieniem, że zakochałem się w swojej żonie po raz drugi. A ludzie teraz tak szybko rozwodzą się, w ogóle nie mają pojęcia, czym jest małżeństwo. Bywa, że myślą o nim jako o umowie między dwojgiem ludzi, no i jak się nie sprawdzi, to można ją rozwiązać. A jeżeli coś nie gra, to warto by się w problem zagłębić, poznać przyczyny, przypomnieć sobie czas, kiedy było fajnie, a nie od razu składać papiery.

A Pana myślenie o przyszłości?

Rano robię plany, a wieczorem i tak okazuje się, że było inaczej. No to co ja będę myślał o przyszłości? Jednym z moich osiągnieć jest to właśnie, że nie planuję przyszłości. Moja recepta na zadowolenie w życiu: minimalne oczekiwania, więc z automatu mniej rozczarowań. Wolność od oczekiwań, wizji, rojeń, prognoz i tak dalej. W przyszłość nie patrzę z żadnym lękiem, jeśli już, to z zaciekawieniem.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

TOMASZ

Stawiszyński: *Spiski nasze powszednie*

Daję słowo, wolałbym nigdy więcej nie pisać o teoriach spiskowych. Nie dlatego, że mnóstwo już o nich napisałem, lecz przede wszystkim dlatego, że wolałbym żyć w świecie, w którym są co najwyżej reliktem dawnych czasów. Obiektem badawczym dla historyków czy socjologów, nie zaś nieuświadomionym światopoglądem znacznej części społeczeństwa i narzędziem walki politycznej stosowanym na zimno, żeby doprowadzać do wrzenia i tak już przegrzane polaryzacją umysły.

Pisać o tym jednak wciąż trzeba, myślenie spiskowe bowiem sięga coraz dalej i głębiej. Największa zmiana, jaka dokonuje się w ciągu ostatniej dekady, polega na tym, że narracja niegdyś marginalna staje się stopniowo przekazem oficjalnym, językiem centrum, które zawsze obnosiło się – i wciąż obnosi – z własną racjonalnością i umiarkowaniem. Kolejny przejaw tego procesu obserwujemy właśnie w Polsce, gdzie coraz więcej polityków, publicystów oraz aktywistów facebookowych twierdzi, że wybory prezydenckie zostały sfałszowane przez opozycję. I nawołuje, żeby koniecznie „coś z tym zrobić".

Abstrahując od tego, że głównym propagatorem tej koncepcji jest człowiek całkowicie niewiarygodny, wyspecjalizowany w rozsiewaniu dezinformacji, kłamstw i teorii spiskowych – racjonalnych przesłanek za powyższą hipotezą jak na razie jest niewiele. Po pierwsze, nieprawidłowości i pomyłki w poszczególnych komisjach zdarzają się w każdych wyborach. Standardem jest, owszem, że przegrani chętnie takie nieprawidłowości wytykają, wygrani natomiast tonują nastroje, niemniej – w samym fakcie, że jakieś nieścisłości czy błędy występują, nie ma nic niezwykłego. Po drugie, wyborcze fałszerstwo na skalę ogólnopolską to musiałaby być wielka, skoordynowana akcja, obejmująca kilkadziesiąt tysięcy komisji, w których przecież zasiadają mężowie zaufania z zarejestrowanych komitetów wyborczych, a nadzór nad przebiegiem wyborów sprawuje PKW. Czyżby wszyscy oni brali udział w spisku? Przy funkcjonalnym systemie demokratycznym – a dodajmy, że od dwóch lat władzę w Polsce sprawuje strona, której kandydat przegrał i to ta strona odpowiada za przebieg procesu wyborczego – prawdopodobieństwo fałszerstwa jest znikome.

Wiadomo jednak, że w uniwersum spiskowego myślenia nie ma czegoś takiego jak znikome prawdopodobieństwo. Z każdego, łącznie z zerowym, da się wywieść spiskową prawdę, z braku dowodów zmajstrować dowód wyższego rzędu, myślenie spiskowe nie polega wszak na wytwarzaniu uzasadnionych przekonań na podstawie dostępnych danych, lecz na takim układaniu danych, by wspierały przekonanie z góry założone.

Przemożna siła teorii spiskowych nie bierze się jednak z tego, że dostarczają wyjaśnień wiarygodnych, lecz z tego, że dostarczają wyjaśnień emocjonalnie atrakcyjnych – na przykład ujednolicają wyobrażenie znienawidzonego przeciwnika. Jeśli przeciwnik robi coś dobrego, jego wizerunek może przecież ulec niebezpiecznemu zachwianiu. Może się okazać, że ma on również jakieś ludzkie cechy – i co wtedy począć z emocjami i fantazjami, którymi się go szczelnie okryło? Otóż z pomocą przychodzi właśnie myślenie spiskowe, które zaraz skleja wszelkie pęknięcia na ohydnym obliczu: przeciwnik nic nie robi dobrze (uff...), to tylko pozór, bo nawet jeśli robi dobrze, to tak naprawdę robi źle.

Albo – racjonalizują przegraną, pozwalają nie przyjąć jej do wiadomości, nie uznać żadnych własnych błędów i niedopatrzeń, zachować więc nieskalany obraz siebie, a całe zło i ułomność nadal bezpiecznie lokować na zewnątrz.

Zarówno mechanizmy, jak i przyczyny rozprzestrzeniania się myślenia spiskowego we współczesnych społeczeństwach nie są żadną tajemnicą. Nowością jest zjawisko, o którym wspomniałem wyżej – przejście tych narracji z marginesu do głównego nurtu. A także upadek mitu, że jest to wyłącznie albo w większości domena radykalnej prawicy czy w ogóle politycznych skrajności. Otóż – jak się okazuje – nic podobnego. Jest to po prostu domena tych, którzy przegrywają. Co czasami oznacza również – tych, którzy nie mogą czy też nie chcą oddać władzy, bo nie umieją pogodzić się z tym, że w systemie demokratycznym wyborcy postawili na kogoś innego.

Przy czym najbardziej niepokojący jest tutaj nie tyle cynizm polityków, którzy takich chwytów używają – u polityków nie jest to nic dziwnego – lecz łatwowierność tych, którzy tak miękko się im poddają. Bo efektem może być tylko jedno: pogłębiający się brak zaufania do państwa i jego instytucji, a zatem pogłębiający się rozpad wspólnoty. Nie trzeba wcale myślenia spiskowego, żeby zapytać: komu na tym zależy?

I jeszcze jedno pytanie na koniec – czy należałoby ponownie przeliczyć głosy? Być może faktycznie w tym momencie to jedyne wyjście z impasu. Choć z drugiej strony do każdego wyniku przeliczania da się dobudować stosowną spiskową narrację. Ale załóżmy, że to wyłączna droga do uspokojenia społecznych nastrojów: co wówczas z głosami we wszystkich poprzednich wyborach? Ostatecznie, skoro te mogły zostać „wydrukowane", to znaczy, że być może w ogóle od 1989 r. żyjemy w politycznym matriksie... No ale wszystkich przeliczyć się nie da, pozostaną więc tylko nieusuwalne wątpliwości. Cóż, tak to właśnie działa: za jednym wyłamanym elementem obrazu świata natychmiast padają kolejne; kto raz wejdzie na ścieżkę spiskowego myślenia, zazwyczaj już z niej nie schodzi. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

Kraków

CO ROBI ZDJĘCIE?

CO ROBI ZDJĘCIE?
CO ROBI ZDJĘCIE?
CO ZDJĘCIE?
CO ZDJĘCIE?

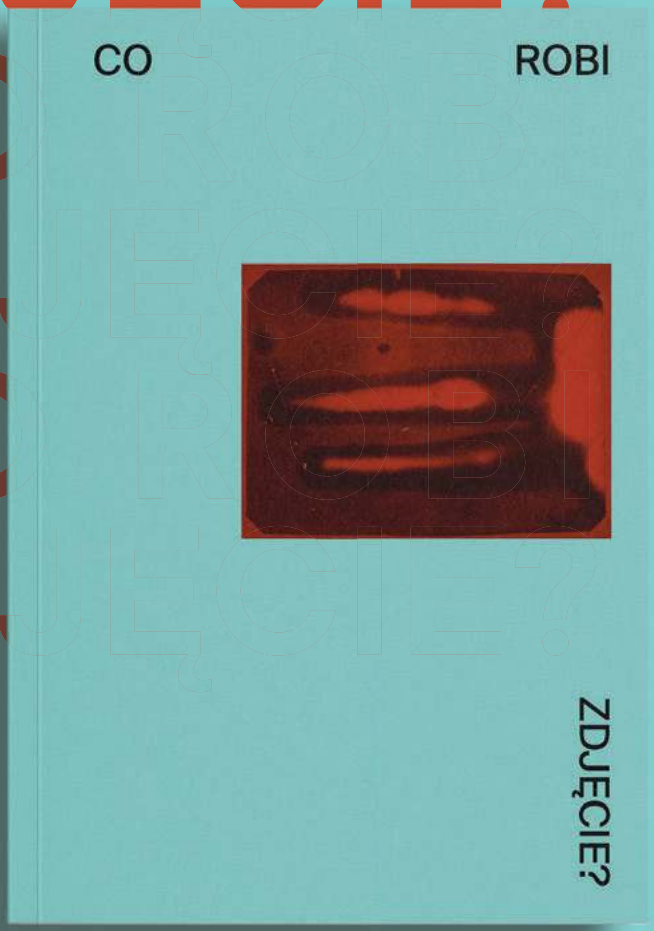

MuFo
Muzeum Fotografii w Krakowie

zarne

mufo.krakow.pl

MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

BEZPIECZNE LATO

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 27/2025

przewodnik na wakacje

SUBARU **FORESTER**
WOLNOŚĆ PODRÓŻOWANIA

FORESTER.SUBARU.PL

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI SUBARU SAFE8

REKLAMA

SUBARU

SUBARU ZALECA PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

Santander Leasing

ENEOS MOTOR OIL

YOKOHAMA

Bezpieczne lato: przewodnik na wakacje

4. Neseser podróżny
Maciej Szklarczyk
Podróż to nie tylko kwestia logistyki, planowania i budżetu. To także moment refleksji nad własnymi potrzebami i oczekiwaniami bliskich. Jak przygotować się mądrze – nie tylko praktycznie, ale i emocjonalnie?

10. Zdrowe lato. Nie daj się upałom
Kinga Dawidowicz
Lato sprzyja relaksowi, ale wysokie temperatury mogą stanowić realne zagrożenie dla zdrowia. Jak cieszyć się słoneczną pogodą, nie narażając organizmu na niebezpieczeństwo?

14. W góry bez ryzyka
Bartek Dobroch
Wyprawa w góry wymaga rozwagi. To nie tylko kwestia osobistego bezpieczeństwa – nasze decyzje mogą mieć wpływ także na innych obecnych na szlaku. O czym pamiętać, by wędrówka była przyjemnością, a nie zagrożeniem?

20. Bezpieczne cyberwakacje
Agata Kaźmierska, Wojciech Brzeziński
Podczas gdy my odpoczywamy, cyberprzestępcy nie biorą urlopu. Wakacyjna beztroska może ułatwić im dostęp do naszych danych. Jak się przed tym uchronić?

24. Trzeźwo w wodzie
Rozmowa z Katarzyną Bekier
Statystyki pokazują, że alkohol i wypoczynek nad wodą to fatalne połączenie. Ale ryzykownych zachowań jest więcej. Jak wypoczywać odpowiedzialnie i bezpiecznie?

Nasz poradnik „Bezpieczne lato” przygotowaliśmy z myślą o tym, by letni wypoczynek – niezależnie od jego formy – był nie tylko przyjemny, ale przede wszystkim świadomy. Bezpieczeństwo nie sprowadza się do samej ostrożności – łatwo wówczas popaść w nadmierne asekuranctwo. To sztuka przewidywania, uważności na siebie i innych, to odpowiedzialność, która nie przynosi stresu, a raczej jego zaprzeczenie – relaks i wypoczynek.

Chcemy zwrócić Waszą uwagę na to, że bezpieczną podróż nie zawsze należy rozumieć jedynie jako przejazd z punktu do punktu. To także, a może przede wszystkim, przejście w inną codzienność – zewnętrzną i wewnętrzną. Wyjazd często staje się okazją do spojrzenia na siebie z dystansu: co mnie męczy; czego potrzebuję; co mnie naprawdę cieszy; czego potrzebują moi bliscy? Taka podróż, której towarzyszy wewnętrzne wyciszenie i życzliwość wobec własnych ograniczeń, może być ważniejsza niż turystyczne atrakcje.

Wielu z nas na miejsce swojego wypoczynku wybierze górskie szlaki – prowadzące na skalne szczyty, jak też wijące się spokojnymi dolinami. Te drogi nie wybaczają lekkomyślności. Pogoda zmienia się błyskawicznie, a z pozoru łatwa trasa może okazać się wymagająca. Przemyślany plan, odpowiednie obuwie, kontakt z bliskimi – te proste środki mogą zadecydować o bezpieczeństwie.

Wypoczynek ma nas regenerować, ale też uczyć mądrego zarządzania siłami. Zamiast realizować napięty grafik atrakcji, warto czasem po prostu pospać dłużej, wyłączyć telefon, posiedzieć w ciszy. To też forma troski o siebie.

W świecie, w którym jesteśmy niemal nieustannie „podłączeni”, wakacje bywają jedynym momentem, w którym możemy się wylogować. A jeśli nie – warto zadbać o cyberbezpieczeństwo. W poradniku podpowiadamy, jak nie paść ofiarą cyfrowych oszustów, jak chronić swoje dane i jak korzystać z internetu bez niepotrzebnego ryzyka.

Bezpieczeństwo to nie zestaw zakazów i nakazów. To sposób myślenia o sobie i o drugim człowieku. Wierzymy, że właśnie taka postawa pozwala przeżyć wakacje naprawdę dobrze. I naprawdę odpocząć.

©℗ JACEK TARAN

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 27/2025
REDAKCJA: Jacek Taran | OPIEKA ARTYSTYCZNA: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | OPIEKA WYDAWNICZA: Marek Bednarz, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
OKŁADKA: Wojciech Gajda / Adobe Stock

PARTNERZY DODATKU:
ERGO HESTIA
blik
SUBARU

ARTUR SZCZEPAŃSKI / REPORTER

Podróżujesz sam, w parze, z rodziną, z grupą znajomych lub nieznajomych? Czy bierzesz pod uwagę możliwość poznania kogoś w drodze? Każda z tych opcji otwiera jedne, a zamyka inne horyzonty.

Neseser podróżny

MACIEJ SZKLARCZYK

Myśląc o bezpiecznej podróży, przychodzą mi do głowy rady, które ułożyły się w poniższą listę – w takiej akurat liczbie i kolejności. Ale jeśli, przyszły podróżniku, uważasz, że można inaczej, lub dostrzegasz braki, nie krępuj się uzupełniać...

Wyznacz cel podróży

Zanim wybierzesz kierunek, zastanów się, czego aktualnie potrzebujesz. Chcesz ruszyć z domu po odpoczynek aktywny czy bierny, na łonie przyrody czy w metropolii, w jakich temperaturach i zagęszczeniu ludzi? Przyjrzenie się swemu stanowi ducha to pierwszy krok ku końcowej satysfakcji. Podróżowanie zakłada na końcu powrót do siebie – a zatem relację ze swoim miejscem, z sobą, ukorzenienie. To paradoksalny początek podróży.

Negocjuj z bliskimi

Podróżujesz sam, w parze, z rodziną, z grupą znajomych lub nieznajomych? Czy bierzesz pod uwagę możliwość poznania kogoś w drodze? Każda z tych opcji otwiera jedne, a zamyka inne horyzonty. Rozmawiajcie ze swoimi przyszłymi towarzyszami podróży o swoich pomysłach, potrzebach i uczuciach związanych z wyjazdem – poznaj ich punkt widzenia, negocjujcie kształt planów. Może nie wszystko musicie realizować identycznie, natomiast każdy powinien mieć możliwość choć w części zrealizować swoje priorytety. Bądź otwarty na renegocjacje, również w trakcie wyjazdu. To w ogóle dobre ćwiczenie w dialogu, który przyda się na co dzień.

BALANCE FORM CREATIVE / ADOBE STOCK

Otwórz się na negocjacje w trakcie wyprawy.

Mierz zamiar według sił

Nie szarżuj, nie stawiaj sobie zbyt wielu zadań, nie rób rzeczy ekstremalnie innych od tych, na które zdecydowałbyś się „u siebie". Nawet jeśli inni to robią.

Przygotuj się adekwatnie wcześniej przez odpowiednią zaprawę do wyzwań, jakie sobie postawisz podczas podróży – czy to będzie rejs, wyprawa na Kilimandżaro, czy intensywne zwiedzanie prawie wszystkich muzeów Rzymu. Realnie oceń swoje możliwości, skonsultuj się z kimś o większym doświadczeniu, komu możesz zaufać. Obserwuj swoje ciało i psyche, czy nie wołają „dość!".

Zmęczenie osłabia czujność i sprzyja popełnianiu błędów, a zły los lub złodziej tylko czyha, by to wykorzystać. Pamiętaj o tym także prowadząc auto.

Również nadmierny luz zwiększa ryzyko, że spóźnisz się na samolot, zgubisz na dworcu, dasz sobie wcisnąć szmelc za cenę antyku.

Włącz tryb receptywność – uważnie czerp z bodźców zmysłowych i doświadczeń. Zadbaj o właściwy balans wysokiego i niskiego pobudzenia, wysiłku i odprężenia.

No a gdy włączysz już zdrowy rozsądek – możesz sobie przypomnieć, że podróż to również przekraczanie siebie.

Respekt przed naturą

Szanuj zieleń. Nie wchodź na Giewont w szpilkach podczas burzy. Czasem to bardziej skomplikowane – sprawdź w kilku źródłach, czy zoo lub safari, na które się wybierasz, jest przygotowywane z poszanowaniem ekologii i dobrostanu zwierząt.

Wybieraj i rezygnuj

Podróż i życie to sztuka wyboru. Oraz rezygnacji. Wybierając, z czegoś rezygnujesz. Kluczowe, choć trudne – umieć przystać na stratę. Podczas krótkiego przystanku wybierzesz witraże Mehoffera we Fryburgu czy wizytę w galerii Niki de Saint Phalle?

MARIUSZ STOSZEWSKI / ADOBE STOCK

Poświęć więcej czasu na jedną rzecz i zaangażuj się w to w pełni.

ROBERT KNESCHKE / ADOBE STOCK

Spakuj ekwipunek – ale o kondycję zadbaj wcześniej.

Pragniesz adrenaliny, a propozycje kuszą? Nic w tym złego, póki adrenalina cię nie oślepi.

Nie musisz zaliczyć wszystkiego, żeby wynieść korzyść. Poświęć więcej czasu na jedną rzecz i zaangażuj się w to w pełni. Możesz zaznać za dużo pobieżnie albo wystarczająco dużo – głębiej.

Bądź elastyczny

Nie bądź niewolnikiem swoich oczekiwań. Nie da się wszystkiego zaplanować ani przewidzieć. Załamanie pogody, nagła choroba, korek w kierunku dworca, specyfika miejscowej sieci autobusowej (kto by przewidział, że 50 km pokonuje się przez cztery godziny?) – czasem nie uniknie się komplikacji.

Bądź gotowy na zaskoczenia i zmiany planów. Mniej się sfrustrujesz. A może nawet coś cię zaskoczy przyjemnie?

Bądź przygotowany

To nie znaczy, żebyś miał zaniedbać należyte przygotowanie.

Rzeczy konieczne: paszport, ubezpieczenie, waluta, karta bankowa i dostępność usług płatniczych na miejscu, szczepienia, twoje lekarstwa i soczewki. Nie zapomnij ich ↦

MAKSYM PROTSENKO / ADOBE STOCK

Włącz tryb receptywność – uważnie czerp z bodźców zmysłowych i doświadczeń.

spakować i sprawdzić jeszcze raz przed wyjściem z domu. Właściwie wszystko inne w razie czego możesz kupić na miejscu.

Spakuj ekwipunek dostosowany do charakteru twojej wyprawy. O kondycję i formę zadbaj odpowiednio wcześniej, zwłaszcza jeśli np. chcesz zdobywać góry.

Nie tylko internet

A przede wszystkim wyszukaj informacje – dzisiaj to łatwiejsze niż kiedykolwiek.

Sprawdź pogodę w konkretnej porze roku, zweryfikuj tuż przed wyjazdem.

Jedziesz w tropiki? Dowiedz się o tamtejszych chorobach, higienie. I miejscowym jedzeniu – korzystaj z niego, ale z rozsądkiem, unikaj dań ryzykownych.

Czytaj blogi podróżnicze, opinie na portalach turystycznych. Skalibruj sobie swój wewnętrzny radar na fejkowe opinie, nadmierną krytykę i zachwyty.

Wszechobecność sieci to kij o dwóch końcach – łatwość zareklamowania się i odnalezienia reklamy sprawia, że globalny ruch turystyczny nasilił się jak jeszcze nigdy, a wiele „nieznanych" miejsc utraciło unikatowość. Tłum w popularnych miejscach wpływa na jakość oferowanych usług, komfort zwiedzania oraz życia mieszkańców. Ty masz władzę decyzji – czy pojechać na wciąż mniej zatłoczoną grecką wysepkę? A jeśli do Aten, to może poza sezonem?

To może oznaczać również ulgę dla wakacyjnego budżetu, co jest jedną z najważniejszych spraw do ustalenia przed decyzją o wyjeździe. Policz dzienne koszta, załóż bufor finansowy na nieprzewidziane wydatki, pomnóż przez liczbę dni i osób.

Nawiązuj relacje

Korzystaj z lokalnych przewodników, sprawdzaj ich uprawnienia i kompetencje. Zostaw jak największą część wydanych pieniędzy w rękach miejscowych. Od nich dowiesz się rzeczy, o których milczy internet, nawiązuj z nimi choćby przelotny kontakt – odwiedzany kraj to nie tylko atrakcje, ale też ludzie. Nie każdy może zostać cyfrowym nomadą i wyjechać na parę miesięcy, pracując zdalnie – ale nawet podczas krótkiego pobytu możesz spróbować zejść z głównych traktów i zapuścić się do tawerny pełnej miejscowych klientów.

Nie bój się miejscowego medyka znającego lokalne choroby, ale dopytaj, jak rozliczyć ewentualne koszty leczenia. Pamiętaj o ubezpieczeniu.

Uważaj na złodziei i oszustów, ale nie zrażaj się do miejscowych po nieprzyjemnej przygodzie. Większość ludzi jest uczciwa i podobna do ciebie w podstawowych potrzebach: bezpieczeństwa, dachu nad głową, jedzenia, pracy, możliwości zabawy i autoekspresji. Te podobieństwa nie unieważniają kulturowych różnic – one nas zazwyczaj najbardziej ciekawią.

Szanuj lokalną kulturę

Nie zakładaj, że kraj, do którego jedziesz, okaże się taki, jak go sobie wyobrażasz. Nastaw się na niespodzianki.

Zwracaj uwagę na życie i problemy miejscowych, dowiaduj się o postulatach ruchów antyturystycznych (Barcelona, Amsterdam) – spróbuj uwzględnić je podczas podróży. Staraj się nie być uciążliwym gościem. Zachowuj się tak, jak byś chciał, by zachowywali się twoi goście. Przestrzegaj zakazów i ciszy nocnej.

Schowaj czasem aparat lub smartfon i spójrz na otaczający świat bez pośrednictwa obiektywu. Nie wszystko też musisz upublicznić. Gdy odkryjesz nieznane miejsce, nawet kilka kilometrów od twego domu, zachowaj to tylko dla siebie i dla bliskich.

▪▪▪

Pamiętaj o balansie między nowym i nieznanym – a powtarzalnym i swojskim. Każdy powinien mieć miejsce, do którego wraca po choćby najdłuższej podróży.

©℗ MACIEJ SZKLARCZYK

Dziękuję Michałowi Lembergerowi (OneFun) oraz Michałowi i Karolinie Piątkowskim (blog „Naszymi oczami") za inspirujące rozmowy.

TYGODNIK POWSZECHNY

ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTERY

I CZYTAJ NAJLEPSZE TEKSTY TYGODNIKA, KIEDY CHCESZ!

HORYZONTY NAUKI

Nauka, która fascynuje. Odkrycia, nowe technologie i przełomowe badania – rzetelna analiza zamiast sensacyjnych nagłówków.

Prowadzi **ŁUKASZ KWIATEK**

TYGODNIK SMAKÓW

Smakuj życie z Pawłem Bravo. Opowieści o jedzeniu, kulturze kulinarnej i smakach, które czynią świat bogatszym.

Prowadzi **PAWEŁ BRAVO**

SPOŁECZEŃSTWO

Życie wokół nas: reportaże, rozmowy i analizy o tym, co porusza, dzieli i łączy ludzi.

Prowadzą **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, ANNA GOC** & **MAREK RABIJ**

MOC KOBIET

Opowieści o kobietach i sprawach dla nas ważnych: bez lukru, tabu i stereotypów. Niezwykłe bohaterki i autorki z prawdziwą dziennikarską mocą.

Prowadzi **EWELINA BURDA**, zastępczyni Redaktora Naczelnego

dowiedz się więcej! TygodnikPowszechny.pl/newsletter

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH X6 // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WITOLD ZIOMEK / MATERIAŁY PRASOWE HESTII X2

Być mądrym przed szkodą

Planując wyjazd, warto zadbać nie tylko o bilety i noclegi, ale także o odpowiednie ubezpieczenie podróżne. To niewielki wydatek, który w razie nieszczęśliwego zdarzenia może uchronić przed dużymi kosztami.

Od nagłej hospitalizacji po utratę wartościowego bagażu – lista zdarzeń, które mogą zepsuć twoje wakacje, pobudza wyobraźnię. Poznaj prawdziwe przypadki z praktyki ubezpieczeniowej ERGO Hestii, które potwierdzają wartość dobrze dopasowanego ubezpieczenia turystycznego.

MATERIAŁ PARTNERA

Pomoc medyczna i koszty leczenia

■ **PRZYPADEK Z USA:** Klientka podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych zaraziła się egzotyczną bakterią. Zakażenie doprowadziło do niewydolności wielonarządowej. Konsekwencją były dwa miesiące intensywnej terapii oraz powrót do Polski pod opieką lekarza. Koszty leczenia w USA osiągnęły astronomiczny poziom dwóch milionów osiemset złotych, a transport medyczny do kraju wyniósł dodatkowe pięćdziesiąt dwa tysiące złotych.

■ **PRZYPADEK Z WŁOCH:** Klient doznał poważnego urazu kręgosłupa podczas wyjazdu narciarskiego w Dolomity. Skutek? Konieczność przeprowadzenia operacji, miesięczna hospitalizacja oraz transport medyczny do Polski. Koszty samego leczenia wyniosły dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych, a transport specjalistycznym ambulansem dodatkowo ponad czterdzieści tysięcy złotych.

– W obu przypadkach ERGO Hestia pokryła wszelkie koszty. Klienci posiadali ubezpieczenie ERGO Podróż, w którym suma gwarancyjna sięga nawet trzech milionów. To szczególnie istotne w przypadku wyjazdów do takich krajów jak USA, Kanada, Chiny czy Japonia, gdzie koszty leczenia są bardzo wysokie. W 2023 r. aż 75 proc. świadczeń wypłaconych w ramach ubezpieczeń podróżnych dotyczyło pomocy medycznej i kosztów leczenia. To potwierdza olbrzymie znaczenie tego ubezpieczenia – mówi Anna Witkowska, zastępczyni dyrektora Biura Ubezpieczeń Detalicznych i Programów Partnerskich w Dziale Zarządzania Produktami ERGO Hestii.

Ubezpieczenie pod nazwą „Pomoc Medyczna i Koszty Leczenia" w ramach ERGO Podróż zapewnia niezbędną pomoc po wypadku – leczenie szpitalne, ambulatoryjne, stomatologiczne czy konsultacje medyczne. Osoba ubezpieczona otrzymuje dostęp do całodobowej Pomocy Centrum Alarmowego, a także pokrycie kosztów transportu do placówki medycznej, do miejsca zakwaterowania po zakończeniu leczenia oraz powrotu do domu. Ubezpieczenie obejmuje też ratownictwo w górach i na morzu, w tym poszukiwania prowadzone przez wyspecjalizowane służby ratownicze.

Ubezpieczenie następstw nieszczęśliwych wypadków (NNW)

■ **PRZYPADEK Z NIEMIEC:** Klient wykonujący pracę fizyczną w Niemczech, na skutek przygniecenia towarem, doznał złamania kręgów i żeber. Przy sumie ubezpieczenia wynoszącej sześćdziesiąt tysięcy złotych i uszczerbku na zdrowiu 22 proc. – otrzymał odszkodowanie w wysokości blisko dwudziestu tysięcy złotych. Było to możliwe dzięki zastosowaniu systemu świadczeń progresywnych. Standardowe rozliczenie, bez zastosowania tego systemu, skutkowałoby wypłatą jedynie trzynastu tysięcy. Różnica w kwocie odszkodowania stanowiła niebagatelne wsparcie w procesie rehabilitacji.

Ten przykład pokazuje, jak ważne jest odpowiednie rozszerzenie zakresu ochrony, jeśli podczas wyjazdu zagranicznego zamierzasz wykonywać pracę fizyczną. ERGO Podróż dzieli pracę na kilka kategorii: zawody niższego ryzyka (objęte ochroną), zawody podwyższonego ryzyka (wymagana jest dodatkowa składka) oraz zawody niebezpieczne (wyłączone z ochrony). Przykładowo, praca fizyczna należy do zawodów podwyższonego ryzyka i wymaga rozszerzenia ochrony.

Ubezpieczenie bagażu

■ **PRZYPADEK Z FRANCJI:** Czteroosobowa rodzina, podczas pobytu za granicą, padła ofiarą włamania do samochodu. Sprawcy wybili szyby w pojeździe i skradli cały bagaż podróżny. Dzięki indywidualnym polisom z sumą ubezpieczenia pięć tysięcy złotych na osobę, klienci otrzymali odszkodowanie w wysokości ponad szesnastu tysięcy złotych. Była to kwota umożliwiająca naprawę szyb w samochodzie, zakup utraconych rzeczy i bezstresową kontynuację wypoczynku.

Ubezpieczenie Bagażu w ERGO Podróż obejmuje ochronę w przypadku utraty, uszkodzenia lub zniszczenia przedmiotów osobistych, takich jak telefon, tablet czy klucze. Obejmuje zarówno bagaż przewożony wewnątrz pojazdu, jak i w bagażnikach zewnętrznych. Zapewnia także pomoc w przypadku utraty środków płatniczych lub dokumentów, a nawet organizację i pokrycie kosztów dosłania utraconych rzeczy.

– Statystyki ERGO Hestii pokazują, że aż 15 proc. wszystkich wypłat odszkodowań w ramach ubezpieczeń podróżnych dotyczyło przypadków związanych z bagażem. Warto wiedzieć, że ubezpieczenie bagażu w ERGO Podróż może zapewnić sumę ubezpieczenia w wysokości nawet dwudziestu tysięcy złotych – mówi Anna Witkowska.

Ubezpieczenie sprzętu sportowego

Dla osób aktywnych podczas podróży ERGO Hestia oferuje specjalistyczne ubezpieczenie sprzętu sportowego. To oddzielny produkt, który wykracza poza standardową ochronę bagażu.

Tegoroczną nowością są aż trzy klauzule produktowe dotyczące sprzętu sportowego. To dodatkowe elementy, które pozwalają na personalizację i rozszerzenie zakresu ochrony. Zapewniają one m.in. pełną ochronę w przypadku uszkodzenia sprzętu sportowego w wyniku wypadku oraz możliwość podwyższenia sumy ubezpieczenia sprzętu do czterdziestu tysięcy złotych.

Ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej (OC)

■ **PRZYPADEK Z HISZPANII:** Klient podczas podróży wynajął samochód. W trakcie parkowania pękła przednia szyba. Koszt naprawy wyniósł dwa tysiące złotych i został w całości pokryty z ubezpieczenia. Było to możliwe dzięki specjalnej klauzuli dotyczącej udziału własnego w szkodzie w wynajmowanym pojeździe – klient mógł podwyższyć sumę ubezpieczenia do pięciu tysięcy złotych.

Ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej w ramach ERGO Podróż oferuje sumę gwarancyjną sięgającą nawet miliona złotych! Ta kwota zapewnia kompleksową ochronę nawet w przypadku poważniejszych szkód wyrządzonych osobom trzecim, a przede wszystkim daje naszym klientom olbrzymie poczucie bezpieczeństwa.

Indywidualizacja ochrony ubezpieczeniowej

ERGO Podróż pozwala dostosować zakres ochrony do indywidualnych potrzeb podróżującego. Oprócz standardowych opcji, produkt oferuje rozszerzenia w postaci wyjątkowych dodatkowych świadczeń, takich jak:

- Kontynuacja leczenia w Polsce (do dziesięciu tysięcy po wystąpienia zdarzenia za granicą
- Assistance dla rodzica osoby ubezpieczonej (pomoc medyczna i wizyty specjalistów w czasie nieobecności ubezpieczonego)
- Ubezpieczenie karnetów i kursów (ochrona do jednego tysiąca złotych)
- Dodatkowe rozszerzenia dotyczące terroryzmu (na terytorium kraju o podwyższonym ryzyku), chorób przewlekłych oraz dyscyplin sportowych o charakterze ryzykownym lub ekstremalnym.

Historie pisane przez życie

Opisane przypadki z praktyki ubezpieczeniowej ERGO Hestii potwierdzają znaczenie dobrej ochrony w czasie zagranicznych podróży. Kompleksowa ochrona w ramach ubezpieczenia ERGO Podróż zapewnia zarówno wsparcie finansowe, jak i organizacyjne w sytuacjach kryzysowych.

– Listę zwrotów akcji, które mogą się nam przytrafić za granicą, ogranicza tylko nasza wyobraźnia. Ubezpieczyciele jedynie uczulają na możliwość wystąpienia zdarzeń, ale te historie pisze samo życie. Naprawdę trudno przewidzieć zarażenie bakterią powodującą wielonarządową niewydolność, za której leczenie trzeba będzie zapłacić blisko trzy miliony złotych! A przecież właśnie to przydarzyło się naszej klientce. Karta EKUZ często jest przydatna, ale działa tylko w krajach UE i kilku stowarzyszonych, dlatego dla kompleksowej ochrony warto mieć wykupioną podróżną polisę – dodaje Anna Witkowska. ▪

ERGO HESTIA®

Kurtyny wodne w rozgrzanych miastach pozwalają ochłodzić się ludziom i zwierzętom. Kraków, 1 sierpnia 2017 r.

Zdrowe lato. Nie daj się upałom

KINGA DAWIDOWICZ

Wakacje to czas, na który czekamy przez cały rok. Warto więc zadbać, by spędzić je w świetnym samopoczuciu.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Słoneczna pogoda, przyroda w swoim rozkwicie, soczyste owoce, długie dni i ochłoda, którą zapewnia morze czy cień lasu, pozwalają zregenerować organizm, nabrać energii i odpocząć od codziennych obowiązków. Latem też zazwyczaj przestawiamy się na spokojniejszy tryb funkcjonowania, chętnie dostrajamy się do prawideł sezonu ogórkowego i mimo że większość z nas korzysta w tym czasie jedynie z dwutygodniowego urlopu, lubimy przypominać sobie, że wakacje to błogi czas rozciągnięty tak naprawdę na kilka miesięcy.

Relaks bez ryzyka

Warunki sprzyjające odpoczynkowi potrafią jednak uśpić naszą rozwagę, a atmosfera zarówno słodkiego lenistwa, jak też aktywnego uprawiania letnich sportów osłabia uwagę poświęcaną zazwyczaj dbaniu o nasze zdrowie. Wakacyjne miesiące to również czas, w którym szczególnie narażeni jesteśmy na czynniki mogące powodować dyskomfort, osłabienie czy ciężkie dolegliwości i urazy.

I o ile coraz częściej pamiętamy latem, udając się np. za granicę, o zaopatrzeniu się w Europejską Kartę Ubezpieczenia Zdrowotnego (można ją otrzymać w każdej placówce NFZ), stosujemy kremy z filtrem i nosimy okulary słoneczne chroniąc oczy przed zaćmą czy oparzeniem rogówki, to zdarza się, że zapominamy o innych zasadach ochrony naszego zdrowia.

O czym powinniśmy pamiętać, korzystając ze słońca, sprzymierzeńca wakacyjnego wypoczynku? Jak nie dopuścić do przegrzania, odwodnienia i udaru słonecznego, najczęstszych letnich „dolegliwości”?

Upał szkodzi

Upały to przede wszystkim zagrożenie dla osób starszych, dzieci i grup wrażliwych (m.in. z chorobami sercowo-naczyniowymi, cukrzycą, nadciśnieniem). Przyjmuje się, że upał to stan pogodowy, gdy temperatura powietrza przy powierzchni ziemi przekracza 30 stopni Celsjusza. Wbrew obiegowym opiniom, to nie w południe słupki rtęci wskazują najwyższe wartości, ale pomiędzy godziną trzynastą a siedemnastą. Dłuższe przebywanie w rozgrzanym powietrzu skutkować może udarem słonecznym. Jego objawy to zmęczenie, silne bóle i zawroty głowy, nudności, gorączka czy szum w uszach. Możemy też doświadczyć drgawek, wzrostu temperatury ciała i zwiększonej częstotliwości bicia serca, przyspieszonego oddechu, a także gorącej, czerwonej, suchej lub wilgotnej skóry. Udar, czyli inaczej porażenie słoneczne, powodowany jest dużym, bezpośrednim nasłonecznieniem – przede wszystkim głowy i karku, które prowadzi do przekrwienia opon mózgowych i mózgu.

Udar słoneczny

Najistotniejszym i najprostszym sposobem na uniknięcie udaru jest zapewnienie odpowiedniej ilości płynów, najlepiej niegazowanej wody, i ograniczenie do minimum ekspozycji na silne promienie słoneczne. Warto też zrezygnować z picia kawy, napojów zawierających duże ilości cukru lub alkoholu, ponieważ przyczyniają się do odwodnienia organizmu. Innym, pozornie oczywistym, ale często ↦

GRZEGORZ BANASZAK / REPORTER

Beczkowóz z wodą dla mieszkańców ustawiony w upalny dzień przez Wodociągi Warszawskie. 7 czerwca 2019 r.

↦ pomijanym środkiem zapobiegającym przegrzaniu organizmu jest banalne nakrycie głowy. Chustka, czapka czy lekki kapelusz w upalne dni mogą wyświadczyć nam niebagatelną przysługę. Podobnie jak lekka, przewiewna odzież i unikanie intensywnego wysiłku fizycznego. Zostając w pomieszczeniach, które narażone są na przegrzewanie, możemy sobie pomóc, dbając o to, by w ciągu dnia okna były zamknięte i zasłonięte, co pozwoli utrzymać temperaturę na bezpiecznym dla nas poziomie.

Co jednak, gdy podejrzewamy, że my lub ktoś z otoczenia padł ofiarą porażenia słonecznego? Pierwszym krokiem powinno być zapewnienie chłodnego miejsca, zastosowanie zimnych lub wilgotnych okładów na głowę, spożycie dużej ilości wody i chłodna kąpiel. Jeśli jednak objawy nie ustąpią, powinniśmy wezwać pomoc lekarską.

Udar cieplny

Chroniąc się przed udarem słonecznym, nie warto lekceważyć innych stanów, którymi może skutkować długotrwałe wystawienie się na ciepło. Udar cieplny (reakcja organizmu, która występuje po dłuższym działaniu wysokiej temperatury na nasze ciało – często połączonej z wysoką wilgotnością i brakiem lub bardzo małym ruchem powietrza) czy wyczerpanie cieplne (w organizmie następuje nadmierna utrata płynów i soli) stanowią duże obciążenie dla naszego organizmu. Przy udarze cieplnym temperatura ciała staje się tak wysoka, że organizm nie jest w stanie samodzielnie jej obniżyć, co przy braku interwencji prowadzić może do śpiączki lub śmierci. Przy wyczerpaniu cieplnym spada ciśnienie tętnicze krwi, co powoduje uczucie silnego zmęczenia. Gdy zaobserwujemy zwiększone pocenie się, brak sił, zimną, bladą i wilgotną skórę, zazwyczaj wystarczy zastosować działania schładzające organizm. Jednak wymioty, nudności i zasłabnięcia powinny nas skłonić do wezwania pomocy profesjonalistów.

Jak nie dać się odwodnić

Żelaznym punktem w zadbaniu o zdrowie latem jest regularne nawadnianie organizmu. Podobnie jak w przypadku ochrony przed udarem cieplnym czy przegrzaniem, możemy za pomocą prostych środków zadbać o odpowiedni poziom wody i elektrolitów w ciele. Stałe, regularne dostarczanie wody organizmowi jest podstawą zdrowych nawyków przez cały rok, jednak to w miesiącach letnich, gdy tracimy dużo więcej wody niż zazwyczaj, powinniśmy szczególnie zadbać o nawodnienie. W tym przypadku, podobnie jak przy zapobieganiu przegrzaniom, sprawdzi się niegazowana woda dostarczana organizmowi w małych dawkach i regularnie. Dobrym rozwiązaniem uzupełnienia płynów może być również niesłodzona herbata, a w cięższych przypadkach podana dożylnie glukoza razem z chlorkiem potasu i sodu.

Pierwszymi objawami świadczącymi o odwodnieniu są zwiększone uczucie pragnienia, bóle głowy, zmęczenie oraz odczuwana suchość ust oraz oczu. Kolejnym etapem będzie sucha i zimna skóra, zmniejszona częstotliwość oddawania moczu (który przybiera barwę ciemnożółtą), a także zawroty głowy i oszołomienie. Na najpoważniejsze stadium odwodnienia organizmu wskazują m.in. wzdęty brzuch, omdlenia, podwyższone tętno, senność, zatrzymanie moczu oraz silne zmęczenie. U małych dzieci można wówczas zaobserwować zapadnięte ciemiączko i gałki oczne.

Odwodnienie, często bagatelizowane, może prowadzić nie tylko do zmęczenia i osłabienia organizmu (co stosunkowo łatwo naprawić), ale także przyczyniać się do wspomnianego wcześniej udaru cieplnego, napadów padaczkowych, zaburzenia pracy nerek, układu nerwowego i wstrząsu krwotocznego związanego ze zbyt małą ilością krwi i spadkiem ciśnienia tętniczego. Istotne jest, by pamiętać, że z wiekiem, szczególnie u osób po 50. roku życia, odczuwanie pragnienia słabnie, dlatego dobrze wyrobić sobie nawyk regularnego picia wody, by nie doprowadzać do niepotrzebnego wyczerpania organizmu.

Przede wszystkim zapobiegać

Udary słoneczne i odwodnienie to ciemna strona wakacji, ale warto pamiętać o starej dobrej zasadzie, że lepiej zapobiegać niż leczyć. To nie kosztuje wiele, a może pozwolić cieszyć się słońcem i beztroską, bez których większość z nas nie wyobraża sobie udanego lata.

© KINGA DAWIDOWICZ

17. NADZIEJA RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 — 26.X.2025
KRAKÓW

MARCIN WOLNY / CONRAD FESTIVAL / FTP

W góry bez ryzyka

BARTEK DOBROCH

Zagrożenia w górach się nie zmieniają. Zmieniamy się my, ludzie tam chodzący. Coraz częściej stajemy się źródłem niebezpieczeństwa dla tych, którzy próbują unikać zagrożeń.

O czym warto pamiętać, wybierając się w góry:

- *Zapisz numery alarmowe w telefonie przed wyruszeniem w góry.*
- *W razie wypadku: zachowaj spokój, podaj ratownikom lokalizację, opis zdarzenia i stan poszkodowanych.*
- *Skorzystaj z aplikacji „Ratunek" – umożliwia szybkie wezwanie pomocy i dokładne określenie lokalizacji.*
- *Stosuj się do wskazówek ratowników – to kluczowe dla skutecznej akcji ratunkowej.*
- *Bezpieczeństwo zaczyna się od przygotowania – pamiętaj o numerach, aplikacji i rozwadze na szlaku.*

NAJWAŻNIEJSZE NUMERY ALARMOWE W GÓRACH:

985 – *numer ratownictwa górskiego (działa w większości górskich regionów Polski)*

601 100 300 – *bezpośredni numer ratunkowy GOPR/TOPR*

112 – *ogólnoeuropejski numer alarmowy (zalecany, gdy nie ma zasięgu lub potrzebna jest pomoc innych służb)*

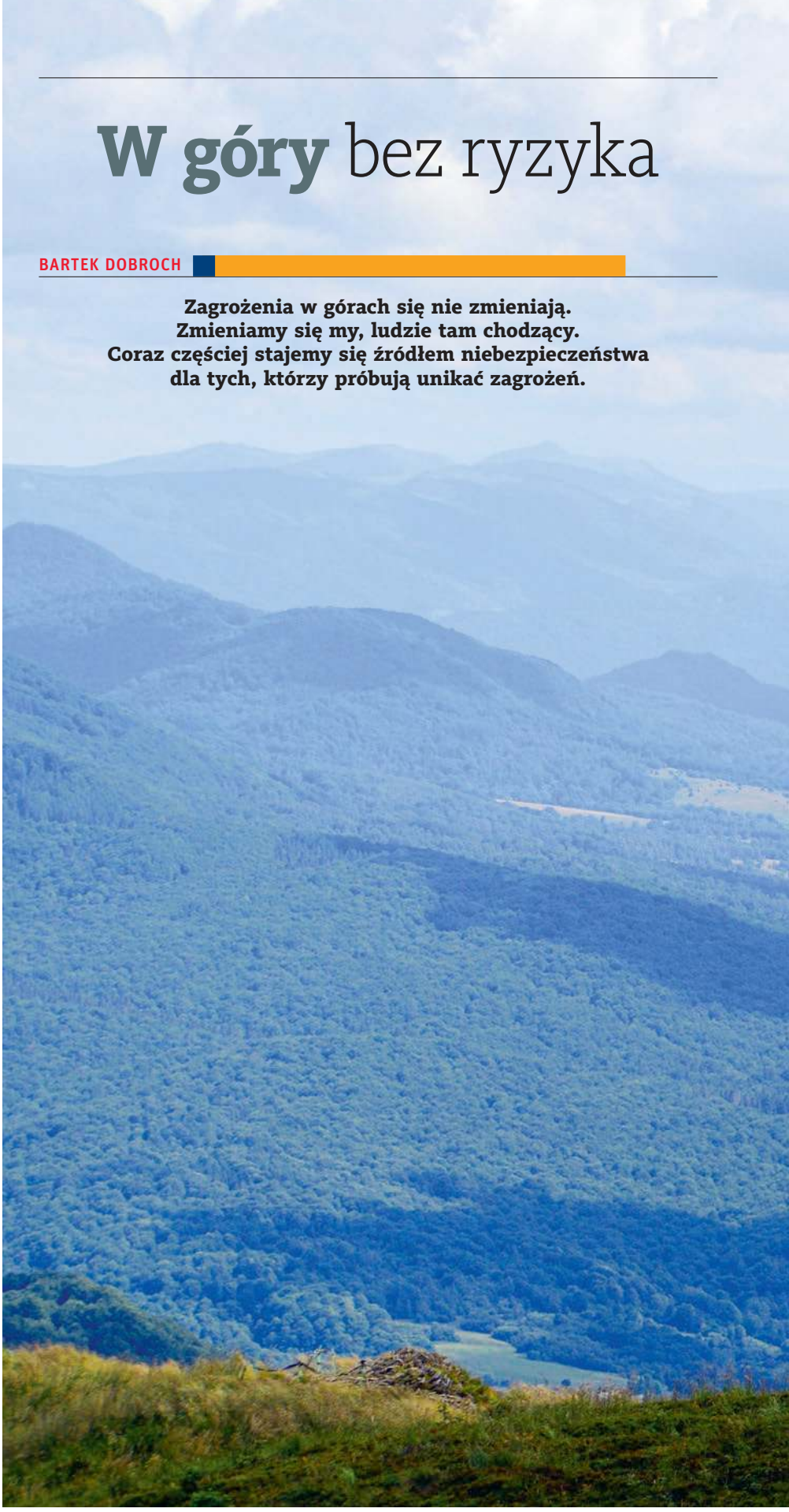

WOJCIECH ZATWARNICKI / REPORTER

Połonina Caryńska w Bieszczadzkim Parku Narodowym. 30 lipca 2023 r.

Ciepły sierpniowy dzień. W Tatrach tłumy, grupki turystów schodzą szlakiem zwanym ceprostradą, ze Szpiglasowej Przełęczy. Para turystów schodząca ze Szpiglasowego Wierchu ścina podszczytowe zakosy. Strącony kamień nabiera rozpędu i ze świstem przelatuje między ludźmi idącymi z przełęczy. Czyjś okrzyk „uwaga, kamień!" pomaga uniknąć tragedii. Odłamek wielkości pięści przelatuje ze świstem między głowami turystek. Tym razem na szczęście skończyło się jedynie na podniesionym ciśnieniu. Reakcją sprawców na skierowane do nich uwagi był popis arogancji.

Sprzęt nie jest śmieszny

Kask na głowach turystów na tatrzańskich szlakach nadal jest wyposażeniem mniejszościowym, spotykającym się z wypowiadanymi pod nosem docinkami. Choć na trudnych szlakach powinien być właściwie podstawowym wyposażeniem turysty, nie tylko dziecka. Inna sprawa, czy trudny, przepaścisty, ubezpieczony łańcuchami i stalowymi klamrami szlak to na pewno miejsce dla kilkulatka? Dzieci spełniające częściej ambicje rodziców niż swoje, nieraz bez odpowiedniego zabezpieczenia (uprząż i krótka lina), są w temacie górskich niebezpieczeństw punktem do osobnej dyskusji. ↦

ROBERT HARDING / EAST NEWS

Wejście na Rysy. Tatry, sierpień 2015 r.

↦ Coraz częściej w górach spotykamy zachowania analogiczne do tych, z jakimi mamy do czynienia na polskich drogach. Do niebezpiecznych sytuacji i wypadków doprowadzają brawura, ignorancja, łamanie przepisów, niedostosowanie umiejętności do trudności trasy i warunków.

Szczególnie niebezpiecznym okresem są oczywiście wszelkie przełomy – wiosny, która wysoko w górach nadal jest zimą, wczesnego lata, złotej jesieni i pierwszych ataków zimy. To wtedy najczęściej dochodzi do fatalnych w skutkach poślizgnięć. Są szlaki w polskich Tatrach, na których właściwie co roku kwietniowo-majowy przełom z kulminacją w okolicy długiego weekendu dopisuje do statystyk kolejne ofiary. Jak ostatnia niedziela kwietnia, w której w niewielkim odstępie czasu aż dwie osoby zginęły w wyniku upadku z Rysów. Jedna była odpowiednio wyposażona, druga nie posiadała niezbędnego w panujących warunkach zimowego wyposażenia. A to wysoko w górach może okazać się niezbędne zarówno w czerwcu, jak i nawet w lipcu, gdy twarde płaty śnieżne upamiętniają zimę w zacienionych górskich kotłach. Jeśli go nie posiadamy lub nie umiemy się nim posługiwać, lepiej przełożyć wyjazd w Tatry na późniejsze tygodnie lata. Po bardzo skąpej w śnieg zimie i zbyt ciepłym kwietniu przyszedł bowiem wyjątkowo zimny maj, kilkukrotnie na nowo bielący górskie szczyty.

Wiedza i doświadczenie

Wypadki z 27 kwietnia są nazbyt jaskrawym potwierdzeniem faktu, że w górach giną nie tylko ludzie niedoświadczeni, nieprzygotowani, źle wyposażeni. Często wypadek jest splotem kilku niewłaściwych czynników, a czasem wynika z pojedynczego błędu. Używanie sprzętu nie oznacza umiejętności w posługiwaniu się nim. Posiadanie technicznych umiejętności nie równa się doświadczeniu. A tego często brakuje w ocenie lokalnie panujących warunków, charakteru i specyfiki trasy. Choć słuszna letnia zasada mówi, że należy wychodzić w góry jak najwcześniej, minimalizując ryzyko bliskiego i zawsze przerażającego spotkania z burzą na wysokościach, to jednak późną wiosną czy wczesnym latem, przy nadal chłodnych nocach, zbyt wczesne wyjście na Rysy może skutkować niebezpieczeństwem natrafienia na wyjątkowo twarde płaty śniegu.

Zaklinanie pogody

Jednym z największych niebezpieczeństw lata w górach są burze. Potwierdzają to coroczne wypadki, w tym tak głośne, jak ten sprzed sześciu lat na Giewoncie. Być może praprzyczyny należy szukać jeszcze w szkole, w której dorośli dziś turyści nie mieli żadnej formy edukacji o bezpieczeństwie, by wiedzieć choćby, jakich miejsc unikać. Nadal widuje się w górach osoby, które mimo donośnych grzmotów (albo nawet widocznych błysków!) nie przerywają marszu w górę, zaklinając rzeczywistość („może przejdzie bokiem"), a gdy burzy towarzyszy ulewa, chowają się pod rosnącym przy szlaku wysokim drzewem, znacznie bardziej narażonym na uderzenie pioruna niż otwarta przestrzeń górskiej polany albo gęsty młodnik. Niestety lekceważenie prognozy pogody jest jednym z najpoważniejszych zagrożeń współczesnej turystyki – a przecież mówimy o czasach, gdy aktualne prognozy pogody czy radary burzowe (na przykład „Blitzortung") dostępne są na jedno kliknięcie w telefonie, a ich sprawdzalność jest znakomita. Wpisuje się to we współczesny trend, który przewrotnie pod hasłem „włącz myślenie" każe ignorować fakty, wiedzę i jej profesjonalne źródła. Choć szczepionka jest ogólnie dostępna – bo polskie góry należą do najlepiej opisanych na świecie, oferują dziesiątki map, przewodników i stron internetowych z rzetelną wiedzą.

Pomocne technologie

Bardzo pomocne są profile parków narodowych, służb ratowniczych, związanych z górami zawodowców i pasjonatów, a także aplikacje. Wśród nich warto wymienić „Ratunek", przekazującą ratownikom nie tylko dokładną lokalizację osoby zgłaszającej wypadek, ale też na przykład informacje o stanie baterii w telefonie, z którego pochodzi zgłoszenie. Trudno się zgubić, używając mapy i nawigacji w takich aplikacjach jak „Locus" czy „Mapy.cz". Obie występują też wprawdzie w płatnych wersjach, ale nie jest to wygórowany koszt. W zamian otrzymujemy nieograniczoną możliwość korzystania z map w trybie offline, które w niezbyt dobrze pokrytych zasięgiem internetowym górach często są jedynym mobilnym rozwiązaniem. Oczywiście nadal trzeba pamiętać, że korzystanie z aplikacji szybciej rozładowuje baterię w telefonie, który może być niezbędny do wezwania pomocy, przekazania informacji o swoich zmieniających się czasami planach. Dlatego zawsze warto mieć ze sobą, zwłaszcza w przypadku samotnej wycieczki, choćby mały powerbank dający możliwość podładowania urządzenia.

Niestety często, jak to bywa w innych dziedzinach życia, miejsce ekspertów i profesjonalnych pomocy zajmują w górach internetowi szarlatani lub narzędzia, których przydatność w górskim terenie jest dyskusyjna. © BARTEK DOBROCH

PREMIERA

TYGODNIK POWSZECHNY

co odróżnia nas od maszyn

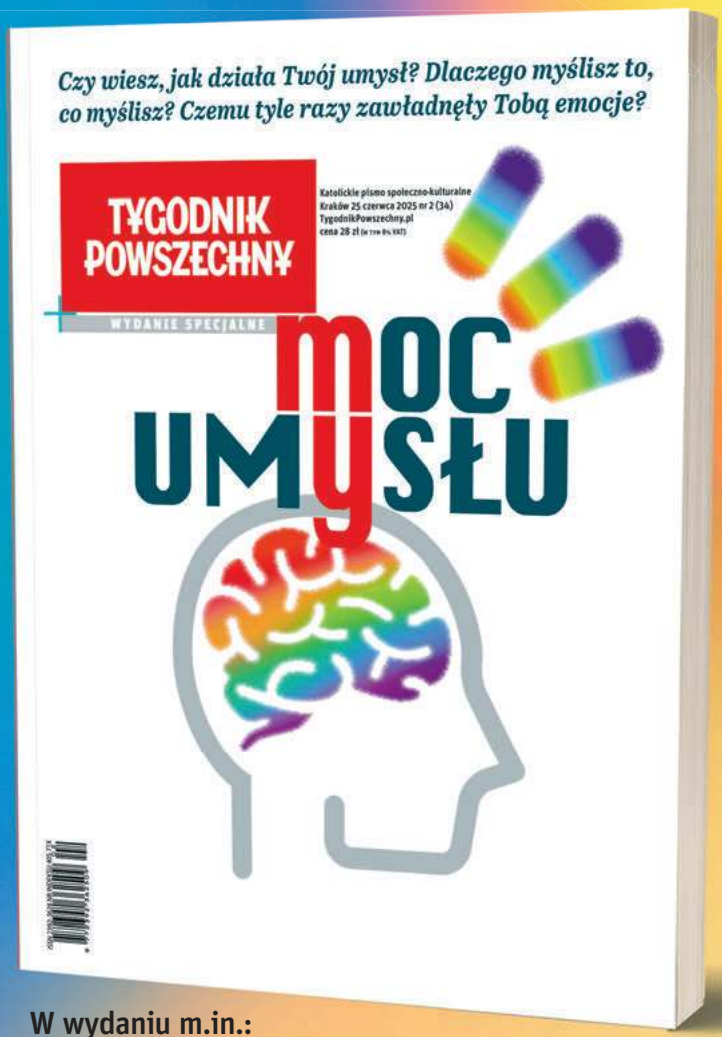

Potrafimy odczuwać, myśleć, rozumieć – albo tylko tak nam się wydaje. Nowe, specjalne wydanie „Tygodnika Powszechnego” to wyprawa w głąb umysłu. Zastanawiamy się, czym jest świadomość, czy AI naprawdę „coś czuje” i gdzie kończy się człowiek, a zaczyna maszyna. Pytamy o duszę, neurony, emocje. I o to, co czyni nas ludźmi.

W wydaniu m.in.:
ks. Michał Heller, Łukasz Lamża, Tomasz Stawiszyński, Olga Drenda, Bartosz Brożek, Eliza Kącka, Katarzyna Dziadowicz, Marcin Napiórkowski, Grzegorz Jankowicz, Dominika Dudek, Wojciech Bonowicz, Piotr Sikora i wielu innych.

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MOC UMYSŁU” dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na **sklep.TygodnikPowszechny.pl**

Weź, czytaj i odkryj moc umysłu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SUBARU
FILOZOFIA BEZPIECZEŃSTWA

Dla Subaru bezpieczeństwo to nie tylko zaawansowane systemy elektroniczne. To podstawa i fundament filozofii marki.

MATERIAŁ PRASOWY SUBARU X3

W dobie rosnącej liczby zaawansowanych systemów wspomagania kierowcy, kwestie bezpieczeństwa stają się coraz bardziej złożone. Jednak dla niektórych producentów to nie tylko kwestia implementacji nowoczesnej elektroniki, lecz całościowej filozofii projektowania pojazdu. Subaru od lat buduje swoją reputację wokół niezawodności i ochrony kierowcy, a model Forester e-BOXER jest tego wyrazistym przykładem. To samochód, w którym bezpieczeństwo nie jest dodatkiem, lecz integralnym elementem każdego aspektu konstrukcji – od silnika, przez napęd, aż po architekturę nadwozia i cyfrowe wsparcie.

INŻYNIERIA BEZPIECZEŃSTWA

Jednym z filarów tego podejścia jest system EyeSight – zaawansowany zestaw kamer i algorytmów, który wspiera kierowcę w wielu codziennych sytuacjach. Rozwiązanie to, dostępne standardowo we wszystkich wersjach Forestera, wykorzystuje kamery generujące obraz stereoskopowy umieszczone przy górnej krawędzi przedniej szyby. Ich zadaniem jest monitorowanie otoczenia, wykrywanie pojazdów, pieszych czy przeszkód na drodze, a także wspomaganie kierowcy poprzez adaptacyjny tempomat, układ hamowania awaryjnego oraz asystenta pasa ruchu.

Jednak bezpieczeństwo w rozumieniu Subaru nie kończy się na elektronice. Forester e-BOXER został zaprojektowany tak, by minimalizować ryzyko obrażeń także wtedy, gdy systemy zawiodą, i mimo wszystko dojdzie do kolizji. Konstrukcja nadwozia wykorzystuje stal o podwyższonej wytrzymałości, a strefy zgniotu zostały zaprojektowane w taki sposób, by skutecznie pochłaniać energię zderzenia i chronić przestrzeń pasażerską. Istotną rolę odgrywają również boczne wzmocnienia oraz specjalne elementy konstrukcyjne odpowiedzialne za przekierowanie sił uderzenia z dala od kabiny.

W sytuacjach awaryjnych kierowcę i pasażerów chroni nie tylko fizyczna konstrukcja pojazdu, ale również system eCall, który w razie poważnego wypadku automatycznie nawiązuje połączenie z numerem alarmowym, przekazuje współrzędne GPS i umożliwia kontakt głosowy ze służbami ratunkowymi.

UNIKANIE RYZYKA

Subaru od lat podkreśla, że najlepszą ochroną jest zapobieganie niebezpiecznym sytuacjom na drodze. Dlatego w Foresterze niebagatelne znaczenie mają elementy układu jezdnego. Model ten, mimo że należy do kategorii SUV-ów, wyróżnia się nisko położonym środkiem ciężkości. To efekt zastosowania silnika w układzie bokser – płaskiego, przeciwsobnego – oraz rozkładu mas zapewnianego przez stały napęd na cztery koła S-AWD (Symmetrical All Wheel Drive).

Taki układ przeniesienia napędu pozwala zachować lepszą stabilność zarówno na prostych odcinkach, jak i na zakrętach, a także zwiększa przyczepność w trudnych warunkach pogodowych. Dla kierowcy oznacza to mniejsze ryzyko utraty panowania nad pojazdem – niezależnie od tego, czy porusza się po zaśnieżonej górskiej drodze, czy mokrej nawierzchni w ruchu miejskim. To rozwiązanie, które nie wymaga od kierowcy specjalnych umiejętności – działa stale i niezależnie od sytuacji.

Warto również wspomnieć o systemach kontroli trakcji, stabilizacji toru jazdy oraz pełnym zestawie poduszek powietrznych – w tym poduszce kolanowej kierowcy – które stanowią ostatnią linię obrony w razie wypadku. Dodatkowym, rzadziej spotykanym elementem są tzw. łamiące się pedały – specjalnie zaprojektowane tak, by w przypadku zderzenia zmniejszyć ryzyko poważnych obrażeń nóg.

MATERIAŁ PARTNERA

WSPOMAGANIE I EDUKACJA

Forester e-BOXER, dzięki systemowi EyeSight, oferuje zestaw funkcji, które nie tylko reagują na zagrożenia, ale też pomagają ich unikać. Kierowca ma do dyspozycji m.in. „asystenta zmęczenia", który analizuje ruchy kierownicy i monitoruje, czy nie pojawiają się oznaki dekoncentracji. System może zaproponować przerwę, zanim sytuacja stanie się krytyczna. Oprócz tego, EyeSight nadzoruje pas ruchu, a w razie zjazdu z toru jazdy – reaguje sygnałem ostrzegawczym lub korektą kierunku. Przy miejskich prędkościach działa układ automatycznego hamowania, który może zapobiec najechaniu na poprzedzający pojazd lub potrąceniu pieszego.

Co ciekawe, Subaru idzie o krok dalej i wspiera kierowców nie tylko technologią, ale również edukacją. W ramach zakupu nowego Forestera oferowane jest bezpłatne szkolenie z doskonalenia techniki jazdy organizowane przez Szkołę Jazdy Subaru. To unikalne w skali rynku rozwiązanie, pozwalające właścicielom poznać możliwości samochodu w bezpiecznych, kontrolowanych warunkach i sprawdzić, jak działają poszczególne systemy wspomagające.

Szkolenie prowadzone jest przez doświadczonych instruktorów i obejmuje zarówno elementy jazdy defensywnej, jak i ćwiczenia praktyczne z reagowania na nagłe przeszkody czy utratę przyczepności. Dla wielu uczestników to nie tylko okazja do poprawienia umiejętności, ale również lepszego zrozumienia działania pojazdu – co przekłada się na większą pewność za kierownicą i mniejsze ryzyko wypadków.

FILOZOFIA

Subaru Forester e-BOXER jest przykładem samochodu, który łączy nowoczesne technologie z tradycyjnymi rozwiązaniami mechanicznymi w przemyślany, konsekwentny sposób. Filozofia marki zakłada, że bezpieczeństwo to nie tylko wynik działania systemów elektronicznych – to całościowe podejście do projektowania, budowania i użytkowania pojazdu.

Od struktury nadwozia, przez niezawodny układ napędowy, po systemy wspierające kierowcę oraz możliwość podniesienia jego kwalifikacji – wszystkie te elementy tworzą spójną całość. Choć w idealnym świecie nie mielibyśmy potrzeby korzystania z ochronnych funkcji samochodu, życie na drodze rzadko bywa przewidywalne. Dlatego właśnie tak istotne jest, by w razie potrzeby móc polegać nie tylko na elektronicznych asystentach, ale także na sprawdzonej konstrukcji i własnych umiejętnościach. ▪

W przypadku Forestera e-BOXER bezpieczeństwo nie jest dodatkiem – jest fundamentem.

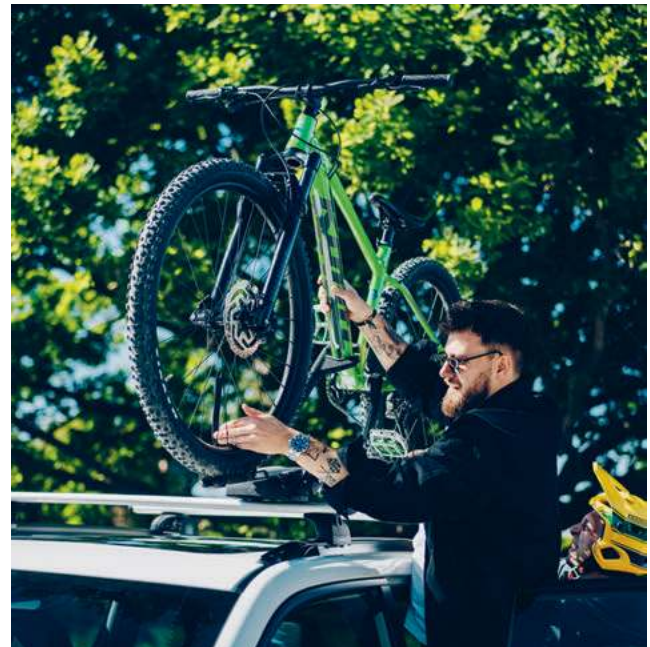

JORGE / ADOBE STOCK

Bezpieczne **cyberwakacje**

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wakacje są dla nas okresem odpoczynku i beztroskiego relaksu. Dla przestępców to zwykle okazja do szybkiego zarobku.

W tym roku sezon zaczął się wcześnie. Już na początku czerwca zespół CSIRT NASK opublikował alert związany z lewymi ogłoszeniami o promocjach na bilety do popularnych wśród turystów atrakcji. Skrótem CSIRT określane są zespoły reagowania na incydenty związane z cyberbezpieczeństwem, a NASK to instytucja, której jednym z obowiązków jest pilnowanie bezpieczeństwa polskiej sieci.

Fałszywe reklamy

Cyberprzestępcy stworzyli strony internetowe, podszywające się pod witryny obiektów turystycznych, m.in. Energylandii czy łódzkiego ZOO. „Przykrywka" była dość rozbudowana: fałszywe strony tych instytucji kusiły atrakcyjnymi cenami biletów i były promowane w mediach społecznościowych. Zwabiony zniżką klient był przekierowywany najpierw na podrobioną stronę, a z niej do panelu, który wyglądał identycznie jak jeden z popularnych systemów płatności online. Po wpisaniu danych żaden bilet na maila jednak nie przychodził, a przestępcy zdobywali komplet danych karty płatniczej klienta. Nie wiadomo, ile osób zostało w ten sposób okradzionych.

Pewne jest, że podobne ataki stają się coraz bardziej wyrafinowane. Przestępcy podszywają się pod znane serwisy rezerwacyjne, linie lotnicze, a nawet hotele. Z danych ESET wynika, że tylko w ubiegłym roku liczba prób phishingu związanych z podróżami wzrosła o ponad 30 proc. Jedno kliknięcie w fałszywy link kończy się nieprzyjemną niespodzianką na koncie. CERT Polska twierdzi, że *phishing* stanowił aż 64 proc. wszystkich incydentów związanych z cyberbezpieczeństwem w naszym kraju, a takie ataki coraz częściej związane są z wakacyjnymi czy weekendowymi wypadami.

Dzieje się to nie tylko u nas. Booking.com informuje o skokowym wzroście tego typu ataków na świecie – o między 500 a 900 proc. rocznie. Airbnb

donosi, że w Wielkiej Brytanii nabrani klienci tracą średnio równowartość około 10 tys. zł.

Oszustwa wspomagane

Cyberataki stały się dla turystów zagrożeniem porównywalnym z fizycznymi napaściami i kradzieżami. Z raportu ExpressVPN wynika, że w zeszłym roku aż 7 proc. podróżnych padło ofiarą cyberprzestępstwa. Dlaczego akurat wtedy jesteśmy szczególnie zagrożeni? Bo planując wyjazdy, często podejmujemy impulsywnie decyzje, szczególnie gdy oferta wydaje się atrakcyjna i nie chcemy, by przeszła nam koło nosa.

Na tym jednak nie koniec. Gdy mamy już upragnioną „rezerwację", przestępcy często kontaktują się przez komunikatory i podszywając się pod obsługę hotelu, wysyłają „przypomnienie o zaległej płatności" lub „link do szybkiego check-in online". Kliknięcie może skończyć się kradzieżą pieniędzy albo przejęciem konta. Nowością są oszustwa wykorzystujące sztuczną inteligencję. Przestępcy potrafią wygenerować głos pracownika biura podróży lub nagranie wideo „recepcjonisty", który potwierdza rezerwację i prosi o dopłatę. Wygląda to realistycznie i wiele osób daje się na to nabrać.

Sieć zagrożeń

Często nieświadomie podczas wyjazdów wystawiamy się na ataki, szukając bezpłatnego wi-fi. Zdaniem wielu ekspertów, korzystanie z takich sieci jest jednym z największych zagrożeń podczas podróży, bo umożliwia napastnikom przechwycenie wrażliwych danych, na przykład loginów czy haseł. Niezabezpieczone sieci wi-fi mogą też być źródłem złośliwego oprogramowania. Rozwiązaniem jest zakup karty eSIM lokalnego operatora oferującego dostęp do internetu. Dzięki temu będziemy mieli stały dostęp do sieci, a nie tylko w miejscach darmowych hotspotów.

Nie tylko seniorzy

Najbardziej narażeni na zagrożenia płynące z sieci są nie dorośli, ale nastolatkowie. NASK, w swojej broszurze o wakacyjnym cyberbezpieczeństwie, poświęca im osobny rozdział. Młodzi użytkownicy smartfonów powinni szczególnie ostrożnie podchodzić do publikowania zdjęć. Zanim klikniesz „udostępnij", upewnij się, że nie ryzykujesz swojego bezpieczeństwa ani prywatności znajomych. Nie pokazuj dokumentów, biletów czy kart płatniczych – ktoś może wykorzystać widoczny kod kreskowy albo dane osobowe. Po drugie, zanim opublikujesz zdjęcie z innymi osobami, zapytaj je o zgodę. Jeśli nie chcesz, by ktoś bez twojej wiedzy wrzucił zdjęcie z twoim udziałem, skorzystaj z ustawień prywatności – wiele aplikacji pozwala na zatwierdzanie oznaczeń przed ich pojawieniem się na twoim profilu.

Profilaktyka i cyfrowa higiena

Zatem jak się chronić w wakacje? Przykład trefnych ogłoszeń Energylandii powinien być przestrogą, że jeśli coś wygląda zbyt dobrze, prawdopodobnie jest pułapką. Rezerwacji należy dokonywać za pośrednictwem oficjalnych stron i aplikacji. Nie warto ufać reklamom w wyszukiwarce czy mediach społecznościowych, gdyż cyberprzestępcy sporo w nie inwestują.

Przed wyjazdem dobrze jest zaktualizować systemy operacyjne, co może pomóc w zabezpieczeniu przed złośliwym oprogramowaniem. Do tego dwuskładnikowe uwierzytelnianie logowania na najważniejszych stronach i aplikacjach utrudni potencjalnym napastnikom uzyskanie dostępu do naszych danych. Przed wyjazdem warto też obniżyć limity transakcji na kartach kredytowych i wykonać kopię zapasową danych, takich jak kontakty, zdjęcia czy ważne dokumenty.

W trakcie wyjazdu warto pamiętać o higienie informacyjnej. Udostępnianie informacji w mediach społecznościowych może ułatwić życie włamywaczom. Lepiej pochwalić się zdjęciami z wakacji po powrocie, niż informować, że dom stoi pusty. Z danych ExpressVPN wynika, że 14 proc. respondentów przyznało, że doświadczyło lub zna kogoś, kto padł ofiarą cyberprzestępstwa z powodu nadmiernego dzielenia się szczegółami z podróży.

Należy też pamiętać, że nawet najmocniejsze hasło może podejrzeć ktoś patrzący nam przez ramię, a urządzenie z cennymi danymi może trafić w ręce kieszonkowca. Dlatego warto się zabezpieczyć nie tylko silnym hasłem, ale także włączyć usługę „znajdź moje urządzenie". Dzięki niej w razie kradzieży możliwe jest zlokalizowanie przedmiotu oraz – co nawet ważniejsze – zablokowanie dostępu do naszych danych.

Zdrowe nawyki

Po powrocie z wakacji warto nie tylko wytrzepać piasek z butów i posortować zdjęcia, ale i zabezpieczyć się na przyszłość. Zacznij od zmiany haseł – nawet jeśli nie masz dowodów, że coś poszło nie tak. Sprawdź historię transakcji bankowych, usuń zbędne aplikacje, zrób kopię zapasową najważniejszych danych i przeskanuj urządzenia w poszukiwaniu wirusów. Jeśli masz podejrzenia – zgłoś to do banku, odpowiednich służb lub portalu, na którym doszło do oszustwa.

Cyberbezpieczeństwo na wakacjach nie dopomina się o tytuł inżyniera ani też nie oznacza nerwowego sprawdzania telefonu co pięć minut. Wymaga podstawowej świadomości i kilku zdrowych nawyków. Pamiętajmy: technologia to tylko narzędzie – to od nas zależy, czy stanie się sprzymierzeńcem, czy zagrożeniem

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

BLIK zaufany partner

Anna Koral-Zagórska

W cyfrowym świecie zaufanie stało się równie cenne jak pieniądze, dlatego często jest celem oszustów. Typowy scenariusz: wiadomość od znajomego, pilna prośba o przelew BLIK. Wystarczy chwila nieuwagi i pieniądze trafiają do przestępcy. Czasem oszust dzwoni jako „pracownik banku", wzbudzając poczucie zagrożenia i pilności.

MATERIAŁ PRASOWY

Czasem wystarczy jedno kliknięcie

– i po wakacyjnym budżecie. Wiadomość od znajomego, szybka prośba, stres, pośpiech. Dlaczego tak łatwo dajemy się złapać?

Anna Koral-Zagórska: To klasyczna manipulacja zaufaniem. Oszuści przejmują konto w mediach społecznościowych lub tworzą łudząco podobny profil. Piszą do znajomych ofiary z prośbą o pilny przelew, tłumacząc to nagłą sytuacją: awarią samochodu czy zgubionym portfelem. Chodzi o wywołanie presji i poczucia, że trzeba działać natychmiast. Wszystko w oczekiwaniu na nasz odruch chęci pomocy, bez głębszego zastanowienia się, czy wszystko na pewno się zgadza. Pamiętajmy, że skradzione konto może także służyć do rozpowszechniania fałszywych zbiórek czy złośliwych linków, ofert sprzedażowych, a w czasie wakacji – fałszywych ofert noclegowych. Za pośrednictwem takiego konta można również szerzyć dezinformację. Zagrożenia w tym przypadku są naprawdę wielopoziomowe.

Co sprawia, że dziś trudniej niż kiedykolwiek odróżnić prawdę od fałszu? To kwestia technologii czy raczej naszej naiwności?

Niestety technologia służy dziś także przestępcom. Sztuczna inteligencja potrafi nie tylko wygenerować fałszywą wiadomość, ale też naśladować sposób pisania konkretnej osoby. To sprawia, że komunikaty są bardziej wiarygodne – styl, słownictwo, emoji... wszystko wygląda jak od znajomego. Do tego dochodzą manipulacje próbkami głosu. Tworzone tak deepfaki brzmią niemal identycznie jak głos bliskiej osoby. Takie oszustwa coraz trudniej wykryć, dlatego czujność i weryfikacja są dziś ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Jak nie dać się wciągnąć w tę grę? Co może być naszym bezpiecznikiem, zanim klikniemy „wyślij"?

Przede wszystkim nie działajmy pod wpływem impulsu. Zawsze potwierdzajmy prośby o pieniądze innym kanałem, najlepiej dzwoniąc do tej osoby. To może być niezręczne, ale lepsze to niż

MATERIAŁ PARTNERA

stracić oszczędności. I druga rzecz: aktywujmy dwuskładnikowe uwierzytelnianie, szczególnie w mediach społecznościowych. To często wystarczy, by uniemożliwić przejęcie profilu.

Fałszywi „znajomi" to jedno, ale są też ci bardziej profesjonalni – rzekomi konsultanci z banku. Czym różni się ten mechanizm?
Tak, to inny schemat działania. Ktoś dzwoni, podaje się za pracownika banku i mówi, że nasze konto jest zagrożone. Prosi o potwierdzenie danych, kod BLIK albo wykonanie przelewu na „bezpieczny rachunek techniczny". Czasem nawet numer telefonu wygląda jak oficjalny. Zdarza się również tak, że rzekomy pracownik banku prosi o wypłatę pieniędzy z konta czy pobranie pożyczki w celach weryfikacji – finalnie tak zgromadzona gotówka może także trafić w ręce oszustów. I znów – presja czasu i pozorny autorytet mają sprawić, że nie sprawdzimy, tylko zrobimy to, o co proszą. W takiej sytuacji zawsze warto się rozłączyć i samemu zadzwonić na infolinię banku.

Jeśli już się zdarzy, to co wtedy? Jak zareagować, kiedy wiemy, że zostaliśmy oszukani?
To chyba jedyna sytuacja w tym kontekście, w której należy szybko działać. Skontaktować się z bankiem i zgłosić sprawę na policję. A w przypadku pierwszego scenariusza koniecznie ostrzec znajomych, bo jeśli ktoś podszywał się pod nas, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że wysyłał podobne wiadomości do innych osób. Im szybciej zareagujemy, tym większa szansa, że uda się zminimalizować straty.

Cyberbezpieczeństwo na co dzień – jakie działania możemy podjąć, żeby o nie zadbać?
Warto pamiętać o podstawach: nie logujmy się do banku przez publiczne Wi-Fi, aktualizujmy aplikacje, zabezpieczajmy telefon PIN-em lub biometrią. Korzystajmy wyłącznie z oficjalnych sklepów z aplikacjami. Zawsze sprawdzajmy szczegóły transakcji przed ich zatwierdzeniem – oszuści liczą przede wszystkim na naszą nieuwagę i pośpiech. I zawsze pamiętajmy, aby dobrze zweryfikować informacje, które do nas docierają, a których w dzisiejszych czasach jest coraz więcej. Oszuści często podszywają się pod uznane marki, wykorzystując w ten sposób zaufanie, które zbudowała dana firma. Musimy więc zachowywać czujność. Korzystajmy tylko z autoryzowanych platform sprzedażowych oraz tych, które służą do rezerwowania noclegów. Nie przenośmy korespondencji poza czat tych platform i korzystajmy tylko z tych form i sposobów płatności, które dana platforma oferuje.

BLIK stawia na edukację. Nie robicie tego tylko przy okazji – to już osobny front. Czym się konkretnie zajmujecie?
Prowadząc działania edukacyjne dążymy do tego, żeby nas zrozumiano i zapamiętano nasz przekaz. Staramy się mówić prostym językiem, posługiwać się odpowiednio dobranymi przykładami – wiemy przecież, że inny będzie sposób komunikacji z dziećmi, a inny z ich opiekunami czy nauczycielami. Prowadzimy szereg kampanii informacyjnych, publikujemy poradniki i teksty o bezpieczeństwie finansów. Stawiamy na różnorodność przekazu i dopasowujemy komunikację do jej odbiorców – raz mówimy o zjawiskach w ujęciu psychologicznym, innym razem interpretujemy je w ujęciu językowym, a w jeszcze innych kontekstach – technologicznym. Współpracujemy z wieloma fundacjami, a do naszych słuchaczy docieramy na wiele sposobów – zarówno *online*, poprzez webinary, jak i podczas spotkań z naszymi ekspertami na żywo. Jeśli to możliwe, rozszerzamy nasze panele o formuły warsztatowe. Ponadto współpracujemy również z administracją publiczną, także w ramach wspólnych inicjatyw edukacyjnych. Staramy się zwiększać świadomość i dążymy do tego, by cyfrowe bezpieczeństwo stało się naturalnym nawykiem.

A gdyby Pani miała dać jedną radę komuś, kto dopiero zaczyna myśleć o swoim bezpieczeństwie w sieci – co byłoby na pierwszym miejscu?
Zacznij od podstaw: włącz uwierzytelnianie dwuskładnikowe w social mediach, w banku, na mailu. Ustaw silne, unikatowe hasła. I nigdy nie podawaj kodu BLIK osobie, której tożsamości nie jesteś pewny. Lepiej być ostrożnym, niż później żałować. •

ANNA KORAL-ZAGÓRSKA
jest zastępczynią dyrektora departamentu bezpieczeństwa w firmie BLIK.

Trzeźwo w wodzie

KATARZYNA BEKIER:

**Statystyki są bezlitosne.
Największe zagrożenie podczas wypoczynku nad wodą stanowi alkohol.**

KINGA DAWIDOWICZ: Jakie błędy najczęściej popełniamy podczas wypoczynku nad wodą?

KATARZYNA BEKIER: Trzeba zawsze podkreślać, że alkohol i woda to złe połączenie. Potwierdzają to statystyki. Alkohol zaburza ocenę rzeczywistości, ułatwia przecenianie własnych umiejętności oraz sił. Bardzo często też towarzyszy nam brak rozwagi, skoki na główkę do nieznanej wody czy brak nadzoru nad dziećmi. Należy pamiętać, że kąpiemy się głównie na kąpieliskach strzeżonych, tam, gdzie przebywają ratownicy.

Przeglądając statystyki utonięć z ostatnich lat, zauważyłam, że stosunkowo mało – 16 na około 400 odnotowanych przypadków – występowało nad morzem. Czy morze wzbudza większy respekt niż np. jeziora czy rzeki?

Nie, niestety morze nie budzi większego respektu. Jednak duża część mieszkańców Polski korzysta przede wszystkim z jezior czy rzek i często utonięcia mają miejsce w przestrzeni, która wydaje nam się znana. W takiej, o której myślimy, że mamy opanowaną, że tam jest bezpiecznie, a rzeczywistość jednak weryfikuje przekonania.

Poza klasycznym pływaniem korzystamy często również ze sprzętu wodnego.

Jeżeli mówimy o rekreacji z użyciem rowerów wodnych czy kajaków, to obserwuję, że bardzo często w parze z tymi aktywnościami występuje alkohol. Wydaje się nam, że te sporty są bardzo bezpieczne, nic szczególnego nam nie grozi. Jednak spożycie alkoholu naraża na zaburzoną percepcję. Jeżeli zdarzy się wypadek i wpadniemy do wody, to nie roz-

poznamy przestrzeni, spanikujemy i możemy już nie wypłynąć.

O czym pamiętać, uprawiając windsurfing, kitesurfing, żeglarstwo?

Dobrze jest poinformować kogoś bliskiego, że wypływamy, sprawdzić prognozę pogody. Jeżeli pływamy na sprzęcie motorowodnym, to zakładajmy kamizelki i przypinajmy do nich zrywki bezpieczeństwa. To proste urządzenie, które w razie wypadnięcia sternika z łodzi czy skutera, wyłącza silnik. Trzeba też zachować odpowiedni dystans od kąpielisk. Dozwolone jest pływanie nie bliżej niż dwie mile morskie od brzegu, a ten przepis jest bardzo często łamany. Szanujmy innych użytkowników wody i nigdy nie pływajmy po spożyciu alkoholu.

Czy potrzebujemy uprawnień, żeby wypożyczyć skuter? ↦

Plaża we Władysławowie. 10 lipca 2021 r.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Zasady bezpiecznego wypoczynku:

- *Nigdy nie wchodź do wody po spożyciu alkoholu lub innych środków odurzających. Obniżają refleks, zaburzają ocenę sytuacji i zwiększają ryzyko utonięcia.*
- *Korzystaj z kąpielisk, na których dyżurują ratownicy. Przestrzegaj regulaminu oraz oznaczeń na plaży i w wodzie.*
- *Wchodź do wody stopniowo, unikaj skoków „na główkę" w nieznanych miejscach i nie oddalaj się zbyt daleko od brzegu.*
- *Zawsze miej oko na dzieci. Nawet jeśli potrafią pływać, dzieci powinny być pod stałą opieką dorosłych.*
- *Zakładaj kamizelkę ratunkową podczas korzystania ze sprzętu wodnego.*
- *Respektuj warunki pogodowe. Unikaj kąpieli i pływania podczas burzy, silnego wiatru czy złej widoczności.*
- *Zachowuj rozwagę i kulturę. Nie przeszkadzaj innym, nie hałasuj, nie prowokuj niebezpiecznych sytuacji.*

WAŻNE NUMERY ALARMOWE

112 – *ogólny numer alarmowy (działa w całej UE)*

601 100 100 – *Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe (WOPR)*

998 – *Straż Pożarna (także do ratownictwa wodnego)*

Zgodnie z przepisami trzeba mieć co najmniej patent sternika motorowodnego. Niestety bardzo często komercyjne wypożyczalnie ignorują ten przepis. Zdobycie patentu nie jest niczym trudnym, a umożliwia nam poznanie obowiązujących przepisów. Pozwala na przykład orientować się, że w kanałach są ograniczenia prędkości albo zakaz falowania, że trzeba posiadać radio i kontakt z kapitanatem portu, by móc zgłosić wpłynięcie albo żeby wiedzieć, że skuter nie może wpłynąć do danego portu.

Jeśli widzimy osobę, która się topi, jak jej pomóc?

Ludzie toną w ciszy. O tym mówi się już od kilku lat. Rzeczywistość nie jest zgodna z powszechnym przekonaniem, że osoba tonąca krzyczy, woła o pomoc, macha rękami. Bardzo często osób, które toną, po prostu nie widać. Doświadczeni ratownicy są jednak w stanie rozpoznać te osoby. Towarzyszy im pusty wzrok, szeroko rozłożone ręce, zanurzona głowa. Ostatkiem sił próbują zaczerpnąć powietrza. Jeżeli zobaczymy kogoś w takiej sytuacji i chcemy mu pomóc, najważniejszą rzeczą jest, by nie podpływać bez zabezpieczenia. Powiedzenie, że tonący brzytwy się chwyta, nie wzięło się znikąd. Jeżeli podpłyniemy za blisko, tonący potraktuje nas jak boję i prawdopodobnie utopimy się obydwoje. Najlepiej rzucić wtedy koło, ewentualnie podpłynąć z jakąś tyczką, dmuchanym materacem. Nie możemy pozwolić, żeby osoba, która tonie, nas złapała. Ratownicy, którzy mają pod ręką sprzęt oraz posiadają wiedzę i umiejętności, również korzystają z tej zasady. Starają się najpierw podać bojkę czy koło, a później holują do brzegu. Nie siłują się także z osobami agresywnymi. Na nieznanych akwenach zadaniem osoby postronnej jest przede wszystkim wezwanie pomocy i próba znalezienia sprzętu, który możemy podać. Inaczej w przypadku tonięcia dziecka np. w akwaparku. Mając dno, łatwo możemy chwycić i podnieść malucha, który podejrzanie długo nurkuje, ale nie wynurza głowy.

Co w przypadku, gdy nie mamy pod ręką żadnego sprzętu?

Nie rzucajmy się od razu po pomoc, nie informując nikogo, co robimy. Kilka lat temu na wybrzeżu plażowicze postanowili zrobić łańcuch życia na wieść o tym, że prawdopodobnie ktoś zaginął przy brzegu. Występowały w tym czasie bardzo silne fale i jedna z osób z tego łańcucha życia utonęła. Ostatecznie okazało się, że topiących się prawdopodobnie tam w ogóle nie było.

ARCHIWUM PRYWATNE

KATARZYNA BEKIER – ratowniczka wodna od 2009 r., instruktorka ratownictwa wodnego oraz pasjonatka profilaktyki bezpiecznej kąpieli. W pracy kieruje się mottem: „Lepiej zapobiegać niż leczyć", co zaowocowało m.in. ponad tysiącem młodych absolwentów projektu Letnia Szkoła Ratownictwa.
Prezeska stowarzyszenia Gdańskie Ratownictwo Wodne.

Czym jest prąd wsteczny i co należy zrobić, jeśli go doświadczymy?

Prąd wsteczny jest to silny prąd ciągnący od brzegu w głąb morza. Często jest niewidoczny dla niewprawnego ludzkiego oka. Jeżeli kąpiemy się w miejscach do tego wyznaczonych, to ratownicy w takim przypadku wywieszają czerwoną flagę, która oznacza zakaz kąpieli. Jeżeli kąpiemy się w miejscach niewyznaczonych i obserwujemy silne fale, możemy zakładać, że taki prąd tam wystąpi. Jeżeli zdarzy się, że wejdziemy do wody, wówczas odczuwamy, że bardzo łatwo płynie się w stronę morza, ale gdy postanowimy wrócić, okazuje się, że tak naprawdę płyniemy w miejscu. Jedynym właściwym rozwiązaniem wtedy jest nie płynąć w stronę lądu, tylko wzdłuż brzegu, spróbować z tego prądu wyjść i dopiero wtedy płynąć do brzegu. Zdarza się jednak też tak, że nie ma wysokich fal, a prąd wsteczny i tak występuje.

Znajomość specyfiki morza pozwoli nam uchronić się przed niepotrzebnym zagrożeniem?

Tak, ale przede wszystkim skupiamy się na profilaktyce i zapobieganiu. Organizujemy dużo letnich, profilaktycznych akcji, które edukują najmłodsze pokolenie i często przez dzieci ta wiedza przekazywana jest do rodziców i dziadków. W Gdańsku od sześciu, siedmiu lat prowadzimy zajęcia Letniej Szkoły Ratownictwa. Nasi kursanci sprzed lat sami często są już ratownikami.

A jak postępować w przypadku zaplątania się w wodorosty lub natknięcia się na wir rzeczny?

Najważniejsze to zachować spokój. W przypadku wplątania się w wodorosty starajmy się nie panikować, uspokójmy ruchy i połóżmy się na plecach, to jest pozycja bezpieczna. Później spokojnie wypłyńmy z roślin. Jeżeli wpadniemy w panikę, złapie nas skurcz czy stracimy siły, to ta pozycja również pomoże nam chwilę odpocząć.

Podejmujemy wtedy nieracjonalne decyzje.

Tak. W przypadku wiru bardzo często mówi się, żeby nabrać powietrza, pozwolić się po prostu wciągnąć i odbić się w bok, a nie w górę. Wiry często występują w miejscach, w których nie można się kąpać. Nie pływajmy tam, gdzie są zakazy, np. przy budowlach hydrotechnicznych. Zapobiegajmy takim zdarzeniom. Często spotykam dorosłych, którzy w młodości niepotrzebnie narazili się na tego typu przeżycia i został im z tego powodu uraz do wody, pozbawili się pięknej przygody, którą można doświadczać w kontakcie z morzem, jeziorem czy rzeką.

© Rozmawiała KINGA DAWIDOWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY

TYGODNIK, KTÓRY TRAFIA TAM, GDZIE CHCESZ: DO SKRZYNKI, DO PACZKOMATU, DO CIEBIE.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 210 zł
- Prenumerata półroczna: 399 zł
- Prenumerata roczna: 749 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 849 zł

Wszystkie numery doręczy Ci listonosz – nie musisz wychodzić z domu.

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

Wszystkie numery z darmową dostawą do wybranego paczkomatu, **ZAWSZE W ŚRODĘ** – w dzień premiery. Dodatkowo **ROCZNY DOSTĘP ONLINE** do całego „Tygodnika" za **1 ZŁ**.

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT: MAREK BEDNARZ

ERGO HESTIA®

REKLAMA

Materiał marketingowy
Sopockiego Towarzystwa Ubezpieczeń
ERGO Hestia S.A.